ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 3/498** **1989**

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

K. GAWLIKOWSKI:
O POLSKIM " KOMPROMISIE HISTORYCZNYM "
Zb. ROMASZEWSKI: **MINIMALIZM RADYKALNY**
A. BESANÇON: **WIDZIANE Z ODDALI**
T. VENCLOVA: **LIST OTWARTY DO LITWINÓW I POLAKÓW NA LITWIE**
R. GORCZYŃSKA: **MARSZ, MARSZ, DĄBROWSKA...**

SPIS RZECZY

Krzysztof Gawlikowski:	*O polskim „kompromisie historycznym”*	3
Zbigniew Romaszewski:	*Minimalizm radykalny*	8
Alain Besançon:	*Widziane z oddali*	29
Gustaw Herling-Grudziński:	*Dziennik pisany nocą*	40
Czesław Miłosz:	*Religia, poezja*	50
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Leopold Unger:	*Widziane z Brukseli*	62
—	*Wywiad telewizji niemieckiej z M. F. Rakowskim*	71
Józef Garliński:	*List z Londynu (18)*	77
	K R A J	
Witold Charłamp:	*Dziennik zewnętrzny*	83
K l a k s o n :	*Wirus antytwórczy*	96
Piotr Krasucki:	*Jak braliśmy władzę*	96
—	*Oświadczenie niezależnych wydawnictw*	104
—	*Zebranie niezależnych literatów*	104
—	*Stanowisko w/s Komitetu Obywatelskiego przy L. Wałęsie*	105
	SPRAWY I TROSKI	
Czesław Tynna:	*Polacy na Ukrainie*	106
	SĄSIEDZI	
Tomas Venclova:	*List otwarty do Litwinów i Polaków na Litwie*	111
Adam Kruczek:	*W sowieckiej prasie*	114
Andrzej J. Chilecki:	*Kronika niemiecka*	121
	KRONIKA KULTURALNA	
Renata Gorczyńska:	*Marsz, marsz, Dąbrowska...*	126
—	*Zoja Juriewa*	137
	CI, CO ODESZLI	
Andrzej Szulczyński:	*Maria Kurecka*	139
Z. S. Siemaszko:	*Płk Tadeusz Boguszewski*	140
	POLEMIKI	
Romuald Szeremietiew:	*Gra z szulerem*	142
	KSIĄŻKI	
Stanisław Swianiewicz:	*Wznowienie sprawy Katynia*	146
M. Broński:	*Mniej światła!*	149
Antoni Pospieszalski:	*O. Bocheński o sobie i innych*	154
Janina Katz Hewetson:	*Polskie czasopismo literackie w Izraelu*	157
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	161
	◆	
	Wydarzenia miesiąca	162
	◆	
A. Dobosz, K. Gawlikowski, H. Kesler, J. Lewandowski, D. Mikos, Ks. J. Mirewicz, J. Orliński, J. Prus, J. Żuchowski:	*Listy do Redakcji*	167
Cz. Miłosz:	*O ś w i a d c z e n i e*	173

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec - Mars 1989

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Mikołaj Barakoński, Sherman Oaks, CA (USA), po raz 20-ty — $ 75,00	F. 402,00
Wilhelm Bismayer, Des Plaines, IL (USA), po raz 24-ty — $ 50,00	F. 315,00
Bob L. Borowicz, Santiago de Chile, po raz 8-my — DM 250,00	F. 850,00
Inż. Mieczysław Bornet, Toronto, ON (Kanada), po raz 21-y	F. 429,00
Krzysztof Boreyko, Easton, CT (USA), po raz 9-ty — $ 103,00	F. 648,00
Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA), po raz 69-ty — $ 100,00	F. 630,00
Dla uczczenia pamięci Idy Jurysiowej-Spira, zmarłej 3 stycznia 1989 roku w Paryżu — Paulina i Zbigniew Kopeć	F. 200,00
Juliusz Dzianott, Rosario de Santa Fe (Argentyna), po raz 13-ty — $ 65,00	F. 409,00
Federacja Polonii Amerykańskiej (American-Polish Federation), Palatine, IL (USA) — z pieniędzy pozostałych w kasie po rozwiązaniu Federacji przekazuje (nadesłał Prezes Federacji Edward E. Plusdrak) — $ 1.172,00	F.7.383,00
L. Fulmyk, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 8-my	F. 20,00
Z. Goldberg, Sztokholm — zamiast kwiatów na grób nieodżałowanej Idy Juryś — Krs 100,00	F. 95,00
H.P., E.J. — Szwecja — w pierwszą rocznicę śmierci Szymona Pyśka, zamiast kwiatów na Jego grób	F. 200,00
W. Iwanowski, Milton, MA (USA), po raz 29-ty — $ 25,00	F. 157,00
Dr Jacek Jędruch, Summit, NJ (USA), po raz 14-ty — $ 25,00	F. 157,00
Prof. Stanisław Judek, Ottawa, ON (Kanada), po raz 11-ty i 12-ty — $ c. 107,00 — na tę sumę składają się dwa dary: $ c. 60,00 = F. 264,00 i $ c. 47,00 = 245,00; ($ c. 60,00 przekazane w styczniu 1988 roku, których nie odnotowaliśmy przez pomyłkę, za którą bardzo przepraszamy — *Redakcja)*	F. 509,00
Tadeusz i Maria Konopaccy, Cleveland, OH (USA) — dla uczczenia pamięci siostry, Haliny Konopackiej-Matuszewskiej, mistrzyni olimpijskiej, zmarłej na Florydzie w styczniu 1989 roku — $ 20,00	F. 126,00
Halina Kościuch, Sterling Heights, MI (USA), po raz 8-my — $ 20,00	F. 126,00
Henryk Kozłowski, Ottawa, ON (Kanada), po raz 2-gi	F. 500,00
Karol J. Krótki, Edmonton, AB (Kanada), po raz 11-ty	F. 335,00
Emanuel i Mila Łopatto, Florencja — zamiast kwiatów na grób naszego przyjaciela, Witolda Zahorskiego	F.1.000,00
Lesław K. Ludwig, Springfield, MA (USA), po raz 14-ty — $ 12,00	F. 75,00
Dariusz Maca, Quakenbrück (RFN) — DM 100,00	F. 340,00
K. S. Marszałek, Houghton Le Spring (Wielka Brytania), po raz 2-gi £ 11.00	F. 110,00
Stefania Misińska, Caracas (Wenezuela), po raz 2-gi — $ 27,00	F. 167,50
Stefan Nędzyński, Genewa, po raz 18-ty — Frs 100,00	F. 400,00
Zbigniew Pietrzyk, Cossonay (Szwajcaria), po raz 5-ty	F. 165,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 36-ty i 37-my — po $ US 100,00 = $ US 200,00	F.1.260,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 174)

O polskim „kompromisie historycznym"

Polska znowu znalazła się na wirażu historii. Być może zbliżamy się do rozwiązań ustrojowych, które położą kres monopolowi politycznemu skompromitowanej społecznie partii i dadzą społeczeństwu możliwość wpływania na swój los. Sytuacja międzynarodowa układa się dla nas wyjątkowo korzystnie i stwarza zarówno warunki dla reform politycznych jak i dla rekonstrukcji gospodarki umęczonego kryzysem kraju.

Wielkie nadzieje działaczy opozycji znajdujących się w kraju i chęci niezmarnowania tej okazji są całkowicie zrozumiałe; znajdują się oni pod ogromnym ciśnieniem oczekiwań społecznych i wiedzą, że „nasz okręt tonie". Cieszą się więc, że wreszcie jego „kapitanowie" pozwalają zrozpaczonym pasażerom na ratowanie statku, wyczerpywanie wody i niezbędne reperacje. Jest jednak obowiązkiem moralnym tych z nas, którzy znaleźli się na twardym (zachodnim) brzegu i patrzą z przerażeniem na losy kraju, sformułowanie kilku ostrzeżeń. Oddalenie odcina wprawdzie od wielu informacji, ale zarazem daje możliwość oceny wypadków z pewnej perspektywy, której brak na ogół bezpośrednim uczestnikom wydarzeń.

Zapewne część promotorów porozumienia narodowego działa w dobrej wierze i stara się szczerze uratować kraj, ale są też z całą pewnością w kierownictwie partii i państwa ludzie, którzy traktują to wyłącznie jako grę polityczną. Są skłonni zaakceptować pomoc opozycji, ale tylko na ich warunkach i tylko na tyle, na ile służy to ich egoistycznym interesom utrzymania się przy władzy.

To stalinowski system doprowadził kraj do kryzysu i zahamował jego rozwój, i to ekipa Jaruzelskiego siłą zbrojną unicestwiła wysiłki reform, rozbiła siły społeczne, które je chciały wprowadzić. Teraz oferuje ona współudział w rządzeniu krajem i godzi się dzielić swą odpowiedzialnością. Istnieje zatem realne niebezpieczeństwo, że zalegalizowana „Solidarność" i osoby z kręgów opozycji włączone do rządu posłużą wyłącznie do zrzucenia na nie odpowiedzialności za winy popełnione dawno temu i przez innych. Jeśli wybuchnie nowa fala strajków i niepokojów społecznych, to działacze opozycji będą musieli gasić nowy pożar, i to *establishment* „Solidarności" znajdzie się w bezpośredniej konfrontacji z młodym, gniewnym pokoleniem robotników. Wypadki mogą się wymknąć spod kontroli, partia niewiele ma do stracenia, ale przywódcy opozycji mogą zostać w rezultacie całkowicie skompromitowani społecznie. Na placu boju pozostałby gniewny i samotny tłum. Gdyby podjęto decyzję użycia siły, a zapewne i taka możliwość jest rozważana, i chciano by uciec się raz jeszcze do jakiejś formy „stanu wojennego", jego powodzenie zależałoby w poważnej mierze od postawy opozycji. Czy nie marzy się niektórym „pragmatycznym dogmatykom" ogłoszenie go przez Jaruzelskiego, ale z poparciem opozycji?

Czy legalizacja „Solidarności" i chęć włączenia reprezentantów opozycji do rządu nie są przygotowaniem do takiej operacji, jeśli okaże się ona konieczna? Polityka podobna jest do gry w szachy: przewiduje się różne ruchy partnera i rozmaite reakcje na każdą zmianę sytuacji. A pamiętajmy, że obecnie możliwość zbrojnej interwencji Moskwy w formie bezpośredniego udziału w operacji polskich służb bezpieczeństwa i wojska jest bardzo mało prawdopodobna. Właśnie Rakowski jest promotorem koncepcji, że partia w Polsce musi być zdolna do obrony „własnymi siłami", bez złudnych nadziei na „internacjonalistyczną pomoc".

Czy oferta porozumienia narodowego jest szczera, ocenić będzie łatwo. Po prostu należy przeanalizować trzeźwo to, co opozycji zostanie dane: czy będą to tylko symbole i współodpowiedzialność bez możliwości współdecydowania, czy też realny wpływ na władzę i realny w niej udział. A pamiętajmy, że w obliczu gospodarczej ruiny kraju nie tylko opozycja jest zainteresowana we współrządzeniu, ale także i kręgi rządzące wiedzą, że bez jakiegoś manewru ta wiosna lub lato mogą być ostatnimi dla nich i dla systemu.

A są sygnały niepokojące. Oferta Jaruzelskiego legalizacji „Solidarności" pod warunkiem zaakceptowania przez nią „porządku konstytucyjnego" jest propozycją nader niebezpieczną. Przecie obecny „porządek konstytucyjny" to władza monopartyjna. Przyjmując taką ofertę opozycja sama skazałaby się na polityczną nicość, sama wyrzekłaby się swoich pryncypiów. Obserwując polską scenę polityczną dość często odnosi się wrażenie, że opozycja przyjęła narzucone jej reguły gry: tajnych rokowań, meandrów niezrozumiałych dla nikogo poza grupką przywódców, zaskakujących opinię społeczną manewrów. Rządzący politycy mogą tak postępować, ale opozycja, jeśli chce być siłą społeczną i cieszyć się masowym poparciem, musi bronić jasno wyłożonych pryncypiów, musi działać jawnie, a jej przywódcy muszą rozliczać się przed społeczeństwem z każdego swego kroku. Bez tego zamieni się w grupkę politykierów tak samo oderwanych od społeczeństwa jak i władza.

Na ofertę akceptacji „porządku konstytucyjnego" odpowiedzieć można tylko: tak, ale przy demokratycznej konstytucji. Nowa konstytucja powinna być pierwszym i podstawowym przedmiotem negocjacji. Na żądanie zaakceptowania „pryncypiów socjalizmu" odpowiedzieć można tylko: tak, ale przy nowym ich zdefiniowaniu. Widzieliśmy już przecież różne socjalizmy, stalinowski, polpotowski, znamy ten nasz i czeski, a przez Bałtyk widzimy model szwedzki. Słowo socjalizm po prostu nic już nie znaczy bez sprecyzowania, o jaki model chodzi.

W obecnej nader trudnej sytuacji kraju, przy narastającej rozpaczy mas i przy dominacji w aparacie grup nastawionych konserwatywnie, które będą blokować każde porozumienie i sabotować każdą nową decyzję broniąc swej władzy i przywilejów, opozycja nie powinna rezygnować ze swej roli. Powinna być ostrożna w przyjmowaniu współodpowiedzialności za sytuację nie przez nią spowodowaną, powinna być natomiast gotowa poprzeć rozsądne wysiłki rządu, wspierać reformy mobilizacją sił społecznych. Można sobie wyobrazić, że — podobnie jak to ostatnio przyjęto w Moskwie — związki zawodowe uzyskają liczącą się reprezentację w Sejmie. Nowa konstytucja powinna temu nadać ramy prawne, podobnie jak reprezentacji różnych grup politycznych. Jednak do rządu mogliby wejść tylko eksperci, rekomendowani przez obecną opozycję, nie zaś jej działacze polityczni. I mogliby oni wejść w jego skład tylko pod warunkiem, iż sfery życia społecznego im powierzone będą rzeczywiście w ich gestii. Sytuacja ministra, który w istocie niewiele może zmienić i na wszystko musi mieć aprobatę KC, jest oczywiście niemożliwa do zaakceptowania. Jeśli władze partii szczerze pragną reform, powinny zaakceptować ich przeprowadzanie przez osoby kwalifikowane.

Rozumiejąc tak zwane „uwarunkowania geopolityczne", interesy i nawyki kół rządzących w Moskwie, można zaakceptować zasadę, zgodnie z którą reprezentacja różnych stronnictw w Sejmie byłaby wynikiem „kompromisu konstytucyjnego", i która zapewniałaby rządzącej partii pewne kwantum miejsc. Ale sprawy wol-

nych wyborów, zapewnionych nam przecież formalnie układem jałtańskim, nie należy przekreślać. Można się tylko godzić na stopniowe dochodzenie do systemu demokratycznego. Ceną za rezygnację obecnie z postulatu wolnych wyborów w skali kraju powinno być stworzenie warunków, w których Sejm odzyskałby swoją rolę, a zarazem gwarancje demokratycznych wyborów na szczeblu lokalnym. Jednak perspektywą jeszcze za życia naszego pokolenia winna być autentyczna niepodległość i demokracja parlamentarna.

Gotowość do wsparcia rządu ma sens tylko wtedy, kiedy służyć to będzie głębokim reformom i pozwoli odbudowywać struktury społeczeństwa obywatelskiego. A więc musi się łączyć z zezwoleniem na tworzenie ogniw „Solidarności" w zakładach pracy i struktur regionalnych (branżowe w warunkach autentycznej reformy tracą sens, mogą istnieć tylko obok tych pierwszych), stowarzyszeń, klubów politycznych, czy nawet partii, jak to już dzieje się na Węgrzech. Tylko wyzwolenie wszystkich inicjatyw społecznych i przezwyciężenie obecnego ubezwłasnowolnienia zapewnić może reformom dynamizm i ochronić społeczeństwo przed nadmiernymi ciężarami. Zapewne w wyniku tworzenia nowych organizacji i wyborów, część „historycznych" przywódców opozycji i tzw. ekspertów utraci swe obecne pozycje. Na tym jednak polega demokratyczny porządek. Mandat uzyskuje się na ściśle określony czas i trzeba się zeń rozliczyć. Obecni przywódcy opozycji tylko wtedy zapiszą się dobrze w naszej historii, jeśli stworzą zdrowe mechanizmy wyłaniania i weryfikowania politycznych elit.

Legalizacja „Solidarności" i opozycji politycznej oraz umożliwienie im działania w ramach nowego porządku konstytucyjnego jest wielką próbą nie tylko dla grupy rządzącej, ale także dla opozycji. Może nawet trudniejszym dla niej i bardziej ryzykownym niż dla partii, gdyż stara nomenklatura tylko broni swoich pozycji i godzi się na taktyczne ustępstwa, natomiast opozycja musi nie tylko zademonstrować społeczeństwu odczuwalne sukcesy niemal natychmiast, ale i wizję przyszłych przeobrażeń. Musi łączyć pragmatyzm z idealizmem, polityczne kompromisy z jasną świadomością odległego celu, jakim jest autentyczna demokracja i niepodległość, organicznie ze sobą powiązane. Niebezpieczna jest nie tylko megalomania, której nie raz ulegaliśmy, ale także krótkowzroczność, akceptowanie małych w gruncie rzeczy ustępstw w zamian za legitymizację obecnej władzy, która godzi się na ustępstwa tylko dlatego, że nie jest zdolna sama wyprowadzić kraju z kryzysu. Stawką w grze strony rządowej jest jej władza, opozycja zaś ma tylko pryncypia; handel wymienny pryncypiów za chwilowe i czasem tylko pozorne korzyści zawsze jest

ryzykowny. Utrata wiarygodności społecznej przywódców opozycji byłaby rzeczą najgorszą, jaka może się naszemu krajowi przytrafić.

Obawy takie żywi dziś wielu obserwatorów polskiej sceny politycznej przebywających na Zachodzie, dlatego też trzeba o nich głośno powiedzieć.

Krzysztof GAWLIKOWSKI

26 stycznia 1989

Z POWODU NADMIARU MATERIAŁU OMÓWIENIE NASZEJ ANKIETY PT. „DLACZEGO JESTEM NA ZACHODZIE" MUSIELIŚMY ODŁOŻYĆ DO NUMERU KWIETNIOWEGO.

REDAKCJA

Minimalizm radykalny

Już od dłuższego czasu nosiłem się z zamiarem napisania dłuższego artykułu omawiającego sytuację w Polsce, ale tempo wydarzeń w kraju nie pozostawiało czasu koniecznego dla zdystansowania się od codziennej bieganiny. Strajki majowe, wypłaty postrajkowych rekompensat, przygotowania Międzynarodowej Konferencji Praw Człowieka w Krakowie, konferencja, strajki sierpniowe, ponowna wypłata tym razem ogromnych rekompensat, masowe wyrzucenia z pracy — wszystko to przeplatane nasilającymi się lub słabnącymi zatrzymaniami, kolegiami, pobiciami i konfiskatami stanowiło najbardziej realną, wręcz dotykalną rzeczywistość otaczającą Komisję Interwencji i Praworządności i utrudniało entuzjazm dla okrągłego stołu, debaty telewizyjnej czy francuskiego sukcesu Lecha Wałęsy.

Dziś, kiedy nastał okres świąteczny, kiedy nawet najbardziej zatwardziali opozycjoniści zasiedli za świątecznymi stołami i telefon dzwoni tylko z rzadka, jest pora na refleksje i podsumowanie zysków i strat odchodzącego 1988 roku. Bilans chyba nie jest zły.

Co napawa optymizmem? Na pewno jakieś przełamanie apatii społeczeństwa, odradzanie się potrzeby działania, branie swojego losu we własne ręce, powolne, ale systematyczne odradzanie się szerszego ruchu społecznego. Strajki, majowe czy sierpniowe, to nie realizacja jakichś głębokich koncepcji politycznych, ale bardzo jednoznaczny wyraz masowych aspiracji. Myślę, że stały się one dla władz sygnałem alarmowym, nakazującym podjęcie kroków urealniających zapowiedziane bodajże od początku stanu wojennego reformy.

Jakie negatywy ujawnił rok 1988? Myślę, że przede wszystkim — zarówno po stronie władzy, jak i opozycji — brak koncepcji reformatorskich, które by w sposób jednoznacznie zrozumiały docierały do społeczeństwa i które by korespondowały z z trudnościami dnia codziennego, przeżywanymi przez naród. Ten bardzo niebezpieczny proces określiłbym jako alienację elit, grożącą utratą społecznego autorytetu i stwarzającą ryzyko niekontrolowanych wybuchów społecznych.

Dotychczas, kiedy próbowaliśmy opisywać sytuację w Polsce, posługiwaliśmy się modelem silnie spolaryzowanych przeciwieństw: naród — czerwoni, opozycja — władza, Wałęsa — Jaruzelski, demokraci — totalitaryści, „Solidarność" — PZPR, dobrzy i źli.

Dziś, mimo iż tak zarysowany dwubiegunowy model jest ciągle najszerzej w opinii publicznej rozumianym modelem polskiego społeczeństwa, to nie jest on w stanie wyjaśnić szeregu zjawisk społecznych, a z istniejącymi sprzecznościami zaczynają już konkurować nowe, które ulegając dalszemu pogłębieniu mogą w ciągu roku całkowicie zmienić obraz społeczeństwa polskiego i polskich problemów. Młodzi — starzy, bogaci i biedni, radykalni i umiarkowani, lewica i prawica — cokolwiek miałoby to dziś w polskich warunkach oznaczać — czy wreszcie politycznie aktywne elity i reszta społeczeństwa, to wszystko problemy, które mogą bardzo szybko swą wagą zdominować dotychczasowy schemat.

Być może świadczy to o ewolucji systemu i jest wyrazem normalizowania się polskiej sytuacji, niemniej jednak wyrastanie problemów nowych bez rozwiązania starych trudno uważać za remedium na bolączki, odczuwane przez wszystkich.

Trudno również ocenić wagę poszczególnych problemów, ponieważ skuteczne zablokowanie mechanizmów demokratycznych tak po stronie władzy, jak i opozycji zaciemnia obraz i przesłania go fasadą porozumień i nieporozumień, sukcesów i klęsk, dających się jednoznacznie interpretować w modelu czarno-białym, ale niekoniecznie przystających do realiów dzisiejszej Polski.

Na dodatek wszystko to pokrywa jeszcze sieć osobistych sentymentów i resentymentów, czyniących obraz stosunków w Polsce całkowicie nieczytelnym lub — co gorzej — odczytywanym opacznie.

Strajki sierpniowe i powstała w ich wyniku ewentualność prowadzenia negocjacji przy okrągłym stole zapoczątkowały proces gruntownych przemian w układzie sił politycznych w Polsce. Przemiany te to z jednej strony powstanie szeregu silnych ośrodków ruchu zawodowego, z drugiej strony polaryzacja środowisk zarówno w obozie władzy, jak i opozycji,

O ile pierwszy punkt właściwie nie wymaga komentarzy i jest po prostu stwierdzeniem faktu, że na terenie Jastrzębia, Stalowej Woli, Szczecina, Gdańska, Bełchatowa powstały silne, choć na

pewno dalekie od doskonałości, ośrodki robotniczego ruchu związkowego, o tyle drugi punkt wymaga już szerszego omówienia.

Dyskusja na plenum ujawniła istnienie wewnątrz PZPR bardzo silnych podziałów, dotyczących koncepcji władzy oraz negocjacji o porozumienie z opozycją.

Jest rzeczą zupełnie oczywistą, że sam pomysł dzielenia się władzą był dla większości uczestników plenum nie do przyjęcia. PZPR już bardzo dawno przestała reprezentować zauważalne oblicze ideologiczne i uczestnictwo w niej oznaczało w praktyce akces do władzy i akceptację mechanizmów totalitarnych. Akces ten opłacany był często społecznym ostracyzmem i stanowił o bilansie strat i zysków poszczególnych karierowiczów. Zakomunikowanie im, że są ideowymi komunistami, a władzą trzeba się będzie w jakiś sposób dzielić z opozycją, musiało wywołać silne rozczarowanie i żal, jakże wyraziście przezierający z poszczególnych wypowiedzi.

Ostateczny rezultat plenum, stanowisko w sprawie pluralizmu związkowego i politycznego, należy uznać za jednoznaczny przejaw istnienia wewnątrz PZPR grupy reformistycznej i jej realne zwycięstwo.

Problem, czy grupa ta działa w imię właściwie rozumianego interesu kraju, czy też celem jej jest realizacja partykularnych interesów grupowych, leży raczej w sferze sterowanych emocjami domniemywań niż faktów i nie bardzo poddaje się ocenom. Osobiście uważam, że jest zapewne i tak, i tak, jak wewnątrz każdej działającej politycznie grupy. Faktem jest natomiast zmiana koncepcji politycznej, a problemami — perspektywa jej realizacji oraz pojmowanie tego, co nazywamy dobrem kraju.

Podziałów nie uniknęła również opozycja. Można tu wyróżnić dwie przyczyny. Jedna — to poddanie się magii zabiegów socjotechnicznych władzy. Druga — to elitarność, a przede wszystkim hermetyczność prowadzonych rozmów.

Rzucony przez władzę pomysł istnienia opozycji konstruktywnej i niekonstruktywnej odbił się w niej szerokim echem.

W każdym bądź razie, kiedy ostatecznie władza przestała wysuwać obiekcje w stosunku do doradców związku, problem przestał istnieć, mimo że kilka dość poważnych organizmów opozycyjnych, jak KPN, Solidarność Walcząca, PPS-RD, Grupa Robocza Komisji Krajowej pozostały w „niekonstruktywnym" polu. Taki oto prosty zabieg, zastosowany przez władze, doprowadził do tego, że ludzi bardziej zaczęła dzielić ich „konstruktywność" lub „niekonstruktywność" niż łączyć opozycyjność.

Nie sposób odmówić zasług w tym zbożnym dziele również opozycji — ani konstruktywnej, ani tej drugiej. Jedni — celebrując hermetyczność rozmów i nie przedstawiając sensownych, konkretnych postulatów, podważali swą wiarygodność — drudzy nie

usiłowali nawet dojrzeć możliwości, płynących z jakichkolwiek rozmów z władzami. Jedni dbali, by przy stole nie powstał zbyt duży ścisk, drudzy — obrażeni — osądzili całą rzecz *a priori*.

◆

Jeśli chodzi o hermetyczność i elitaryzm negocjacji, to sądzę, że bardzo wyraźnie przekroczył on granice, podyktowane taktyką negocjacyjną i stał się w jakiejś mierze osłoną interesów grupowych wybranych elit „Solidarności". Nie bez znaczenia dla hermetyczności prowadzonych rozmów był również brak jednoznacznej własnej koncepcji porozumienia i wynikający stąd pasywizm.

W każdym bądź razie podważyło to autorytet kierownictwa „Solidarności" (co by przez nie nie rozumieć) i zaważyło na rysujących się podziałach.

Tak więc w chwili obecnej można próbować opisać sytuację w Polsce, konstatując istnienie z grubsza czterech grup politycznych — opozycji w opozycji, koncyliacyjnych grup Wałęsy i Jaruzelskiego oraz opozycji partyjnej.

Łatwo zauważyć, że wraz z usuwaniem sprzeczności pomiędzy „Solidarnością" i partią będą równolegle narastały sprzeczności wewnątrz poszczególnych obozów. Uprawiane bardzo często lekceważenie ugrupowań, pozostających w opozycji w stosunku do Lecha Wałęsy jest poważnym nieporozumieniem, gdyż fakt poparcia Wałęsy przez szerokie kręgi opiniotwórcze nie jest wcale równoznaczny z rozległością bazy społecznej. Zablokowanie mechanizmów demokratycznych wewnątrz „Solidarności", wywołane wprowadzeniem stanu wojennego, stworzyło sytuację, w której najbardziej obecnie aktywne elementy młodzieży akademickiej i robotniczej nie posiadają reprezentacji w gremiach kierowniczych „Solidarności".

Tak więc zapoczątkowany proces porozumienia jest o tyle atrakcyjny politycznie, o ile wyłaniające się centrum zdoła zgromadzić wokół siebie szeroką bazę społeczną. W przeciwnym razie albo próba porozumienia zakończy się fiaskiem, albo koniecznością stworzenia nowej formuły rządów autorytarnych.

Osobiście uważam, że wobec porozumienia nie ma innej alternatywy, jednakże jeśli próba porozumienia ma się zakończyć sukcesem, to nie mniejszą uwagę niż sam proces negocjacyjny powinny przyciągać procesy, zachodzące wewnątrz opozycji.

Dziś mniej więcej zdajemy sobie sprawę z ceny, jaką mamy zapłacić za relegalizację Związku. Jest ona w gruncie rzeczy wyższa niż rachowaliśmy i dotyczy w pierwszym rzędzie uczestnictwa w wyborach i obsadzenia mandatów w Sejmie.

Dlaczego uważam ją za bardzo wysoką? Dlatego, że nie dając realnego uczestnictwa w sprawowaniu władzy — czyni nas odpo-

wiedzialnymi za stan państwa, stan, który jest katastrofalny i na który przez ponad czterdzieści lat nie mieliśmy wpływu. Z tego dziś wszyscy zdają sobie sprawę, ale za pół roku czy rok za krach gospodarczy, inflację, ubożenie społeczeństwa w oczach najszerszej opinii publicznej odpowiadać będziemy na równi z Jaruzelskim, Rakowskim i ich współpracownikami.

Myślę, że przyjęcie tej ceny możliwe jest tylko pod dwoma warunkami: po pierwsze, że reforma gospodarcza nie będzie się odbywała na koszt społeczeństwa i po drugie, że to nie „Solidarność" stanie się uczestnikiem problematycznej władzy.

„Solidarność" jako ruch społeczny nie posiada odpowiednich struktur organizacyjnych, które mogłyby jej zapewnić autentyczny udział w rządzeniu, natomiast „Solidarność" jako związek zawodowy powinna się bać takich schizofrenicznych rozwiązań jak ognia. Czterdzieści lat doświadczeń z „przewodnią siłą narodu" powinno być dla nas ostrzeżeniem przed tworzeniem tego rodzaju tworów, które są odpowiedzialne za wszystko i wszystkim kierują, są jedynym słusznym przedstawicielstwem społeczeństwa, dbają o gospodarkę, otaczają opieką pracowników, uczestniczą w polityce międzynarodowej — i tak dalej, i tak dalej. To już przerabialiśmy.

Niech każdy odpowiada do końca za to, czego się podjął. Związek jest instytucją, która — jeśli ma być wiarygodna dla społeczeństwa — musi po pierwsze reprezentować interesy pracowników. Może, rozumiejąc konieczności gospodarcze, zawierać kompromisy, ale nie może jednocześnie reprezentować i pracownika, i pracodawcy, niezależnie od tego, czy jest nim państwo, czy spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Dla polityków i ich wszechogarniających doktryn naprawy Rzeczypospolitej są partie polityczne, które — daj Boże — będą się rozwijały, tworzyły koalicje, zrywały je, wysuwały swoich kandydatów lub bojkotowały wybory. Oczywiście związek będzie udzielał poparcia jednym partiom, a odmawiał go innym, w zależności od tego, jak ich programy będą uwzględniały interesy pracowników i związku. Co więcej, w początkowym okresie związek będzie miał niezmiernie silny wpływ na politykę, tak, jak to miało miejsce na Zachodzie w latach pięćdziesiątych - sześćdziesiątych, ale wpływ będzie miał tylko wtedy, jeśli zachowa swój związkowy charakter, jeśli będzie reprezentantem pracowników, jeśli odzyska swoją tożsamość.

W procesie reformy rola związku jest kluczowa. Musi on być amortyzatorem przemian społecznych, musi mieć wpływ na ich tempo i rozmiary, musi negocjować w imieniu załóg warunki reformy, ale nie może przyjmować za nią odpowiedzialności. Reforma, która miałaby przynieść odrodzenie gospodarcze, wymaga

głębokich przemian społecznych, będzie powodowała bezrobocie, będzie wymagała przekwalifikowania się ludzi, podjęcia i rozwiązania tych problemów. To gigantyczne zadanie dla związku i jego podstawowy wkład w dzieło reformy i nie bardzo sobie wyobrażam, aby związek było stać na coś więcej. Postarajmy się w ramach reformy zabezpieczyć interesy pracownicze, a wtedy odzyskamy społeczną wiarygodność i odbudujemy związek. Wykonamy pracę pożyteczną dla społeczeństwa i dla kraju. Jeśli tego nie zrobimy, wątpię, abyśmy mogli w jakikolwiek sposób oddziaływać pozytywnie na losy państwa polskiego.

◆

Spośród licznych problemów, które mają być przedmiotem debaty przy okrągłym stole, poza reformą polityczną główną uwagę przyciąga stolik reform gospodarczych. Wszyscy wiedzą, że jest bardzo źle, że bez gruntownych reform nie pojedzie się dalej, że kryzys, że inflacja, że trzeba temu jakoś zaradzić. Można by nawet twierdzić, że generalny kształt reformy uzyskał w jakiejś mierze społeczny konsensus.

Na pewno prof. Kurowski czy dr Bugaj wyparliby się ojcostwa reformy, podkreślając szereg wypaczeń, niekonsekwencji i absurdów, tym niemniej wśród wyżej wymienionych niekonsekwencji można przy dobrej woli odczytać postulaty ekonomiczne, zawarte w programie związku, uchwalonym na I Krajowym Walnym Zjeździe Delegatów „Solidarności" i powtórzone w szeregu innych dokumentów związkowych. Ponieważ, jakby nie było, program związku był wyrazem aspiracji jego 10-ciu milionów członków, a władze — chcąc nie chcąc — musiały go zaakceptować, to można by twierdzić, że zostało osiągnięte porozumienie narodowe.

Zrównanie trzech sektorów, poparcie dla niezależnych inicjatyw gospodarczych, uruchomienie rynku, dopuszczenie zagranicznego kapitału, obrót środkami dewizowymi, restrukturyzacja przemysłu, priorytety dla rolnictwa, budownictwa, ekologii — to wszystko wygląda słusznie. Oczywiście reforma, prowadzona pod kierunkiem premiera Rakowskiego i ministra Wilczka w oparciu o stale ten sam aparat partyjny i gospodarczy przywodzi na pamięć nepotyzm epoki gierkowskiej, jednakże nie to budzi mój największy niepokój. Najbardziej niepokoi mnie, że obydwie proreformistycznie nastawione strony —i władza, i opozycja — ani się zająkną, jakie to przykre konsekwencje niesie ze sobą reforma dla społeczeństwa. Nie chcę wchodzić w to, czy władza ma reformatorskie intencje, czy nie, czy spetryfikowany aparat partyjny — legendarny beton — zdoła reformę zablokować, czy też reforma obejmie również partię. Interesuje mnie tylko przypadek

pozytywny, a mianowicie: kiedy w ramach paktu antykryzysowego będziemy reformowali gospodarkę, to — po pierwsze — skąd weźmiemy na to pieniądze, po drugie — co się podczas reformy będzie działo ze społeczeństwem?

Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, to podejrzewam, że odpowiedź jest następująca: jeśli władza porozumie się z opozycją, jeśli opozycja zabezpieczy, że społeczeństwo nie będzie się burzyć, to uwiarygodniona w ten sposób władza dostanie w imię ochrony *pieriestrojki* trochę pieniędzy od Zachodu.

Gorzej jest z pytaniem drugim. Władza odpowiada na nie: „Te sprawy załatwi pani Janina Król z Ministerstwa Pracy, Płacy i Spraw Socjalnych". Gdyby reforma naprawdę ruszyła, to współczułbym pani Janinie Król chyba jeszcze bardziej, niż prof. Łętowskiej, nie mniej jednak odpowiedź władz uważam za mało przekonującą. Jeśli chodzi o opozycję, to ta nie tylko na to pytanie nie odpowiada, ale nawet go nie stawia, co jak na instytucję wyrosłą w oparciu o związek zawodowy można uznać za fakt zdumiewający. Bo albo trzeba kompletnie nie wierzyć w możliwość reformy, albo też trzeba ją sobie wyobrażać jako gigantyczny kataklizm społeczny. Zamykanie zakładów pracy, lokalne — jeśli nie generalne — bezrobocie, konieczność przekwalifikowania ludzi, konieczność przemieszczania ich przy zupełnym braku rezerw mieszkaniowych — itd., itd. To tylko problemy z tak zwaną siłą roboczą, zwaną kiedy indziej podmiotem historii. A to przecież nie koniec, to tylko efekty najbardziej namacalne, najłatwiej uchwytne. Bo reforma, która jest polskiej gospodarce konieczna, wymaga zmiany hierarchii wartości, zmiany mentalności społeczeństwa, powoduje awans lub całkowitą degradację całych grup społecznych. Od kapitalizmu do realsocjalizmu droga była bardzo ciernista i nie ma powodu sądzić, by przejście do normalnego społeczeństwa było łatwiejsze. Dlaczego się o tym nie mówi? Na czym opiera się nadzieje, że jakoś to będzie? Na drugiej izbie parlamentu? Żarty! W sytuacji, w której w zamian za ciągle niejasne obietnice reform politycznych władza zamierza ograniczyć uprawnienia społeczeństwa w takich dziedzinach, jak pełne zatrudnienie, 42-godzinny tydzień pracy, ochrona zdrowotna, ochrona socjalna, uprawnienia pracownicze — może wypadałoby się skupić właśnie na tych zagadnieniach. W przeciwnym wypadku zarówno los reformy, jak i los historycznego porozumienia widzę dość smętnie.

Jeśli „Solidarność" nie stworzy jasnego programu działania w obronie pracowników, jeśli nie wywalczy dla siebie odpowiednich form organizacyjnych, narzędzi presji i środków materialnych, pozwalających na realizację ochrony pracowników podczas reformy, to reszta zdobyczy okrągłego stołu, nawet łącznie

z przywróceniem jakiegoś ułomnego pluralizmu związkowego, poza wywołaniem chwilowego entuzjazmu, nie będzie w stanie odwrócić wybuchu pogłębiającej się frustracji społeczeństwa. Wybuchu, który będzie tym mniej kontrolowany i tym groźniejszy, że społeczeństwo wystąpi do walki o swe prawa pozbawione elit i odrzucające wiarę w autorytety. Wyrosło nowe pokolenie. Nagromadziło się zniecierpliwienie. Wzrósł społeczny radykalizm. Pytanie, w jakiej mierze elity opozycyjne odzwierciedlają nastroje społeczne, staje się coraz bardziej uzasadnione.

Musimy sobie bardzo jasno zdawać sprawę, że autorytet zarówno kierownictwa związku, jak i elit opozycyjnych, bardzo wyraźnie zmalał i wszelkie porozumienie z władzami, które nie będzie w pełni dla ludzi jednoznaczne, nie będzie zachowywało naszej tożsamości i zapewniało możliwości niezależnego i skutecznego działania na rzecz społeczeństwa, może nas bardzo łatwo postawić po drugiej stronie barykady. I to jest ewentualna klęska rozmów okrągłego stołu. Jak jej uniknąć?

Myślę, że jest kilka warunków koniecznych do spełnienia:

1. Walka o relegalizację „Solidarności" oraz przygotowanie programu i zapewnienie środków jego realizacji (prawnych, materialnych i organizacyjnych), pozwalających zalegalizowanemu NSZZ „Solidarność" na podjęcie skutecznych działań w obronie pracowników przy jednoczesnym promowaniu celów reformy gospodarczej.

2. Jasna i ścisła informacja opinii publicznej o przygotowaniach do rozmów czy toczących się rokowaniach. Sformułowanie prostego i jednoznacznie zrozumiałego pakietu postulatów „Solidarności".

3. Uruchomienie mechanizmów demokratycznych wewnątrz opozycji, pozwalających na stworzenie reprezentatywnego przedstawicielstwa.

Zabiegi o relegalizację związku przebiegają w atmosferze, jak już pisałem, pasywizmu i oczekiwania, co też władza, przyciśnięta do muru narastającym kryzysem, jest nam w stanie zaproponować.

Rzeczywiście, nie wiemy do końca, czego władza zażąda, a na co pozwoli, ale to wyłączne ukierunkowanie na obserwowanie posunięć władzy wydaje się w ogóle nie brać pod uwagę aspiracji członków odradzającego się związku i warunków niezbędnych dla tego, aby mógł on po relegalizacji odegrać pozytywną rolę w procesie społecznej odnowy.

Poza obszarem zainteresowania pozostają takie elementy sytuacji, jak odradzanie się i umacnianie zorganizowanego ruchu związ-

kowego oraz towarzyszący temu i będący odpowiedzią na przeciągające się negocjacje wzrost radykalizmu załóg.

Z mojego punktu widzenia jest to element podstawowy oceny sytuacji, który powinien spowodować rewizję naszego stanowiska i doprowadzić do jednoznacznego sformułowania warunków relegalizacji związku. Jeśli nie uzyskamy go dziś, podczas rozmów przy okrągłym stole, to uzyskamy go jutro w wyniku fali strajkowej.

Każdy, kto ma jakikolwiek kontakt z załogami wie, że wraz z więdnięciem perspektyw negocjacji wyrasta w zakładach pracy świadomość konieczności podjęcia strajku na wiosnę. Nikt tego nie ukrywa. Mówią o tym górnicy w Jastrzębiu, hutnicy w Stalowej Woli, portowcy i stoczniowcy na Wybrzeżu, w Gdańsku i w Szczecinie.

Spróbujmy porównać sytuację z grudnia 1987 i grudnia 1988. Rok temu marazm i niewiara były wszechogarniające. W zakładach pracy, głównie na Wybrzeżu Szczecińskim, nieliczne grupki straceńców zakładały komitety założycielskie, rodziła się koncepcja kas samoobrony, a potem maj, sierpień i powszechne poczucie potrzeby związku i rosnąca wiara w relegalizację „Solidarności". Dziś punkt wyjścia jest już zupełnie inny. Pięć silnych ośrodków „Solidarności" i odradzający się ruch związkowy w reszcie kraju. Dziś NSZZ „Solidarność" to nie lepsza lub gorsza koncepcja polityczna rozwiązania kryzysu społeczno-politycznego kraju, tylko wyraz rosnącej potrzeby pracowniczej. Naprawdę nie musimy w tej chwili oczekiwać, na jaki związek nam władze pozwolą, aby doprowadzić w ten sposób do kompromitacji samej idei. My mamy prawo żądać związku i to takiego, który mógłby być odpowiedzią na oczekiwania społeczne i który mógłby stać się konstruktywnym elementem przeobrażeń społeczno-gospodarczych.

Jeśli mówiłem o pesymizmie w stosunku do 1989 roku, to miałem na myśli nie tyle opór władzy, doskonale nam znany i systematycznie słabnący wraz z ze zrozumieniem głębokości kryzysu i niesłabnącego oporu społecznego, ale przede wszystkim brak konkretnego programu i brak wiary w demokratyczny ruch społeczny ze strony opozycji.

Tego rodzaju postawa podważa wiarygodność „solidarnościowych" elit zarówno w oczach władzy, jak i społeczeństwa. Jeśli jutro chcemy mieć „Solidarność", to już dziś musimy zadecydować o tym, jaka ona ma być, a stworzenie związku, który by ochraniając interesy pracowników stymulował jednocześnie procesy reformy gospodarczej nie jest wcale rzeczą prostą i obawy, wysuwane przez PZPR-owskich reformistów, wcale nie są pozbawione podstaw.

Bo wizja ot tak, od zaraz powstałego związku jest dość przerażająca, a obydwie alternatywne perspektywy mało obiecujące. No

bo cóż, tak się akurat składa, że główną bazę związku stanowią robotnicy wielkoprzemysłowi. Tak się również składa, że czterdziestoletnia polityka gospodarcza realsocjalizmu, nie dostrzegająca przemian technologicznych na świecie, doprowadziła do sytuacji, w której właśnie rozbudowany przemysł ciężki przynosi największe straty i domaga się najdalej idących przeobrażeń. Jak długo społeczeństwo i cała gospodarka mogą dokładać do nierentownych hut, stoczni czy innych zakładów wielkoprzemysłowych? Nie jestem ekonomistą ani ekologiem i nie jestem w stanie ocenić rentowności lub nierentowności poszczególnych zakładów, czy też zagrożenia, jakie stwarzają dla środowiska. Nie wiem, czy w warunkach abstrakcyjnie wyznaczanych cen pojęcie rentowności w ogóle nie jest pojęciem umownym.

Niemniej jednak potrzeba restrukturyzacji polskiego przemysłu wydaje się być niekwestionowana i likwidacja nierentownych, bądź groźnych dla środowiska zakładów dość nieuchronna. Powoduje to zwalnianie ludzi z pracy, a na nowo powstające warsztaty pracy trzeba chwilę poczekać. Ludzie nie mają dostatecznych kwalifikacji do podjęcia nowej pracy. Lądują na bruku.

Przed Komisją Interwencji, o ile znajdzie się dla niej miejsce w zalegalizowanym związku, zaczynają tworzyć się kolejki, jak przed ambasadą amerykańską latem. Oczywiście nie odciąża to w niczym kolejek przed rozmaitymi ambasadami, które rosną lawinowo, a wraz z nimi zniecierpliwienie i impertynencja personelu konsularnego.

Dochodzi do strajków, manifestacji, może zamieszek, lecą kamienie. Gdzie w takiej sytuacji zamierza znaleźć się związek? Przy obecnym zaawansowaniu koncepcji działalności związkowej widzę tylko dwa rozwiązania: albo związek, idąc za swą bazą, to znaczy popierając roszczenia robotników wielkoprzemysłowych, staje się elementem całkowicie konserwatywnym, blokującym reformę, albo też wraz z prokuraturą ogłasza strajki za nielegalne, dzikie i wysyła swych przedstawicieli, ażeby tłumaczyli robotnikom, że trudno — muszą pocierpieć, bo tego wymaga dobro kraju. Z góry współczuję takim wysłannikom. Tego rodzaju perswazje w żadnej mierze nie zapobiegną narastaniu w kraju nastrojów radykalnych, a sprawią jedynie, że kierownictwo związku pójdzie w jedną, a związkowcy w drugą stronę. Nie da się tłumaczyć ludziom rzeczy niewytłumaczalnych. Ja do wygaszania strajków jeździć nie będę.

Czy nie ma trzeciego wyjścia?

Owszem, jest, ale wymaga ono koncentracji na problemach związku, wymaga dzikiego trudu organizacyjnego i wymaga wiary, że jeśli dopracujemy się rozwiązania, to jeśli nawet nie znajdzie ono aprobaty u władz, to zbudowany przez nas ruch społeczny będzie na tyle silny, ażeby to rozwiązanie narzucić. Trzeba

wierzyć w ludzi i w siebie. Zupełnie nie rozumiem, skąd ci sami ludzie, którzy nie wierzą w ruch, nie wierzą w możliwość realizowania szerszych koncepcji społecznych, w podejmowanie niezależnych inicjatyw związkowych, kiedy wkraczają na arenę polityczną, nabierają przekonania, że gdyby to oni znaleźli się w gremiach kierowniczych, to od razu życie w Polsce popłynęłoby innym torem.

W tej chwili możemy stwierdzić, że odradzający się po strajkach sierpniowych związek zbliża się do absolutnego pułapu możliwości rozwojowych w warunkach działalności jawnej, lecz nielegalnej. Na terenie objętym działaniami Komisji Interwencji ten pułap został już po prostu osiągnięty: 0,5 mld wypłat postrajkowych, dokonane bez telefonów, teleksów, biura, obsługi bankowej — to więcej niż maksimum tego, co się daje zrobić. Istniejące struktury organizacyjne nie są przystosowane do obsługi tak wielkiego ruchu i o ile nie zostaną podjęte kroki dostosowujące te struktury do potrzeb chwili, to dalszy rozwój utonie w bylejakości, bałaganie i zniechęceniu. Zapewne są jeszcze jakieś rezerwy, które można by i trzeba uruchomić, ale wykonanie następnego jakościowego skoku wymaga już relegalizacji „Solidarności".

Czy oznacza to przyjęcie każdej propozycji władzy? Z całą pewnością nie, gdyż z dwojga złego lepsze jest chwilowe ograniczenie rozwoju niż generalna kompromitacja samej idei, nie będącej w stanie rozwiązać wyżej zarysowanego dylematu.

Nie jestem zatwardziałym legalistą i nie mam nabożnego stosunku do statutu z roku 1981. Statut jest narzędziem, środkiem działania i prawie osiem lat rozwoju stosunków społecznych to okres dostatecznie długi, aby zachodziła potrzeba korekty. Tym niemniej istnieją pewne warunki, niezbędne do tego, aby związek zachował swoją tożsamość.

Co „Solidarność" powinna sobie zapewnić, aby mogła odpowiedzialnie podjąć funkcje niezależnego związku zawodowego?

Myślę, że dwie rzeczy — po pierwsze pełną niezależność formowania niezależnych wewnętrznych struktur organizacyjnych, po drugie — realne prawo do strajku.

Co się tyczy niezależności, to ustawa z 1982 roku przewiduje rejestrację związku na szczeblu zakładowym i nadaje tym samym organizacjom zakładowym osobowość prawną. Organizacje te mogą tworzyć federację związków zawodowych, bądź też rezygnując ze swej osobowości prawnej mogą utworzyć jednolitą, ogólnopolską organizację związkową.

Nic więc nie stoi na przeszkodzie, by organizacja taka miała dowolną, dogodną do działania strukturę pośrednią, branżową, zawodową, bądź terytorialną. Tak więc sprawa wyboru wewnętrznej organizacji związku jest sprawą jego suwerennej decyzji i nie powinna być przedmiotem żadnych negocjacji. Tym bardziej,

jeśli związek ma zachować swój demokratyczny charakter, to przedmiotem uzgodnień nie mogą być żadne sprawy kadrowe związku. Kiedy podczas debaty z Alfredem Miodowiczem Lech Wałęsa mówił o innym obliczu związku i o koniecznych zmianach kadrowych, rozumiem, że miał bardziej na myśli udział we władzach związku demokratycznie wybranych przedstawicieli młodych załóg, będących jego siłą napędową, niż wyrugowanie starej, znienawidzonej przez władzę ekstremy. To, co piszę, to rzecz zupełnie oczywista, ale można się spodziewać, że właśnie w tym kierunku pójdą naciski władz, usiłujących ograniczyć niezależność i samorządność związku. Jest na przykład rzeczą bardzo charakterystyczną, że nowy projekt kodeksu pracy w ogóle nie uwzględnia istnienia pośrednich struktur związkowych, a jedynie zakładowe i ogólnopolskie. W takiej sytuacji organizacje zakładowe w małych przedsiębiorstwach tracą praktycznie wszelkie oparcie i przestają w ogóle odgrywać jakąkolwiek rolę.

Znacznie trudniejszym problemem jest problem prawa do strajku. Byłoby zupełnym nieporozumieniem, gdybyśmy wraz z OPZZ-em, który już to ustami niektórych swych członków czynił, nie stwierdzili, że przyznane w ustawie z 1982 roku prawo do strajku jest po prostu czystą fikcją prawną. Doskonale sobie zdaję sprawę, że jeśli podejmiemy tę kwestię, to Jerzy Urban oświadczy, że „Solidarność" powraca do swych anarchistycznych tradycji i w tych warunkach nie może być wiarygodnym partnerem narodowego porozumienia. Tym niemniej uważam, że „Solidarność" powinna po pierwsze zachować wiarygodność w oczach swych członków, a problem wiarygodności w oczach Jerzego Urbana odłożyć na plan dalszy. Musimy zdawać sobie sprawę z tego, o czym zresztą mówił wyraźnie rzecznik rządu, że rok 1989 przyniesie nam jeśli nie falę, to przynajmniej znaczną liczbę strajków w pojedynczych zakładach pracy. Zgodnie z ustawą z 1982 roku wszystkie one będą nielegalne. Dokąd cała „Solidarność" jest nielegalna i za noszenie znaczka „S" płaci się kolegium, możemy się tym faktem po prostu nie przejmować, ale co zrobimy, kiedy zaistniejemy legalnie? Czy odetniemy się od tych strajków? Czy też będziemy je popierać, narażając się na zarzut niedotrzymania porozumień? Z tej sytuacji nie ma żadnego dobrego wyjścia poza frontalnym podjęciem problematyki strajkowej. Nie sposób nie zgodzić się, że strajki szkodzą gospodarce, ale związek zawodowy tworzy się przecież nie po to, żeby strajkować, ale po to, żeby móc negocjować sporne problemy zbiorowe. Tego rodzaju negocjacje nie są czczą fikcją tylko wtedy, kiedy istnieje realne prawo do strajku. I my projekt takiego prawa musimy stworzyć. Projekt ten musimy bardzo szeroko skonsultować z załogami, wynegocjować z władzami, a następnie bardzo skrupulatnie przestrzegać. Tego problemu nie da się pominąć milczeniem.

Kolejne dwa problemy, wobec których związek musi mieć jednoznacznie wypracowane i jasne dla wszystkich stanowisko to problemy ochrony społeczeństwa przed skutkami inflacji i ochrony pracowników w procesie przeprowadzania reformy gospodarczej.

Galopująca inflacja jest czytelna dla wszystkich, czego niestety nie daje się powiedzieć o stanowisku związku w tej sprawie. Wydaje się, że najwyższy czas przedstawić społeczeństwu nasze postulaty. Chylę czoła przed specjalistami w tej dziedzinie, jeśli są oni w stanie zdecydować się na jakieś rozwiązanie, to stanę się najgorętszym jego chwalcą i propagatorem, ale jak na dziś — widzę tylko dwa rozwiązania: albo zamrożenie cen i płac, albo indeksację wynagrodzeń. Stanowisko władz, jak dotychczas, określiłbym eufemistycznie jako stanowisko „połowiczne". Wszelkie starania dotyczą bowiem w gruncie rzeczy ograniczenia wzrostu płac, pozostawiając sprawy cen fluktom wolnego (no, może bez przesady) rynku. Że się to władzom nie udawało i że rzeczywistość biegła swoim torem, to sprawa zupełnie inna, ale intencje były niewątpliwie takie, a inflacja spokojnie rosła. Ponieważ przełamywanie barier płacowych przebiegło znacznie efektywniej w dużych zakładach pracy, to można przyjąć, że o ile skutki inflacji zostały tam w jakiś sposób przynajmniej częściowo zrekompensowane, to skutki działań płacowych skupiły się na małych przedsiębiorstwach i tak zwanych jednostkach budżetowych. Mieści się tu oświata, kultura, nauka, ochrona zdrowia, sądownictwo, renty i emerytury itp. Oczywiście mieści się tutaj resort spraw wewnętrznych i obronności, ale w tych resortach władze nie były już tak pryncypialne w przestrzeganiu tworzonych przez siebie barier antyinflacyjnych i płace jakoś tam nadążały za inflacją.

Jakie jest moje stanowisko w tej sprawie? Uważam, że jeśli decydujemy się na reformę, to jej podstawowym elementem jest stworzenie wolnego rynku, a więc wszelka próba zablokowania cen jest po prostu absurdalna. Ceny muszą się ukształtować na poziomie wyznaczonym przez popyt i podaż i na to nie mamy żadnej rady, jeśli chcemy mieć zdrową gospodarkę. Do tego czasu muszą rosnąć, być może, że potem zmaleć, ale osiąganie stanu równowagi nie da się osiągnąć w systemie nakazów lub zakazów.

Na pewno istnieją jakieś ekonomiczne mechanizmy, pozwalające wpływać na ruch cen, przyhamować inflację, ale to sprawa specjalistów, którym życzę w tej dziedzinie wszystkiego najlepszego, ja natomiast nie zgadzam się z tym, aby koszty reformy i wolnego rynku, poprzez stworzenie barier płacowych, w całości przerzucić na społeczeństwo.

Jakie widzę rozwiązanie? Chyba tak zwaną indeksację płac. Ekonomiści kręcą na to nosami, że podobnie jak z systemem kartkowym — łatwo jest w indeksację płac wejść, ale niezupełnie wiadomo, jak z niej wyjść, niemniej jednak — skoro nie zgłaszają innych konstruktywnych propozycji w tym względzie, to może jednak opowiedzmy się za indeksacją, tym bardziej, że ma ona w dziejach związku bardzo długą tradycję, wywodzącą się od 21 postulatów gdańskich.

Co właściwie znaczy indeksacja? Oznacza ona automatyczne dostosowywanie wzrostu płac do rosnących cen. Tak więc istnieje jakieś obdarzone autorytetem społecznym ciało, badające systematycznie wzrost cen i ogłaszające w tej sprawie komunikat. Oczywiste jest, że w ciele tym uczestniczą przedstawiciele związków zawodowych, prowadzących w tym przedmiocie własne badania. Badają oni po prostu koszty utrzymania. Jeśli koszty utrzymania wzrosły, w ciągu miesiąca na przykład, o 5 %, to w następnym miesiącu wszyscy ustawowo otrzymają o 5 % większe pobory. Tak więc jeśli ktoś w poprzednim miesiącu otrzymał 50 tys., a w następnym 52,5 tys., to nie jest to wynik podwyżki, otrzymanej z dobrej woli dyrekcji, lecz jest to po prostu wyrównanie jego poborów do tego, co zarobił w poprzednim miesiącu.

Istnieje oczywiście wcale niebanalny problem naliczania kosztów utrzymania, ale ten problem pozostawiłbym specjalistom. Natomiast chciałbym ustosunkować się do problemu — czy na to nas stać. Na pewno nie potrafię do końca na to pytanie odpowiedzieć, ale chciałbym przytoczyć przynajmniej dwa argumenty za tym, że nie jest to już ten ostateczny cios w plecy walącej się gospodarki. Trudno mi powiedzieć, jak ta sytuacja wygląda dzisiaj, ale kiedy interesowałem się w zeszłym roku tym problemem, to dowiedziałem się, że koszt robocizny w ostatecznej cenie wyrobu stanowi w Polsce 7 % do 10 % (to ostatnie miało miejsce w górnictwie), resztę pochłaniają koszty własne, narzuty, podatki, amortyzacja itp. rzeczy. Dla porównania warto dodać, że w Japonii udział ten wynosi około 20 %, a we Włoszech 25 % i więcej. Co to znaczy? Oznacza to, że jeśli jakiś wyrób kosztuje — powiedzmy — 100 zł, to do kieszeni robotnika trafia złotych siedem. Jeśli wyrób zdrożał — powiedzmy — o 50 %, kosztuje, dajmy na to, 150 zł, to indeks podwyżkowy wynosi 50 % i do kieszeni robotnika trafi zamiast 7 zł — 10,5 zł, a pozostałe 46,5 zł pochłoną koszty, podatki, amortyzacja itp., itd. Tak więc nie bardzo rozumiem, dlaczego bój toczy się właśnie o te 3,5 zł, a nie o całą resztę. Przypomina to zwalczanie kryzysu energetycznego poprzez wygaszanie świateł w mieszkaniach, reklam neonowych i świateł na ulicach, co jest widowiskiem bardzo spektakularnym i bardzo denerwującym, ale za to całkowicie nieskutecznym, bo oszczędzone w ten sposób 1 %-2 % energii i tak w żaden sposób nie wpływa na zaspokojenie potrzeb energochłonnego przemysłu. Przysłowiowe zawracanie Wisły kijem. Obawiam się, że podobnie jest z płacami. Zresztą nie przypuszczam,

aby prywatni „kapitaliści" ze spółek, firm polonijnych czy przedsiębiorstw zagranicznych dokładali do interesu, a pensje w takich instytucjach są co najmniej o 100 % wyższe niż w przedsiębiorstwach państwowych. Ba, co więcej władza, przyciśnięta strajkami majowymi i sierpniowymi, była w stanie dość prosto wygospodarować 20-30- i więcej-tysięczne podwyżki, czego — prawdę powiedziawszy — nikt nie oczekiwał. Lepsza inflacja niż „Solidarność". Tak więc nie w płacach leżą rezerwy naszej ekonomii, ale właśnie w organizacji, a właściwie dezorganizacji pracy, w obciążeniach biurokratycznych itp. Tak więc zamiast toczyć nieustanną walkę z płacami i z obawą oczekiwać kolejnych strajków, zresztą nieuchronnych, może lepiej stworzyć sprawiedliwy, jednoznaczny, dla każdego zrozumiały system rekompensowania skutków inflacji? Prawda, że system indeksacji musi objąć nie tylko tych, którzy wykonują przedmiot wartości 100 zł, ale również i tych, którzy nie wykonują żadnego przedmiotu, a więc emerytów, nauczycieli, lekarzy, sędziów, pracowników naukowych, a także zatrudnionych w gospodarce i urzędach centralnych urzędników, milicjantów i wojsko, ale i tak — nawet przy bardzo niekorzystnym układzie rozrostu pracowników nieprodukcyjnych — spodziewam się, że z tych 50 zł podwyżki cen co najwyżej 10 pójdzie na płace, a resztę pochłoną, jak dotychczas, koszty naszej niegospodarnej gospodarki.

Jeśli nie mamy innego, lepszego postulatu, to wyjdźmy z takim i spróbujmy przekonać o nim społeczeństwo. Spróbujmy wywierać presję. Zacznijmy drukować w naszej prasie w każdym miesiącu indeks wzrostu kosztów utrzymania, to już będzie coś.

Inicjatywę taką podjęła kiedyś, i słusznie, Grupa Robocza i Sieć, ale jakoś się z niej wycofały. Mam prawo przypuszczać, że po prostu z braku środków. Bo na to też są potrzebne środki: wypracowanie koncepcji, ustalenie wzrostu kosztów utrzymania nie jest wcale rzeczą prostą, a comiesięczne obliczanie i analizowanie indeksu to też zajęcie i trzeba mieć ludzi, którzy się tym zajmą. A na dodatek — czego jakoś nikt nie dostrzega — ludzie ci muszą z czegoś żyć, a wobec tego trzeba im normalnie zapłacić i normalnie wymagać. Zamiast co pewien czas odwoływać się do zupełnie nieprzygotowanych, może nawet dobrych fachowców, którzy w tej sytuacji nie są w stanie wyjść poza rady, dostępne każdemu bardziej utalentowanemu dyletantowi, spróbujmy zaistnieć jako instytucja. Utwórzmy instytut, zespoły robocze, stawiajmy konkretne problemy i żądajmy konkretnych odpowiedzi. Stać nas na to.

A teraz drugi, kapitalny dla związku, problem — problem ochrony pracowników w okresie reformy gospodarczej. Jeśli nie wypracujemy w tej sprawie jasnej koncepcji i nie zapewnimy sobie

odpowiednich narzędzi jej realizacji, to właściwie nie wiem, czy warto związek relegalizować, bo skończy się to tylko generalną kompromitacją i rozłamem. Nie sądzę, abym był w stanie tę problematykę wyczerpać, ale osobiście widzę dwa konieczne warunki pomyślnego przebycia przez związek trudnego okresu reformy i restrukturyzacji gospodarki:

1. Zapewnienie sobie odpowiednich środków prawnych.

2. Zapewnienie sobie środków materialnych, pozwalających na łagodzenie społecznych skutków reformy przy jednoczesnym stymulowaniu jej przebiegu.

Ad 1: Uważam, że niezbędne jest przygotowanie projektu i wynegocjowanie z władzami ustawy o ochronie pracownika podczas przeprowadzania reformy gospodarczej. Problematyka ochrony pracownika w okresie uzdrawiania gospodarki przedsiębiorstw została dostrzeżona przez władze w nowym kodeksie pracy, jednakże postulowane zmiany posiadają charakter negatywny i idą w kierunku drastycznego ograniczenia uprawnień pracowników przedsiębiorstw, ulegających likwidacji, bądź reorganizacji. Warto przy tym zauważyć, że stanowisko władz podczas reorganizacji urzędów centralnych było zupełnie inne. Pracownicy rozwiązywanych ministerstw, zjednoczeń czy innych likwidowanych urzędów na mocy odpowiedniej uchwały Rady Ministrów otrzymywali odszkodowanie, stypendia na przekwalifikowanie się, stwarzano im możliwości wcześniejszego przejścia na emeryturę, bądź też oferowano kredyty w wysokości 2 milionów złotych na rozpoczęcie prywatnej działalności gospodarczej. Wydaje się, że jest to kierunek słuszny i właśnie w tym kierunku powinny pójść rozstrzygnięcia ustawowe w stosunku do osób, narażonych na utratę pracy w wyniku reorganizacji przedsiębiorstw.

Rozstrzygnięcia takie są znane na całym świecie i nawet tak sławiona ostatnio przez naszą władzę pani Margaret Thatcher nie kwestionowała ich, przeprowadzając reformę przemysłu ciężkiego Wielkiej Brytanii. Negocjowanie konieczności przeprowadzenia masowych zwolnień oraz wielkości i charakteru odszkodowań jest jednym z podstawowych uprawnień związku zawodowego i nie ma żadnego powodu, aby „Solidarność" miała z tego rezygnować.

Czy gospodarkę na to stać? Było ją stać, gdy reformowaliśmy administrację, powinno stać i teraz. Tym bardziej, że jak wyobrażam sobie część odszkodowania mogłaby być przekazywana załodze np. w postaci jakiejś części majątku trwałego przedsiębiorstwa. Mam na myśli przekazanie na przykład budynku czy jakichś maszyn grupie pracowników, którzy w oparciu o ten majątek

chcieliby prowadzić własną działalność gospodarczą (spółka, spółdzielnia). Wydaje mi się to całkowicie zgodne z duchem reformy i stanowiłoby o prawdziwym uwłaszczeniu pracownika.

Ad 2: Sprawa finansów związku to sprawa, którą bardzo długo uważano za dyskretną i dlatego bardzo często wydobywana była przez władze jako argument, że związek działał — jak to się mówi — za pieniądze CIA (w gorszych momentach), lub też, że działa z obcej inspiracji (w momentach odwilży). Myślę, że może warto by wziąć byka za rogi i zamiast wykonywać dziwny kontredans wokół np. milionowej dotacji Kongresu USA i ulegać naciskom władzy, może powiedzieć jasno i otwarcie, że nam pieniądze są potrzebne i że będziemy czynili starania o rozszerzenie funduszy, będących w gestii związku — właśnie dla ochrony polskiego społeczeństwa. Władze występują o pożyczki i kredyty, aby móc finansować reformę, dlaczegóż to my nie mielibyśmy tego robić w interesie ochrony pracowników? Naprawdę nic nie mam przeciwko temu, ażeby władza te kredyty dostała, bo każde pieniądze są w tym kraju potrzebne, ale to wcale nie znaczy, żeby wszystkie pieniądze przeznaczone na potrzeby reformy gospodarczej, na potrzeby społeczeństwa, znalazły się w gestii władzy i pod jej wyłączną kontrolą. Doświadczenia epoki Gierka i szerzący się wówczas nepotyzm są dla polskiego społeczeństwa dostatecznym memento, aby pomyśleć o jakichś zabezpieczeniach. Jedno z tych zabezpieczeń to na pewno rozszerzenie społecznej kontroli, rozszerzenie swobód politycznych, demokratyzacja. Drugie — to stworzenie własnego silnego zabezpieczenia materialnego, które pozwoliłoby na faktyczną ochronę pracowników w okresie reformy przy jednoczesnym stymulowaniu jej mechanizmów.

Tak więc moja koncepcja jest całkowicie przeciwstawna do wielokrotnie sugerowanej przez władze koncepcji rezygnacji związku z dotacji zagranicznych. Moja propozycja brzmi: utwórzmy legalną Fundację Ochrony Pracowników w Okresie Reformy i postarajmy się zgromadzić na ten cel konieczne środki. A nie są to błahe sumy. O ile działalność fundacji miałaby spełnić swą rolę i w sposób znaczący oddziaływać na przebieg i charakter reformy gospodarczej, to konieczne na ten cel fundusze są na pewno nie mniejsze niż 200-300 milionów dolarów.

Jaki byłby cel fundacji? Można go określić bardzo prosto: zagospodarowanie uwalnianej w wyniku reformy siły roboczej i umożliwienie aktywnego włączenia jej w zreformowaną gospodarkę kraju. Fundacja odgrywałaby w tym sensie rolę pewnego amortyzatora, chroniącego ludność przed wstrząsami reformy.

Jakie widziałbym zadania dla fundacji? Jest ich bardzo wiele i nie sądzę, ażeby udało mi się zebrać wszystkie.

Generalnie wymieniłbym dwa zadania:

1. Zorganizowanie grup ekspertów, powołanych do oceny sytuacji ekonomicznej likwidowanego zakładu, możliwości i potrzeb regionu, poradnictwa prawnego, ekonomicznego i organizacyjnego przy powoływaniu nowych, niezależnych instytucji gospodarczych.

2. Pomoc finansowa, pozwalająca ludziom, zwalnianym z pracy w wyniku reorganizacji przedsiębiorstw na rozwinięcie aktywności zawodowej w ramach niezależnych, indywidualnych bądź grupowych, inicjatyw gospodarczych.

Jak rozumiem działanie tego rodzaju fundacji w praktyce?

A więc gdy tylko dowiadujemy się, że zachodzi konieczność likwidacji zakładu X w miejscowości Y z przyczyn bądź ekonomicznych, bądź ekologicznych, zlecamy grupie ekspertów zbadanie tej sprawy i przedstawienie konkretnego raportu. Czy zakład X jest rzeczywiście nierentowny, czy istnieje realny plan uzdrowienia gospodarki zakładu? Jakie kredyty są potrzebne dla reorganizacji przedsiębiorstwa? Jakie środki powinny być podjęte, ażeby zakład nie stanowił zagrożenia dla środowiska? Jakie są tego koszty? Być może rachunek ekonomiczny wykaże, że udzielenie przedsiębiorstwu kredytu może być, uwzględniając całą stronę socjalną przedsięwzięcia, bardziej korzystne niż jego rozwiązanie i tworzenie na to miejsce nowych miejsc pracy, organizowanie kursów przekwalifikowujących czy organizowanie przemieszczenia pracowników w terenie. W takich okolicznościach do rozważenia jest możliwość udzielenia przedsiębiorstwu kredytu przez fundację.

W wypadku, gdy możliwość uzdrowienia gospodarki przedsiębiorstwa jest wątpliwa lub niezmiernie kosztowna, raport powinien zawierać analizę sytuacji zatrudnienia w regionie, jego potrzeb w dziedzinie rzemiosła, drobnej wytwórczości czy handlu, wreszcie możliwości surowcowych regionu.

Związek, uzbrojony w takie materiały, może wspólnie z załogą przystąpić do negocjowania warunków rozwiązania przedsiębiorstwa, programu zatrudnienia zwolnionych z niego ludzi oraz należnych im odszkodowań. Przez odszkodowania rozumiem nie tylko najprostszą formę wypłacenia pracownikom jakichś rekompensat pieniężnych, ale gdy jest to utrudnione — przekazanie na rzecz grup pracowniczych odpowiedniego ekwiwalentu w postaci majątku trwałego przedsiębiorstwa (budynków, maszyn), uwłaszczenie pracowników. Przekazane środki mogłyby posłużyć na przykład do podjęcia przez tych pracowników indywidualnej, bądź grupowej, działalności gospodarczej.

Po wynegocjowaniu warunków, w których interesy załogi

reorganizowanego przedsiębiorstwa byłyby zabezpieczone, związek aktywnie włącza się w proces przywracania zwolnionym pracownikom normalnych warunków życiowych.

Tak więc, jeśli zachodzi tego potrzeba, organizuje kursy przekwalifikowujące. Jeśli istnieje potrzeba przemieszczenia ludzi do nowych miejsc pracy, to pomaga im w rozwiązaniu problemów mieszkaniowych, czy też poprzez organizowanie przedsiębiorstwa transportowego umożliwia im godziwy dojazd do pracy i do domu. Wreszcie — udziela im kredytów, bądź pomaga w sprowadzeniu odpowiednich maszyn, jeśli zamierzają podjąć indywidualną bądź grupową działalność gospodarczą. Nasze zespoły ekspertów dysponują dla nich odpowiednimi propozycjami, są w stanie ocenić opłacalność przedstawianych propozycji, skorygować je, wreszcie udzielić pomocy w załatwianiu formalności prawnych i administracyjnych.

Jeśli reforma ma być realna, ludzie nie mogą na niej tracić, nie mogą oni ponosić jej kosztów. Proponowana fundacja jest tak niewielka w porównaniu z ogromem zadań, jakie stawia przed nami reforma, że w żadnej mierze nie zdejmuje odpowiedzialności z władz państwowych, a generalne rozwiązanie problemu zatrudnienia czyni przedmiotem trudnych i twardych negocjacji. Otwiera ona natomiast przed związkiem możliwości aktywnego i konstruktywnego ingerowania w procesy reformy. Bez możliwości dysponowania choćby tak ograniczonym funduszem stanowisko związku obarczone będzie zawsze grzechem dyletantyzmu i pobożnych, ogólnie słusznych życzeń.

Doświadczenia Komisji Interwencji i Praworządności wydają się stanowić przykład tego, jak stosunkowo niewielkie sumy są w stanie spowodować przemiany w świadomości i stymulować społeczną aktywność.

Wydaje mi się, że z tej drogi nie wolno zrezygnować.

Sądzę, że nie wymieniłem wszystkich możliwości świadczeń ze strony fundacji, a z drugiej strony sugerowany fundusz założycielski nie jest wygórowany. To, co powyżej napisałem, jest bardziej koncepcją polityczną niż projektem instytucji społeczno-gospodarczej, ale byłoby bardzo dobrze, gdyby koncepcja ta stała się przedmiotem poważnych rozważań prawników, ekonomistów i działaczy społecznych. Wtedy mogłaby ona przybrać formę konsekwentnie opracowanego projektu i stać się podstawą do podjęcia odpowiednich działań tak w kraju, jak i za granicą.

Opracowanie takiego projektu uważam za jedno z najpilniejszych działań związku.

Na koniec pytanie najtrudniejsze: skąd wziąć pieniądze? Oczywiście, że w dalszym biegu fundacja utrzymywałaby się ze zwracanych kredytów, lokat kapitałowych i prowadzonej przez siebie działalności gospodarczej, tym niemniej — jeśli chodzi o kapitał zakładowy, to odpowiedź jest właściwie jedna — z zagranicy.

Czy jest to realne? Jestem przekonany, że tak. Postępująca normalizacja stosunków Zachodu ze Związkiem Radzieckim i ogromne poparcie polityczne, a nawet gospodarcze, jakiego Zachód udziela *pieriestrojce* są zupełnie jednoznacznym wyrazem niechęci Zachodu do wszelkiej destabilizacji w Europie środkowej i wschodniej.

Reforma gospodarcza, prowadzona bez zapewnienia dostatecznej ochrony społecznej, to z całą pewnością zarzewie konfliktu, który może wybuchnąć w każdej chwili z nieprzewidywalną siłą. I każdy polityk musi sobie z tego zdawać sprawę, że nominalnie istniejąca „Solidarność" i Lech Wałęsa to dużo za mało do powstrzymania takiego wybuchu. Wyobrażam sobie, że gdyby przedstawić realną, dopracowaną propozycję, to Zachód byłby skłonny wydatkować, koniec końców nie tak już znaczącą sumę, a i „Solidarność" domagająca się środków na prowadzenie konstruktywnej działalności stawałaby się bardziej wiarygodna i w kraju, i za granicą.

Fakt, że „Solidarność", jak dotychczas, obraca się w świecie projektów, idei i dyskusji i właściwie nie wie do końca, w jakiej mierze pieniądze stanowią i możliwości politycznego działania, jest jakimś reliktem realsocjalistycznym. Każdy normalny polityk na Zachodzie wie, że działalność wymaga pieniędzy, a poważna działalność — poważnych pieniędzy i ktoś, kto tej zasady nie rozumie, jest podejrzany, że albo się do niczego nie nadaje, albo jest oszustem.

Przecież 200-300 milionów — to jakaś tam połowa czy jedna czwarta nowoczesnego samolotu bojowego, a efekt polityczny takiej inicjatywy, jak fundacja, oczywisty. Stabilizacja Europy wschodniej, demokratyzacja życia, liberalizacja gospodarki, wzrost niezależności ekonomicznej społeczeństwa — to wszystko daleko lepsza gwarancja bezpieczeństwa.

Tak więc — spróbujmy być poważni i podejmować poważne zadania. Zamiast uwiarygodniać władzę i popierać jej starania o kredyty, spróbujmy postarać się o pieniądze dla siebie. Może się to okazać dużo łatwiejsze.

Myślę, że pomysł fundacji jest dla władzy pomysłem politycznie bardzo trudnym, tym niemniej jego odrzucenie byłoby bardzo wyraźnym dowodem zachowania przez władzę priorytetów polityczno-ideologicznych nad głoszoną potrzebą reformy gospodarczej. Na dodatek nie sądzę, aby fundacja mogła stanowić jakąś konkurencję w stosunku do podejmowanego przez władze poszukiwania pieniędzy. Sądzę, że wręcz przeciwnie, że właśnie do-

strzeżenie walorów społeczno-gospodarczych fundacji mogłoby władzę tylko uwiarygodnić i skłonić Zachód do uwzględnienia również jej potrzeb.

Może to nie przyjść łatwo, ale uważam, że o fundację warto walczyć, bo jest to w moim przekonaniu jedyny sposób aktywnego uczestniczenia w reformie, korygowania jej przebiegu i skutecznej ochrony pracownika.

Zbigniew ROMASZEWSKI

Krajowa edycja "Kultury"

Od lipca 1987 roku niezależne wydawnictwo MYŚL w Warszawie wydaje *KULTURĘ* paryską. Jest to integralny przedruk każdego numeru w normalnym formacie (w białej, a nie kolorowej okładce ze względu na trudności techniczne). Krajowe wydanie ukazuje z niewielkim opóźnieniem w stosunku do wydania oryginalnego.

Cena numeru 900 zł.

Do nabycia za pośrednictwem kanałów kolportażowych.

Krajowa edycja Zeszytów Historycznych

Niezależne wydawnictwo POMOST w Warszawie rozpoczęło reedycję *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*. Ukazał się właśnie rocznik 1988, tj. nry 83, 84, 85 i 86. Cena rocznika w estetycznej sztywnej pochewce wynosił 6.000 zł.

W najbliższych dniach ukaże się rocznik 1987 (nry 79, 80, 81 i 82).

Numery *ZESZYTÓW* w roku 1989 będą wydawane w miarę ukazywania się edycji oryginalnej.

ZESZYTY HISTORYCZNE można nabywać za pośrednictwem kanałów kolportażowych.

Widziane z oddali

W marcu, a następnie w sierpniu 1988 zdawało się, że Polska znowu się buntuje, jak w 1980 roku. „Okrągły stół", przy którym mieli zasiąść komunistyczni przedstawiciele rządu i przedstawiciele Solidarności, został jednak jesienią rozmontowany. Czy ten symboliczny gest, obliczony na ośmieszenie opozycji, kompromituje jej strategię? Czy fakt, że stół sklecono na nowo, podważa ten sąd?

Sytuacja geopolityczna zdawała się znacznie korzystniejsza aniżeli w 1981 roku. Wówczas nic nie powstrzymałoby Breżniewa od inwazji i wiemy już, że był na nią zdecydowany, gdyby inne metody zawiodły. Gdyby Gorbaczow dziś najechał na Polskę, poświęciłby całą swą światową grę polityczną, która prowadzi przez Europę zachodnią i Stany Zjednoczone i od której zależy jego przetrwanie. Związek Sowiecki znajduje się w takiej ruinie, że nie wiadomo nawet, czy byłby zdolny do inwazji. Tak czy inaczej, Polska dysponowała sporym marginesem bezpieczeństwa. Mogła posunąć się dość daleko bez najmniejszego ryzyka. Tymczasem ku powszechnemu zdziwieniu żaden przywódca nie zdecydował się na sformułowanie jasnych i radykalnych żądań, przed którymi nie zawahały się przecież inne narody wcielone do państwa sowieckiego. Estonia i Armenia są mało licznymi i po wielekroć dziesiątkowanymi narodami, a Polska ze swymi czterdziestoma milionami mieszkańców dysponuje „masą krytyczną": gdyby ruszyła do boju, mogłaby zachwiać imperium sowieckim. Przywilej ten dzieli tylko z Ukrainą i muzułmańsko-turecką ludnością ZSSR. Nie ruszyła jednak do prawdziwego boju, sprawiając wrażenie więźnia, który zerka na otwarte drzwi celi, ale nie rusza się ze stołka. Aby zrozumieć powody tej

inercji, należy przyjrzeć się głównym osobom poronionego dramatu.

Aleksander Zinowiew oświadczył niedawno we Włoszech, że wystarczyłoby jedno słowo papieża, by Polska się wyzwoliła. Ta śmiała hipoteza wzbudziła niemały skandal. Dlaczegóżby jednak nie oczekiwać od polskiego papieża takiego słowa? Odpowiedź winna być ostrożna. Trzeba sobie zdawać sprawę z trzech elementów.

Po pierwsze, z ogólnej koncepcji symetrii między kapitalizmem a socjalizmem, które to ustroje papież często nazywa równie — choć każdy na swój sposób — złymi i zaleca Kościołowi taki sam dystans wobec obu. Po drugie, z pewnej nieufności wobec polityki, właściwej nie tylko papieżowi, ale całemu współczesnemu Kościołowi. Nieufność ta wynika nie ze słusznego poglądu, iż Kościół nie powinien być partią polityczną, a raczej z typowego dla naszych czasów uczucia, że walka polityczna jest złem samym w sobie oraz że podział na przyjaciół i wrogów jest sprzeczny z miłosierdziem i powszechną miłością. Posiadanie wrogów poczytuje się za grzech temu, który ich posiada.

Ponieważ Kościół odrzuca jasne rozróżnienie polityczne, ponieważ godzi się na socjalistyczny podział świata na socjalizm i kapitalizm, a nie chce się przypisać ani do jednego, ani do drugiego, powstaje pytanie, czym zastąpić walkę polityczną. Propozycją apolitycznego świata, rządzonego przez „społeczną doktrynę Kościoła" i uzupełniające ją „prawa człowieka"? Innymi słowy, nie chcąc się mieszać do polityki, Kościół zadowala się apelowaniem o poszanowanie w stosunkach między ludźmi zasad prapolitycznych, na których oparte są kościelna doktryna społeczna i prawa człowieka. To właśnie jest ów trzeci czynnik, który przeszkadza papieżowi wypowiedzieć słowo, które — zdaniem Zinowiewa — miałoby siłę wyzwoleńczą.

Drugim wielkim aktorem polskiego dramatu jest Kościół polski. Podziela on rzecz jasna stanowisko Watykanu, czemu dodatkowo sprzyja jego pozycja materialna i społeczna. Kościół polski nie może nie dostrzegać, że jako korporacja ma niezwykle silną pozycję. Niebywale liczny kler, zalew powołań, pełne seminaria, powszechny szacunek i powszechna praktyka religijna wiernych: niczego podobnego nie znajdziemy na Zachodzie. Polscy biskupi otoczeni są czcią i miłością wiernych i żyją we — względnym — komforcie, z którym nie da się porównać stopy życiowej ich francuskich odpowiedników. Kościół ma też ogromne wpływy. Musiałby mieć bardzo wyjątkowe cnoty, by nie uznać, że panujący w Polsce ustrój nie jest koniec końców taki zły i nie ulec księżowskiej skłonności do utożsamiania dobra

kraju z dobrem Kościoła, zaś dobra Kościoła z dobrem stanu kościelnego.

Trzecim aktorem dramatu jest kierownictwo Solidarności. Jest to ciało pod względem proweniencji swych członków dość różnorodne. Jedni wywodzą się z inteligencji katolickiej bądź komunistycznej i goszyzującej; ci drudzy przeszli intelektualny szlak dysydencji. Inni wywodzą się z klasy robotniczej i wykształcili się w kontaktach z pierwszymi. Formalny szef, Wałęsa, jest robotnikiem o krewkim temperamencie, który nigdy nie pretendował do niezależności od swych kościelnych i świeckich doradców. Ludzie ci szybko stali się osobistościami o międzynarodowej sławie. Ich popularność i niezliczone dowody atencji ze strony zachodnich mężów stanu umocniły naturalnie ich pozycję społeczną i utwierdziły ich w przekonaniu o własnej ważności. Płynęli na fali masowego ruchu, którego wskutek totalitaryzmu i — jak się przekonamy — własnej linii politycznej nie potrafili zorganizować, wobec czego nie pozostało im nic innego jak przyjąć rolę pośredników i domagać się dla siebie statusu ważnych i wdzięcznych za uznanie rozmówców.

Czwartym aktorem jest partia komunistyczna. Dziwna rzecz, ale część opozycji często negowała lub lekceważyła jej istnienie. W czasach największej siły ruchu w 1980 roku przywódcy Solidarności tłumaczyli mi, że partia przestała istnieć, że nikt już nie wierzy w komunizm (to drugie przekonanie mylnie uważano za dowód pierwszego). W rzeczywistości polska partia komunistyczna, choć uszczuplona o milion członków, nadal była partią dwumilionową i starannie przygotowywała kontrofensywę, którą mistrzowsko przeprowadziła 13 grudnia 1981. Nawet wtedy ci sami przywódcy uznali, że władzy nie sprawuje już partia, tylko wojsko, patriotyczne wojsko, za które gotowi byli ręczyć. Nieliczni tylko dostrzegli oczywisty fakt, że władzę przejęła partia w swym wojskowym i policyjnym przebraniu czy też wydaniu. Od tego dnia Polską rządzi PZPR, a rządzi tym łatwiej, że tylko ona uprawia politykę. Polityka ta — mimo lub na skutek giętkości i sprawnego manewrowania — jest klasycznie leninowska: jest celem jest skłócenie i skompromitowanie wroga oraz odcięcie go od rezerw, tzn. ostateczne zniszczenie jego bazy materialnej, ekonomicznej, intelektualnej i społecznej, dzięki której mógł stawiać opór. Mniejsza o to, że wrogiem jest cała Polska i że trzeba zniszczyć całą Polskę. Po unicestwieniu wszystkiego zawsze będzie czas na „budowę socjalizmu".

Polityka partii była dość zręczna. Partia zrezygnowała z dużej części swego stalinowskiego arsenału (transparenty, głośniki, mowa-trawa, masowe aresztowania), bo był on sprzeczny z wy-

mogami wydajności. Z faktu, iż władza nie używała języka leninowskiego wielu ludzi wyciągnęło wniosek, że nie wierzy już w leninizm. Być może, ale z tym większą sprawnością go stosuje. Partia sięgnęła do języka *pseudo-Realpolitik*, wysuwając dwa główne argumenty. Po pierwsze: „Jeśli sami tego nie zrobimy, zrobią to za nas Sowieci". PZPR przywdziała szaty patriotycznego obrońcy narodu, który poświęcił honor i zwalczył w sobie spontaniczny odruch, byle ustrzec ojczyznę od większego zła. Następnie: „Trzeba rozwiązać najpilniejsze problemy Polski, a przede wszystkim problem rozpadu gospodarczego. Nie może być mowy o reformie politycznej, dopóki Polska nie odzyska podstaw niezbędnego dobrobytu. Dla każdego rządu Polski byłoby to podstawowym zadaniem. Dlaczego odrzucać partię komunistyczną, która w tym celu potrzebuje pomocy wszystkich sił politycznych i społecznych kraju? Ci, którzy odmawiają współpracy, którzy organizują strajki i obniżają wydajność pracy są, niezależnie od wszelkich względów ideologicznych, bardzo złymi patriotami". Partia komunistyczna nie używa jak widać w ogóle nowomowy. Odwołuje się do gospodarczej racjonalności, do wspólnego dobra narodu, do obrony wartości moralnych. Trzeba mieć bardzo czujną i żywą świadomość natury i metod komunizmu, by przejrzeć ten język. Tymczasem wystarczy sobie uprzytomnić, że chcąc w takich okolicznościach utrzymać władzę, partia komunistyczna nie może mówić niczego innego. A utrzymanie władzy bez zmienienia swej natury i bez prawdziwych ustępstw stanowi alfę i omegę postępowania komunistów z powodów, które wyłożyć można tylko w ideologicznej nowomowie, które jednak ta sama ideologia każe ukrywać pod płaszczykiem innych powodów, pozornie uniwersalnych i wyrażających się w języku naturalnym — lub ściślej mówiąc pseudo-naturalnym, gdyż jego użytku i poruszanych tematów nie dyktuje natura ani aktorzy nie wypowiadają ich spontanicznie, tylko narzuca im je leninowska kalkulacja polityczna. Partia wewnętrzna ustala w nowomowie, jakie tematy podejmie propaganda i jak je wyrazi w języku humanistycznym, chrześcijańskim, patriotycznym, technokratycznym, zależnie od celów politycznych i środowisk, na jakie chce wpłynąć.

W praktyce partia robi wszystko, aby odpolityzować spór, odebrać konfliktowi polityczny charakter i wykluczyć z pola gry walkę o władzę. Sprowadza debatę do ściśle wytyczonego terenu gospodarki, zagadnień społecznych i kulturalnych, w przekonaniu, że uda jej się jutro odzyskać pozycje, z których dziś na pozór rezygnuje.

Jak wygląda taktyka opozycji od 1980 roku w oczach patrzącego z zewnątrz obserwatora jak ja? Otóż wydaje mi się, że dopasowuje się do przygotowanego jej przez partię łożyska. Chodziło o dokonanie rewolucji bez ogłaszania jej, tak, żeby nikt się nie zorientował, a zwłaszcza partia komunistyczna. O wydrążenie w totalitarnym bloku przestrzeni, w której społeczeństwo odzyskałoby pewną autonomię w dziedzinie gospodarki i kultury i powoli spychało partię komunistyczną w szary kąt. Formalnie zostałaby u władzy, ale miała to być władza stopniowo pozbawiana realnej treści.

Taktyka ta odpowiadała Kościołowi. Fetyszyzacja słowa „dialog" wykluczała walkę polityczną i oznaczała, że nie może być mowy o wrogu, a zwłaszcza o tym, że należy go pobić. Kardynał prymas Wyszyński wskazywał w słynnym przemówieniu na soborze watykańskim, że nie może być mowy o zaufaniu do „państwa diamatu" (tak je nazywał), że wchodzenie z nim w układy jest bezsensowne, ponieważ państwo to z zasady nie czuje się zobowiązane do ich przestrzegania, gdy tymczasem partner czuje się nimi związany. Ukazywał w ten sposób, że zrozumiał istotę komunistycznej polityki i mimo licznych i bardzo daleko idących kompromisów, na które uznał za stosowne pójść wobec „państwa diamatu", fakt, że go do głębi zrozumiał budził zaufanie do niego i jego polityki. Kardynał prymas Glemp, który nie dowiódł podobnego zrozumienia, tak oto wypowiedział się w *Moskowskich nowostiach* (nr 45 z 6 listopada 1988): „Kościół rzymskokatolicki w Polsce czuje się integralną częścią polskiego narodu, toteż w trudnych dla ojczyzny chwilach pragnie ją wspomóc. Kościół odczuwa [trudności] i na swój sposób pragnie im zaradzić. Tym sposobem Kościoła jest przede wszystkim modlitwa, która pozwala znaleźć pewien dystans do rzeczy, do rozgrywających się spraw, i widzieć je spokojnie. Kościół ma wielkie doświadczenie w różnych systemach społecznych (...). Przede wszystkim nowy premier odważnie podejmuje się trudnych zadań. A ponieważ wiemy, że sytuacja jest niełatwa, nie możemy — niezależnie od sentymentów — utrudniać nowemu premierowi, ale raczej stwarzać takie warunki, które umożliwią krajowi pójście naprzód. Bezpośrednio Kościół nie bierze udziału w polityce państwowej, ale katolicy świeccy mogą się w nią zaangażować, jeżeli uważają, że są kompetentni" (tłumaczenie PAP-u).

Z tego wynika, że:

1) Kościół przestaje obciążać partię komunistyczną odpowiedzialnością za materialną i duchową ruinę kraju;

2) przyznaje, iż partia komunistyczna stara się rozwiązać „trudne zadania" i w ten sposób nie tylko ją legitymizuje, ale też przypisuje jej misję patriotyczną.

3) zezwala katolikom świeckim na działanie polityczne tylko wówczas, jeżeli będą odgrywali rolę podwładnych współpracowników i jeśli przyznają partii komunistycznej prawo do reprezentowania Polski i stania na straży wspólnego dobra.

Takie słowa nie odzwierciedlają oczywiście jednomyślnej opinii całego Kościoła, być może nie wyrażają nawet wszystkiego, co myśli Prymas. Nie zmienia to faktu, że najbardziej widocznym działaniem Kościoła jest kierowanie konkretnych zadań politycznych na tory świątobliwości i symboli. Uroczyste obchody rocznic, krzyże kwietne, pielgrzymki, nowenny, niezliczone msze dają masom poczucie, że coś robią, albo że udają, że coś robią. Daleki jestem od negowania wagi i skuteczności modłów albo kultu w zakonie. Kiedy jednak zastępują działanie tam, gdzie potrzebne jest działanie, religia staje się, zgodnie ze słynnymi słowy, „westchnieniem istoty przygniecionej nieszczęściem, duszą świata bez serca, tak jak jest duchem epoki bez ducha. Jest to opium dla ludu".

Państwo diamatu nie omieszkało wykorzystać sytuacji i pcha Kościół na zbocze klerykalizmu. Kościoły rosną jak grzyby po deszczu, czas nauczania religii trwa coraz dłużej, kler cieszy się swoistym immunitetem (mimo zabójstwa ks. Popiełuszki i innych morderstw popełnionych ostatnio) i najrozmaitszymi przywilejami materialnymi w kraju, w którym ich mało. Niebywały rozrost instytucji kościelnych w Polsce nie jest jednak oznaką zdrowia. W cytowanym już wywiadzie Prymas Glemp przypomina, że Kościół „jest pośród ludzkości już 2000 lat". Tymczasem jest wysoce prawdopodobne, że wielu Polaków nie czuje, albo coraz mniej czuje, że Kościół jest pośród nich. Słowa Prymasa raczej wskazują na to, że jest po stronie przeciwnej. Ale rozdmuchana potęga Kościoła może któregoś dnia się skończyć. Zdarzało się już w dziejach Kościoła, i to nie raz, że szczyty triumfu poprzedzały upadek duchowy.

Ruch 1980 roku przybrał formę potężnych strajków, mniej lub bardziej kierowanych przez Solidarność, tzn. przez ekipę intelektualistów i elity robotniczej. W gruncie rzeczy strajki były ruchem wyzwolenia narodowego, ale Solidarność skupiła wszystkie wysiłki na ukrywaniu tego faktu i przedstawianiu swego ruchu jako ruchu społecznego. Nie atakowała socjalistycznej natury ustroju. Przeciwnie, udawała, że można „realnemu socjalizmowi" Gierka i Kani przeciwstawić jakiś prawdziwy, autentyczny socjalizm. Pierwszy apel o pomoc skierowano we Francji do związku zawodowego najbardziej przesiąkniętego frazeologią socjalistyczną, ideologią klasową i utopią rewolucyjną, manowicie do CFDT. Solidarność dołożyła starań, aby „ustawić się" na Zachodzie na lewicy.

Mam wrażenie, że zdaniem Solidarności nic nie mogło bardziej irytować władzy mieniącej się robotniczą aniżeli fakt, że zbuntowała się przeciwko niej klasa robotnicza. Cały prestiż idei socjalizmu, świętość walki związkowej, chwała samorządu itd. miały wprawić w popłoch rząd komunistyczny i otworzyć ów

tajny obszar wolności, w którym całe społeczeństwo mogłoby nareszcie odetchnąć pełną piersią. Tak rozumując, zapomniano o dwóch rzeczach. Po pierwsze, takie postawienie problemu mogło tylko zadowolić rządzących komunistów, a to dlatego, że zmuszało ono potężny ruch do używania — tym razem dobrowolnie — języka i formuł, które władza daremnie usiłowała mu wpoić przez czterdzieści lat. Podważać prawomocność robotniczej, socjalistycznej władzy w imię klasy robotniczej i socjalizmu w równej mierze wzmacniało ideologiczne podstawy i samozwańczą prawomocność reżymu, co je osłabiało. Po drugie, taka platforma prowadziła do zgubnego zamętu. Zagraniczną opinię publiczną skłaniała do traktowania polskich strajków tak, jakby były konfliktem społecznym w jakimkolwiek zachodnim kraju. Lekko tylko karykaturując, Francuzi mogli uważać strajk w stoczni gdańskiej za odpowiednik strajku francuskich pilotów albo maszynistów kolejowych. Było to bardzo na rękę zachodnim kancelariom, przerażonym, że przyjdzie im zająć stanowisko wobec ruchu wyzwolenia narodowego i szczęśliwym wobec takiego obrotu spraw, ponieważ wewnętrzne konflikty społeczne ich nie dotyczą. Najbardziej zgubne skutki zamęt miał jednak w Polsce, ponieważ polityka Solidarności stała w sprzeczności z polską opinią publiczną. Polacy pragnęli wolności i niepodległości, a ich przywódcy nie chcieli o tym wspominać inaczej niż aluzyjnie i uparcie domagali się „dialogu" z władzami oraz pluralizmu nie politycznego, lecz związkowego. Ograniczenie to, które Solidarność sama sobie narzuciła, było dokładnie tym, które chciał jej narzucić rząd. Ponieważ sama nałożyła sobie kajdany na jedną, by nie powiedzieć na obie ręce, i w ten sposób walczyła, Solidarność wzmacniała władze dokładnie w tej mierze, w jakiej chciała zmusić je do ustępstw. Wreszcie ostatni skutek tej polityki: odmawiając sobie prawa do jasnych i powszechnie zrozumiałych haseł, kierownictwo Solidarności utrudniło sobie rekrutację i sparaliżowało własne wysiłki organizacyjne. Jak miała młodzież — wiedząca w głębi serca, czego chce — uczyć się polityki i walki politycznej, skoro kazano jej robić co innego, mianowicie poświęcić się ruchowi związkowemu, życiu kulturalnemu i procesjom religijnym? Stara, zdziesiątkowana prześladowaniami ekipa szybko dostrzegła swą izolację i tragiczny brak następców.

Minęło osiem lat. Sytuacja polityczna pozostała bez zmian: zgniła w bezruchu. Na arenie międzynarodowej świat przyzwyczaił się, że sprawą polską zajmują się równocześnie Departament Stanu (tj. Zbigniew Brzeziński), Watykan i sowiecki ambasador w Warszawie. Polska pogrąża się w ruinę, której — ponieważ przekracza wszelkie wyobrażenie — sprzyja niezdolność świata zachodniego do wyobrażenia jej sobie. W opozycji pojawiły się

niepokojące symptomy. Wspomnę tylko o dwóch. Po pierwsze ucieczka w „kulturę". Symptom ten obserwujemy w całym bloku sowieckim. Długo zduszona przez cenzurę, brak informacji, zamknięcie granic, kontrolę nad słowem mówionym i pisanym, dzisiejsza inteligencja mówi, czyta, pisze i publikuje, co chce (lub prawie) i podróżuje bez przeszkód, o ile tylko uda jej się zebrać konieczne do tego celu pieniądze. Jest to dla niej ogromna ulga. Władze zrozumiały, że przyznając jej te przywileje, uszczęśliwią ją i rozbroją na tyle, że mniej będzie chciała wiązać się aktywnie z resztą narodu. Życie literackie ma w Polsce (i w innych demokracjach ludowych) większe znaczenie aniżeli u nas, jest mniej więcej tak intensywne jak u nas przed wojną. Tym lepiej dla literatury, ale tym gorzej dla polityki.

Inny symptom, stosunkowo świeżej daty, jest zasmucający: myślę o nadziejach pokładanych w *pieriestrojce* i Gorbaczowie. Wielki doprawdy musi być zamęt duchowy, by niektórzy przywódcy opozycji polskiej — i to czołowi — choć na chwilę uwierzyli, że wolność Polski mogłaby nadejść z tej strony. Gdybym był Polakiem, myślałbym ze smutkiem o Targowicy.

Nie jest wykluczone, że do powszechnego letargu przyczynia się także pomoc Zachodu. Jak wiadomo, Polska ma 40 miliardów dolarów długu, których nie jest w stanie spłacić. Zapłaci je w ostatecznym rachunku zachodni podatnik, bo to on pokrywa niespłacone pożyczki banków, przedsiębiorstw i państw. Jeden z szantaży, jakie uprawia rząd polski, przyjmuje taką formę: „pracujcie więcej i lepiej, zaakceptujcie reformy i przyczyńcie się do ich skuteczności, a znów spłynie na nas manna zachodnich kredytów". Ale tej pomocy państwowej towarzyszy od 1980 roku pomoc prywatna. Niezliczone szeregi wynajętych przez zachodnie organizacje ciężarówek wyładowują w parafiach żywność, lekarstwa i artykuły pierwszej potrzeby, których tak dramatycznie brak Polsce. Ten ruch wpływa doskonale na świadomość ekip przewoźniczych: Niemcy, Francuzi z rozdziawionymi ustami odkrywają, czym jest rzeczywisty socjalizm. Nie jest pewne, czy wpływ „zrzutów" na świadomość Polaków jest równie zbawienny. Poczucie, że nie są opuszczeni na pewno dodaje im otuchy, ale pomocy towarzyszą klasyczne ujemne skutki darmowej dobroczynności. Poczucie odpowiedzialności staje się mniej potrzebne, a walka polityczna mniej konieczna. Rośnie znaczenie pośredników i dystrybutorów cennych dóbr, tzn. najczęściej księży, którzy jedną ręką rozdają dobra duchowe, a drugą dobra materialne, co może złagodzić w ich oczach tragizm polskiej sytuacji.

O najlepszy opis impasu politycznego, w jaki wprowadził kraj, należy jednak spytać Wałęsę. W czasie swego pobytu w Paryżu, w grudniu 1988, nie ustawał w pochwałach sowieckiej *pieriestrojki*. M.in. udzielił też wywiadu dziennikowi *Le Monde*, w którym stwierdził, że zwycięstwo jest blisko: „Powiedzmy jednak jasno: zwycięstwo nie oznacza ani obalenia partii komunistycznej, ani zdobycia władzy, tylko zmianę struktur. Największym błędem byłoby, gdybyśmy chcieli przejąć władzę. Tego nam robić nie wolno: władza jest nam konieczna do przeprowadzenia reform". — „Nawet ta władza?" — „Nie kochamy jej, mamy do niej pretensje, ale jest nam niezbędna. Nie ma jeszcze w Polsce ludzi zorganizowanych, którzy mogliby na serio myśleć o rządzeniu. Są jednostki. Ale w skali kraju to nie wystarcza. To długi proces, zanim ten, który ma najlepszy program, będzie mógł rządzić krajem". Następnie Wałęsa tłumaczy, że obawia się anarchii i żądzy zemsty ze strony niezorganizowanej i zdesperowanej młodzieży.

Innymi słowy, Wałęsa odmawia sobie nie tylko prawa do zwycięstwa, ale też prawa do walki. Zadowala się żądaniem „dialogu". Zapewnia, że jest siłą doradczą albo ośrodkiem wpływów. Bez zastrzeżeń przyznaje, że obecny rząd jest niezbędny zarówno dla przeprowadzenia „reform" jak i dla ustrzeżenia Polaków przed pokusą zemsty za czterdzieści lat nędzy i niewoli. Stwierdza, że kierownictwo polityczne polskiego społeczeństwa jest słabe i przyczynia się swą strategią do jego osłabienia. Dyskretnie proponuje swe usługi. Prawdę mówiąc wydaje mi się, że inteligentny rząd polski doskonale rozumie, że gdyby Wałęsa nie istniał, to należałoby go wymyślić i że zamierza go podtrzymać starym leninowskim sposobem, tzn. tak, jak stryczek podtrzymuje wisielca.

Co robić? Nie jest sprawą obserwatora z kapiącego wszelakim dobrem i wygodami Paryża doradzać Polsce, jaką drogę ma obrać.

Nie przyszłoby mi nigdy do głowy, by „pchać Polskę do buntu". Byłby to zbrodniczy i szaleńczy pomysł, tym bardziej, że Polska wie z doświadczenia lat 1795, 1831, 1863 i 1944, jakie są koszty powstania. Mogę tylko przyklasnąć Kościołowi i Solidarności, że za wszelką cenę chcą tego ryzyka uniknąć. Pytanie jednak, co można zrobić z małym ryzykiem lub ściślej mówiąc z minimalnym ryzykiem w porównaniu ze spodziewanymi korzyściami. I na to pytanie nie jestem powołany odpowiadać. Być może jednak ludzie odpowiedzialni za los Polski wyciągną pewien pożytek z bardzo ogólnych rozważań bardzo oddalonego obserwatora.

1. Opieram mój wywód na analizie sytuacji światowej, którą charakteryzują następujące czynniki. System komunistyczny

wkroczył w fazę ogólnego kryzysu. Jego centrum, ZSSR, potrzebuje dłuższego oddechu, aby importować z Zachodu technologię i kredyty, zmodernizować armię, wzmocnić władzę partii itd. Pilnie potrzebuje spokoju w europejskich demokracjach ludowych, a zwłaszcza w Polsce — słabym ogniwie systemu. Nie jest zadaniem Kościoła ani Solidarności dopomaganie Związkowi Sowieckiemu w pokonaniu tego trudnego etapu. Nie jest ich zadaniem uprawdopodobnianie uwodzicielskich i dezinformacyjnych zabiegów Gorbaczowa na całym świecie. Wałęsa dostał już nagrodę Nobla i powinien się obejść bez ewentualnej nagrody Gorbaczowa, przyznawanej corocznie człowiekowi, który oddał największe przysługi światowemu systemowi komunistycznemu.

2. Należy sobie życzyć, aby opozycja polska jasno zdefiniowała swoje cele, którymi są wolność i niepodległość. Aby jasno potępiła komunizm jako taki, powiedziała, że rząd który nie opiera się na woli ludu nie jest prawomocny i zażądała wolnych wyborów. Robią to inne narody bloku komunistycznego, podejmując znacznie większe ryzyko niż Polska. Polscy opozycjoniści często mówią: „Słowa są zbędne. Jest oczywiste, że pragniemy wolności i niepodległości. Wszyscy nienawidzą tego reżymu: nie warto o tym mówić. Liczą się konkretne działania, codzienna walka, małe kroki". Niestety odnoszę wrażenie, że małe kroki nie prowadzą donikąd, a to, o czym nie warto mówić, byłoby o wiele jaśniejsze, gdyby zostało powiedziane. W obecnej sytuacji prawdziwym działaniem byłyby słowa prawdy, zerwanie z górą kłamstw, jaką jest system komunistyczny. Doświadczenie wskazuje, że nie podejmuje się wielkiego ryzyka, wypowiadając nareszcie słowa prawdy, i że partia komunistyczna dlatego właśnie tak się ich boi i robi wszystko, aby nie zostały wypowiedziane albo żeby w ostatniej chwili zostały wynaturzone, nawet w ustach tego, który ma je na myśli, ale nie odważa się ich wymówić.

3. Tylko słowa prawdy mogą naprawdę zorganizować polskie społeczeństwo, zatomizowane czterdziestoma laty komunizmu. Wbrew marksistowskiej wizji, paradoksalnie wskrzeszonej przez Solidarność, ruchowi wyzwolenia narodowego nie może przewodzić klasa robotnicza. Wyzwolenie staje się możliwe — są na to dowody w historii — kiedy całe społeczeństwo pod przewodem swych wybitnych ludzi i swych naturalnych elit (które zresztą mogą wywodzić się z robotników) mobilizuje się wokół jasno wytyczonej platformy: wolność i niepodległość.

4. Nie wygrywa się walki politycznej rezygnując i z walki, i z polityki. W obliczu przeciwnika tej miary co polska partia

komunistyczna, sojusznika i integralnej części komunistycznej partii sowieckiej, przeciwnika, dla którego polityka jest racją bytu i jedyną formą istnienia, negowanie polityki, uciekanie w symbole i przechytrzanie go z góry równa się kapitulacji.

W toku wspomnianego już pobytu we Francji Wałęsa oświadczył, że jest rozczarowany naszymi europejskimi społeczeństwami, bezmyślnymi i uśpionymi komfortem. To prawda, ale stały brak wszystkiego, ucisk i powszechne kłamstwo też na swój sposób ogłupiają i usypiają, a Polska jest krajem europejskim. Ozdrowienie mogłaby Polsce przynieść walka polityczna, walka, która bynajmniej nie musi być skazanym na klęskę powstaniem, a wręcz przeciwnie, może być zręcznym, rozważnym i odważnym wykorzystaniem sytuacji. Jak wykorzystać zamęt w ZSSR, jakie więzy nawiązać z krajami nadbałtyckimi i Ukrainą, jak wykształcić przyszłych przywódców narodu, oto pytania, które — sądzę — zadawałby sobie dziś Piłsudski. Również Dmowski by je sobie zadawał i myli się, kto przywołuje jego cień, aby przesłonić pustkę, bezczynność i ślepotę polityczną.

Alain BESANÇON

1 stycznia 1989

LIBELLA
12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.
KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT
Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 18 listopada 1988

W *Kulturze* z marca 1971 ukazał się list do mnie pióra anonimowego Korespondenta z Kraju, wraz z moją odpowiedzią. Dotyczył sytuacji w Polsce i polskich „grzechów narodowych", ale na użytek tej glossy w dzienniku zacytuję z mojej odpowiedzi fragment dotyczący Włoch.

„Mieszkam we Włoszech od piętnastu przeszło lat, nauczyłem się szybko lubić i cenić u Włochów głęboką ludzkość, inteligencję, trzeźwość, sceptycyzm i wstręt do fanatyzmu, nie zamykając naturalnie oczu na dziesiątki ich wad i przywar. O faszyzmie wiedziałem jedynie tyle, ile mogłem wyłuskać z książek i opowiadań *viva voce*. Któregoś dnia, w rok bodaj po osiedleniu się w Neapolu, poszedłem do kina na film dokumentarny *All'armi siam fascisti*. Był to długometrażowiec sklejony bardzo zręcznie z kronik filmowych dwudziestolecia, pod tytułem nawiązującym nie bez odcienia ironii do naczelnego hasła „czarnych koszul": *Do broni, jesteśmy faszystami*. Siedziałem dwie godziny w ciemnościach małej salki na peryferiach miasta z wypiekami wstydu i upokorzenia na twarzy. A więc tacy byli *wtedy* ci moi ludzcy, inteligentni, trzeźwi, sceptyczni i antyfanatyczni Włosi? Takie były te setki tysięcy ludzi, wrzeszczących, wyjących, podskakujących, plujących, klaszczących, przytupujących z uciechy, wpatrzonych ekstatycznym wzrokiem w numer cyrkowy dziesięciorzędnego aktorzyny i kabotyna na balkonie Pałacu Weneckiego? Tak, na jego pytanie epileptyka politycznego *A chi l'Impero?*, odpowiadały rykiem z jednej piersi *A noi, a noi!* ? Wyznaję, że na jakiś czas był to dla mnie prawdziwy wstrząs".

Prawda była taka, że we włoskim dwudziestoleciu między-

wojennym faszyzm podobał się większości narodu; że większość Włochów podziwiała Mussoliniego, wierzyła mu i w niego, w jego „geniusz polityczny" i „imperialny rozmach"; że sławiony przez Mussoliniego *popolo di dieci milioni di baionette* obudził się z ręką w nocniku jako *popolo di dieci milioni di biciclette* dopiero wtedy, gdy przyszło na własnej skórze płacić koszty „triumfalnego marszu imperialnego" i „świętej wojny narodowej" u boku Trzeciej Rzeszy o „nowy porządek w Europie"; i że antyfaszyści znajdowali się w żenującej mniejszości (dla przykładu, zaledwie dwunastu profesorów odmówiło złożenia przysięgi na wierność reżymowi, która była warunkiem zachowania katedry uniwersyteckiej). Nie brak oczywiście historyków włoskich, opisujących szczegółowo i potwierdzających tę wstydliwą rzeczywistość. Ale nie dociera ona do przemówień przywódców politycznych, zarówno rządowych jak opozycyjnych, zarówno w parlamencie jak na wiecach, słowem tam gdzie walczy się o aprobatę „szerokich mas wyborczych". Bo „szerokie masy", narody, nie lubią zaglądać do lustra.

Piszę to tytułem wstępu do „skandalu", wywołanego przez Philippa Jenningera, przewodniczącego *Bundestagu*. Przeczytałem tekst integralny jego przemówienia w parlamencie niemieckim w pięćdziesiątą rocznicę *Kristallnacht*. Zanim ten tekst został ogłoszony w pełnym brzmieniu, *mass-media* zaprezentowały wystąpienie Jenningera w urywkach wyrwanych z kontekstu, budząc zgrozę. Część posłów opuściła salę parlamentu w trakcie przemówienia. Wiele wskazywało na to, że z wysoko postawionego chadeka niemieckiego „wyszedł" ukryty nazista (podobnie jak po *Liście do przywódców sowieckich* Sołżenicyna zawyrokowano w kawiarniach warszawskich, że z wielkiego pisarza „wyszedł" Rosjanin). Jenninger oświadczył, że go „źle zrozumiano", ale podał się natychmiast do dymisji. Przyznał mu rację Szymon Wiesenthal, „tak, źle go zrozumiano", i nazwał jego dymisję „wielką tragedią".

Pełny tekst przemówienia dowodzi niezbicie, że było sumienną i odważną rekonstrukcją historyczną „stanu ducha" Niemców w okresie triumfów Hitlera i hitleryzmu, „stanu ducha" określonego przez Tomasza Manna mianem „wojowniczego serwilizmu". Większość Niemców, z powodów wymienionych i zanalizowanych przez Jenningera, była zachwycona programem narodowo-socjalistycznym i budową Tysiącletniej Rzeszy; jak większość Włochów była zachwycona faszyzmem i wrzeszczała wniebogłosy *A noi l'Impero!* Dziś niezręcznie jest o tym pamiętać. Narody, zmieniwszy swoją narodową orientację (po klęsce), nie lubią zaglądać do lustra. Ostrożnie więc z lustrem, nie podsuwać go Narodowej Gębie.

Zastanawiam się, dlaczego Jenninger podczas lektury swego tekstu opuścił w nim następujący *passus:* „Czemu nikt nie sprze-

ciwił się ludobójstwu? Ostatecznie władcy Trzeciej Rzeszy nie zdołali wykonać zaplanowanego programu eutanazji, gdyż wywołał on opór ze strony rodzin ofiar i Kościoła. Żydzi natomiast zostali w końcu sami. Ich los spotkał się ze ślepotą i chłodem serca". Coś analogicznego powiedział kiedyś Adenauer, kierując główne pretensje pod adresem Kościołów niemieckich.

Willy Brandt zwierzył się dziennikarzom, że po przemówieniu Jenningera, „najciemniejszym dniu w dziejach powojennych Niemiec", „nie zmrużył oka przez całą noc". On także, antyhitlerowski emigrant, zamachnął się na lustro z pobudek i wymogów politycznych. Istotę „skandalu" ujął najlapidarniej chyba wybitny historyk włoski Giovanni Spadolini, mój dawny szef w *Corriere della Sera,* potem premier i parokrotny minister, obecnie przewodniczący Senatu: „Parlament nie jest aulą uniwersytecką". Jenninger padł ofiarą zjawiska, które nazwałbym: dyskretny *doublethink* demokracji.

20 listopada

E., moja przyjaciółka niemiecka, podrzuciła mi rano wycinek z *Die Zeit:* artykuł Christopha Bertrama o „sprawie Jenningera". Doskonały, ale zdaje się że wydrukowany na zasadzie *audiatur et altera pars* (bardzo szczupła) w powodzi „świętego oburzenia patriotycznego". Bertram mówi prawie dokładnie to samo, co napisałem przedwczoraj. Jenninger przedstawił winę *Niemców* (podkreślenie Bertrama), odsłonił odrażający grymas wszystkich, którzy milczeli u progu Tysiącletniej Rzeszy. Nie da się przekreślić „twardego faktu, że większość Niemców przyglądała się zbrodni z aprobatą lub co najmniej przyzwoleniem". Jenninger odważył się poruszyć „najstraszniejszy problem historii Niemiec, najstraszniejszy dla urodzonych po zdruzgotaniu hitleryzmu". Zbrodniarzy można izolować, osądzić, wymazać z pamięci, ale jak poradzić sobie ze świadomością, że „znakomita większość naszego narodu akceptowała, nie potępiała, uważając ofiary za nie takie znów niewinne". Tak właśnie należało upamiętnić pięćdziesiątą rocznicę *Kristallnacht:* nie uroczystymi i żałobnymi minami, nie kantatą Bacha, nie choinkami przeplatanymi kirem dokoła podium dla zawodowych retorów okolicznościowych, lecz wbiciem głębiej kolca, który tkwi w ciele Niemiec. Kto, po Jenningerze, ośmieli się w kadzidle obchodów i akademii przemienić winę w historię?

22 listopada

Die Schuldfrage, problem winy, Karl Jaspers napisał po wojnie esej pod tym tytułem. Co dziś oznacza „być Niemcem"? Co może dziś oznaczać „czuć się Niemcem" bez gruntownego rachunku sumienia?

W *Autobiografii filozoficznej,* napisanej w roku 1953, Jaspers nie ukrywa że życzył sobie w duchu — jeden z nielicznych — klęski własnej ojczyzny, gdy większość Niemców „zaprzedała diabłu niemiecką duszę w zamian za niemiecką potęgę". Pod koniec *Doktora Faustusa* Serenus Zeitblom snuje podobne refleksje. Diabeł w postaci doktora Goebbelsa notuje na ostatnich kartach swego dziennika, że „musimy za wszelką cenę zwyciężyć, jeśli chcemy uniknąć zapłacenia za wszystko cośmy zrobili".

Historyk Golo Mann, syn Tomasza, szacuje ilość ślepych zwolenników Hitlera na 90 % ludności niemieckiej. Od zaprzedania diabłu duszy niemieckiej w zamian za niemiecką potęgę uchroniło go być może, młodego człowieka, „nieczyste pochodzenie rasowe" matki. Nawet to nie zawsze wystarczało. Przypominam sobie epizod z Palestyny. Nasz pułk stacjonowany był w pobliżu wioski Gedera, chodziłem tam w wolnych chwilach z wizytą do młodego i kulturalnego adwokata z Lubeki, wielbiciela Rilkego i Stefana George. Ożeniony z „aryjką" (miała dwóch braci w *Luftwaffe),* ojciec trojga ślicznych dzieci, pracował na roli i żył na palestyńskim wygnaniu myślą... O czym? Nie o tym, jak się okazało, na co czekał i czego pragnął Jaspers. Któregoś sobotniego popołudnia kartkowaliśmy w dwójkę atlas. Był to okres ofensywy Rommla w Afryce. Pokazał mi pozycje *Afrika-Korps,* przesunął palec dalej, z ust wyrwał mu się nagle okrzyk: „Jeszcze kilka mocnych pchnięć i *mamy* drogę otwartą do Indii!". Po chwili ochłonął, spojrzał na mnie z rozpaczą (lecz nie ze wstydem) w oczach, wybiegł z pokoju. Jego żona, zajęta dziećmi i kwiatami w ogródku, odprowadzała mnie zdziwionym i zalęknionym jakby wzrokiem do furtki.

A Jenningera oskarża się o „przesadę", o „ciężką rękę" w podtykaniu Niemcom lustra pod nos.

Maisons-Laffitte, 6 grudnia

Obchodzi się siedemdziesiątą rocznicę urodzin Sołżenicyna. O jego książkach pisałem wielokrotnie. Przed laty ukazał się też w *Kulturze* mój i Nicoli Chiaromonte *Dialog o Sołżenicynie,* włączony potem po włosku do pośmiertnego tomu znakomitego eseisty i krytyka *Silenzio e parole.* W naszym dialogu uderzają mnie dziś trzy fragmenty.

Nicola: „W książkach Sołżenicyna widać odpowiedź, a raczej jasny zarys odpowiedzi, na piekielną udrękę która, nawet jeśli

nie jest narzucona przez system autokratyczny, gnębi każdą świadomą jednostkę ludzką; udrękę pędzenia z dnia na dzień życia pozbawionego sensu, życia w którym człowiek czuje że gubi z dnia na dzień własną duszę".

Ja: „Prostych, wrażliwych i uważnych czytelników książek Sołżenicyna na Zachodzie wzrusza i zastanawia najbardziej to, że przywracają one znaczenie i jakby czysty dźwięk zdewaluowanym zdawałoby się i bezpowrotnie zużytym pojęciom: dusza, osobowość człowieka, dobro i zło, sprawiedliwość, prawość, miłość, prawda, głód nieśmiertelności. Innymi słowy, podziw dla Sołżenicyna wyraża ukryty a często i ledwie uświadomiony bunt przeciw światu, który (jak pisał Witkacy) „zabija w ludziach wszelką intuicję przyszłości, wszelką możność całkowania chwil w konstrukcji życia na dalszy dystans, rozproszkowując jaźń ludzką na szereg nie powiązanych ze sobą momentów, by ją tym łatwiej poddać mechanicznej dyscyplinie".

Nicola: „Natomiast literatom na Zachodzie opowieści Sołżenicyna wydają się szlachetnie dokumentarne i basta. No cóż, wiadomo że współcześni literaci nie żywią szczególnego szacunku ani dla moralności, ani dla prawdy. Nie jest kwestią przypadku, że to literat włoski wymyślił formułę 'literatury jako kłamstwa'. Formułę znacznie bardziej tradycyjną we Włoszech, niż to na pierwszy rzut oka wygląda; i dającą się zastosować do wszystkiego niemal, co się dziś na Zachodzie pisze. Nie czytaliśmy może ostatnio, że wybitny intelektualista francuski Michel Foucault, powołany do *Collège de France,* wygłosił w surowych murach tej instytucji mowę, w której 'wola prawdy' została uznana za formę represyjną wolności słowa?".

W dniach jubileuszu Sołżenicyna bierze ochota zapytać: trwa na Zachodzie ślad jego książek? W umysłach i sercach czytelników tak, miewam tego dowody. Dla literatów pozostały „szlachetnie dokumentarne", może nawet więcej trochę niż „szlachetnie" (czyli bezsilnie), skoro żłobią teraz drogę strumieniowi sowieckiej *głasnosti.* Ale nie sądzę, by Sołżenicyn i pokrewni mu duchem, choć tak od niego odmienni, pisarze jak (przykładowo) Camus, Orwell, Pasternak zdołali powstrzymać urodzaj na „literaturę jako kłamstwo", literaturę jałowych subtelności i nowych wciąż chwytów i smaczków, powieści które wychodzą i równie dobrze mogłyby nie wychodzić, towarzyskich gier piórem, gdzie „serio" jest synonimem „nudy". Sołżenicynowi i podobnym mu zawdzięczamy przelotne niestety odzyskanie przez słowo swego ciężaru. Stąd tego pisarza tylko poważnego, tylko świadomego w pełni czym jest pisarskie powołanie, pomawia się niekiedy o aspiracje do odgrywania roli „proroka".

Ogłuszani, oszałamiani jego ogromnymi tomiskami, cyklami i „węzłami", skłonni bywamy przeoczać jego „drobiazgi". A kto

wie, czy nie lepiej jeszcze ukazują klasę pisarską Sołżenicyna. *Zagroda Matriony,* opowieść o „człowieku sprawiedliwym, bez którego nie ostoi się żadna wieś, ani żadne miasto". *Zdarzenie na stacji Kreczetowka,* opowieść o zatruciu duszy ludzkiej jadem „czujności rewolucyjnej". *Procesja Wielkanocna,* obrazek zakłócanego i wyszydzanego przez młodych chuliganów święta Męki i Zmartwychwstania. We wszystkich trzech Sołżenicyn dotyka dna deprawacji życia sowieckiego w „rwącym potoku epokowych procesów historycznych". Robi to w sposób skromny i oszczędny, ważąc każde słowo, przyciszonym i zatroskanym głosem, jakby chciał ostrzec „znawców" współczesnej Rosji: dopóki tego nie zrozumiecie, dopóki nie ujrzycie rzeczywistości mojego kraju w drobnych na pozór zdarzeniach i obrazkach, jak prawdę o zeszłowiecznej Rosji starał się widzieć Czechow, wasze rzekome „znawstwo" będzie martwym, bezdusznym, przemądrzałym czernieniem papieru. Ostrzeżenie nie traci swej mocy i dzisiaj, gdy legiony „ekspertów" ślizgają się po powierzchni życia sowieckiego, wyżywają się w stawianiu „diagnoz" i ścigają w konstruowaniu „prognoz", nie usiłując — broń Panie Boże! — zajrzeć nieco w głąb. Sołżenicyn jest pisarzem Rosji głębokiej, która trwa w milczeniu pod lodem i odzywa się rzadko. Kiedy się zaś odzywa, słychać groźne trzeszczenie lodu.

8 grudnia

W naszym dialogu mowa również o walorach artystycznych prozy Sołżenicyna. Zacytowałem uwagę Pasternaka: „Sztuka nie wydawała mi się nigdy przedmiotem czy aspektem formy, ale raczej tajemniczym składnikiem ukrytym w treści. Dzieła sztuki przemawiają na wiele sposobów: tematem, tezami, sytuacjami, postaciami. Lecz przede wszystkim przemawiają obecnością sztuki. Obecność sztuki w *Zbrodni i karze* jest bardziej wstrząsająca od zbrodni Raskolnikowa".

Na czym polega ten „tajemniczy składnik ukryty w treści", który daje odczuć „obecność sztuki"? Cokolwiek spróbowaliśmy o nim powiedzieć, nie zależy w każdym razie od przyrodzonego bogactwa czy ubóstwa materii narracyjnej. Flaubert marzył o opisywaniu rzeczy najpospolitszych tak, jakby były elementem historii lub eposu. Absurdalne niby przedsięwzięcie (dorzucał), ale jedyne warte wysiłku pisarza, decydujące o stopniu jego oryginalności i artyzmu. W liście do Louise Colet użył dziwnego porównania. Artysta musi wszystko wznieść na wyższy poziom, jest czymś w rodzaju pompy, która sięga do najgłębszych pokładów rzeczy, wsysa to co znajduje się pod samym spodem, aby niezauważalne i lekceważone wydobyć na światło dzienne. Porównanie

niezbyt może zgrabne, wystarczająco jednak jasne. Przemienić nijakie, banalne nawet, w niezwykłe; wysoko do góry wznieść i nasycić niespodzianymi barwami powszednią szarość.

„Obecność sztuki" pozwala postawić obok siebie *Proste serce* Flauberta i *Zagrodę Matriony* Sołżenicyna, dwa arcydziełka transfiguracji wprowadzającej w inny wymiar przyziemny realizm opisu.

13 grudnia

Ciemność w południe przedarła się do ojczyzny autora, powieść Koestlera wydano oficjalnie w Budapeszcie. Słyszę, że recenzje w czasopismach partyjnych były pochlebne, Koestlera pochwalono za przenikliwą interpretację procesów moskiewskich: samooskarżenie jako „ostatnia przysługa oddana partii", historyczna przewaga „nowoczesnego dialektyka" Gletkina nad „sentymentalną i przestarzałą" formacją rewolucyjną Rubaszowa.

Tyle się o tym niegdyś dyskutowało! Admiratorzy (do których sam się zaliczam) inteligentnie *wymyślonej* i świetnie napisanej powieści Koestlera przestrzegali, że nadaje się w ten sposób czystkom stalinowskim złowrogą godność, której nigdy nie posiadały. Koestler bronił się za pomocą konceptów typu „logika własnej wiary", „degradacja umysłu ludzkiego przez źle pojęte, ale szlachetne poczucie obowiązku i samopoświęcenia". Krytycy replikowali: „Nonsens, oskarżonych zmuszano do samooskarżeń nie żadną dialektyką, czy wykorzystywaniem ich szlachetnych pobudek, lecz torturami, obietnicami, szantażem rodzinnym". Krytykom przyznał pośrednio rację „tajny raport" Chruszczowa. W epoce *głasnosti* wiemy już o tych sprawach dostatecznie dużo by, oddawszy *Ciemności w południe* co jej się jako powieści należy, ogłosić raz na zawsze jasność w południe.

A tu naraz pochwały w węgierskich czasopismach partyjnych. Podyktowane, jak podejrzewam, żywą ponoć legendą o węgierskim wariancie *Ciemności w południe*. Kadar mianowicie był jakoby Gletkinem, który Rajka-Rubaszowa przekonał do wyznania win niepopełnionych. Legenda nie przysparza Kadarowi chwały, z dwojga jednak złego lepiej już być „dialektykiem", niż zwykłym oprawcą. Niestety, cały Koestler na nic! Oto bowiem w czasopiśmie niezależnym od partii został równocześnie wydrukowany artykuł Farkasa, syna osławionego ministra stalinowskiego. Rajk, wynika z artykułu, przyznał się do win niepopełnionych pod naciskiem tortur, a nie pod wpływem przegranego pojedynku „dialektycznego" z Kadarem (o tym że była torturowana żona Rajka, opowiedziała ona sama po zwolnieniu z więzienia w roku 1956).

Powieszono go natychmiast po procesie i wyroku w roku 1949, „zrehabilitowano" później z aluzją w podtekście orzeczenia, że „poświęcił się" dla dobra partii. Jasność w południe, jasność w południe, to wszystko czego można jeszcze oczekiwać i wymagać od „zasłużonych emerytów rewolucji".

19 grudnia

List z Warszawy od L., przysłany przez okazję. „Byłem tydzień w Moskwie, wróciłem do domu wczoraj. Muszę Ci koniecznie opowiedzieć na gorąco, co udało mi się tam zobaczyć. Choćby w paru słowach. Tobie właśnie, który odnosisz się do *głasnosti* ostrożnie, z pewnym niedowierzaniem czy nieufnością. Otóż widziałem w moskiewskiej kinotece film o Gułagu. Może i Ty go zobaczysz, bo mówiono mi że telewizje zachodnie starają się o jego zakupienie. Nie wiadomo jeszcze, czy wejdzie na ekrany dużych kin, tymczasem pokazują go tylko w klubach, ale nie hermetycznie zamkniętych, widziało go już podobno kilkadziesiąt tysięcy ludzi. To jest bomba, absolutna bomba, *Archipelag* Sołżenicyna w miniaturze, nic się nie ostaje, akt oskarżenia bez białych plam i niedomówień, cała albo prawie cała prawda. Tematem są Sołówki, a raczej punktem wyjścia niż tematem. Prawdziwym tematem jest ustrój zbudowany konsekwentnie na niewolnictwie. Po drodze obtłuczono także nietykalny pomnik Lenina. Co tam *Pokuta* Abuładze, blednie przy tym filmie jak niewinna, metaforyczna aluzja. Czyżby zrozumieli wreszcie, że na dalszą metę nie można się wyłgiwać nędznymi okruchami prawdy? Czyżby zdecydowali się powiedzieć wszystko, albo prawie wszystko? Ach mój Boże, jak bardzo chciałbym, żebyś ten film zobaczył!".

(Dopisane w Neapolu, 15 stycznia 1989. Wczoraj w nocy telewizja włoska nadała ten film, oglądałem go rzeczywiście z uczuciem bliskim osłupienia. Nakręciła go Maryna Gołdowska, trwa godzinę, nazywa się *Własť sołowieckaja*. Już sam tytuł jest wyzwaniem, trudnym formalnie do podważenia. Ale „władza sołowiecka" kojarzy się tak bardzo w uchu z „władzą sowiecką", że pierwszym odruchem językowym widzów będzie przypuszczalnie zastąpienie nazwy dotychczas świętej nazwą odtąd świętokradczą. Desakralizacja nie ogranicza się do słownej gry w tytule. Film jest uczciwą, otwartą, zrobioną wrażliwie i sprawnie relacją o tym, ,jak hartowała się władza sołowiecka". Poprzedza go motto, hasło z roku 1918: „Zmusimy was do szczęścia żelazną ręką", które pasowałoby dobrze do *Utopii u władzy*. Począwszy od założenia obozu sołowieckiego w roku 1923 (za życia Lenina), czyli od zawiązku raka, śledzi się w precyzyjnych sekwencjach

dokumentarnych rozwój choroby z szybkimi przerzutami „władzy sołowieckiej" na cały kraj „władzy sowieckiej". Sołżenicyn jest w filmie wciąż obecny, raz nawet wymieniony. Archipelag rozrasta się, krzepnie, staje się Systemem. Zaskakuje śmiałość, z jaką o swoich doświadczeniach na Sołówkach opowiadają więźniowie, którym los pozwolił przeżyć i dożyć późnej starości: tortury, bicie, mordercza i rozmyślnie zabójcza praca, masowe rozstrzeliwania bez sądu, sadyzm nadzorców. Wizyta Gorkiego na Sołówkach, która miała „ideologicznie i moralnie" podżyrować „obóz wychowawczy", przedstawiona jest w filmie jako ponura i bezwstydna farsa; sławny pisarz, „budziciel i władca sumień", odegrał w niej świadomie wyznaczoną mu w scenariuszu rolę. Gołdowska ujęła film w klamry dwóch dat: 1923-1939. Dlaczego 1939? Nie może tu chodzić o cezurę wojny, skoro dla Związku Sowieckiego wojna wybuchła w roku 1941. O co więc chodzi? Rzecz wyjaśnia końcowa migawka ze starej kroniki filmowej: przyjazd Ribbentropa do Moskwy. Brzmi to jak przesłanie o naturalnym sojuszu dwóch pokrewnych Systemów).

22 grudnia

List L. uprzytomnił mi, że powinienem jaśniej i dokładniej sformułować mój stosunek do *głasnosti*. L. pisze, że odnoszę się do niej „ostrożnie, z pewnym niedowierzaniem i nieufnością". Zgoda na „ostrożność", jakkolwiek ściślejsza byłaby „trzeźwość". Natomiast nie rozpoznaję się w „niedowierzaniu czy nieufności".

W kwietniu Adam Michnik opublikował w *Tygodniku Powszechnym* artykuł *Więcej marzeń!* Zaczął go od powołania się na mnie: „Mój neapolitański przyjaciel Gustaw zaleca entuzjastom *głasnosti* trzeźwość". Po czym przytoczył mój zapis z dziennika: „Należy oczywiście rejestrować skrupulatnie każdy przejaw odwilży w ZSSR, ale nie należy robić tego takim tonem, z takim przejęciem, jakby cud przemienienia Starszego Brata dojrzewał tuż, tuż, za rogiem. Należy brać w rachubę i wykorzystywać każdy luz sowieckiej *pieriestrojki* (dla mnie *pieriedyszki*), ale nie należy rozgrzewać siebie i innych do rychłego powitania ucieleśnionej nareszcie Dobrej Nowiny ze Wschodu. Mniej złudzeń, więcej chłodnego, spokojnego dystansu. I więcej marzeń, panowie...". Adam podkreślił z naciskiem: „Tak więc: mniej złudzeń, więcej marzeń. Przepisuję te słowa jako motto i przestrogę".

Mój okrzyk *Więcej marzeń!* znalazł się w tytule artykułu Michnika. Jak „więcej marzeń" pogodzić z zalecaną przeze mnie równocześnie „trzeźwością"? Pogodzić można, a nawet trzeba, co według mnie stanowi dramatyczną istotę postawy sowieckich chorążych *głasnosti*. Do tej postawy wrócę, najpierw przykład

z naszego podwórka. W mojej nocie *Paskudna historia,* napisanej nazajutrz po spotkaniu Gorbaczowa z „parlamentem kultury polskiej" na Zamku Królewskim, wysunąłem zarzut zmarnowania okazji: pytając Gorbaczowa o doktrynę ograniczonej suwerenności Breżniewa, należało odwołać się nie do inwazji Czechosłowacji w roku 1968, lecz do ogłoszenia stanu wojennego w Polsce 13 grudnia 1981. Swoista „trzeźwość" (eufemistycznie mówiąc) podyktowała zapewne pytającemu posłużenie się przykładem trochę mniej w Warszawie drażliwym. Ale prawdziwa „trzeźwość" powinna była rozwiać jego złudzenia (jeżeli je posiadał), że większym „realizmem politycznym" odznacza się pytanie o Czechosłowację w roku 1968, niż o Polskę w roku 1981. Z punktu widzenia „realizmu politycznego" jedno pytanie warte jest drugiego, bo nie zanosi się na unieważnienie osławionej „doktryny" przez Gorbaczowa. Natomiast zasada „więcej marzeń" nakazywała powiedzieć głośno w Warszawie, w obecności Gorbaczowa i jego polskiego Namiestnika, że Polacy nigdy nie przełkną zawartego w „doktrynie" werdyktu „żadnych marzeń". Byłby to dowód pełnego wykorzystania *głasnosti*. Jak byłoby nim zastąpienie mętnego słówka z opozycyjnej nowomowy „podmiotowość" jasnym słowem „niepodległość".

W *Paskudnej historii* nazwałem *głasnost'* „poważną szansą, dobrą bronią do wykorzystania na wszelkie sposoby". Wyczuwa się świadomość tego u sowieckich orędowników i użytkowników *głasnosti,* wraz z obawą (nie pozbawioną akcentów prawie desperacji), czy proces nie zostanie pewnego dnia gwałtownie zahamowany i odwrócony. Dramatyczny zaiste splot: z jednej strony mgliste perspektywy trwałości procesu, z drugiej — jakby dla nieodzownej przeciwwagi — potrzeba drążenia coraz głębiej i szybciej, póki proces jednak trwa. Ilekroć Sacharow stawia koncesjonowany krok, posuwa się natychmiast o pół kroku dalej na teren jeszcze niedozwolony. Cokolwiek zdarzy się jutro, możliwie dużo wydrzeć, i odcisnąć w sowieckiej rzeczywistości, dzisiaj. Gdzież tu miejsce na „niedowierzanie i nieufność"? I w stosunku do kogo? Do ludzi, którzy usiłują przezwyciężyć lub rozluźnić bodaj duchową niewolę, idąc w ślady swych poprzedników opisanych przeze mnie w *Upiorach rewolucji* trzydzieści lat temu, w czasach kiedy pokładać nadzieję w innej Rosji znaczyło dla wielu „realistów" oszukiwać samego siebie i mrzonkami bałamucić biednych czytelników?

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Religia, poezja*

17. września 1988

Staram się pilnie czytywać obecną poezję amerykańską, ale bez przyjemności. Zrozumiałe, że tam gdzie są tysiące poetów, przygniatająca większość musi być niewiele warta, dostarczając napędu i pożywki nielicznym, kilku zaledwie; tak jest wszędzie. Coś podobnego dzieje się w malarstwie nowoczesnym, przy czym i skutki są podobne, bo przyjemności te obrazy dostarczają niedużo.

O tych poetach da się powiedzieć, że technika ich pierwszorzędna, ale nie mają o czym pisać. Ich „byt" przeziera z każdej linii, jest to byt wykładowców na uniwersyteckich campusach albo w szkole średniej, i opisują najczęściej to, co widzą przez okno albo czego dowiadują się w sąsiednim barze. Jest to rzeczywistość zwyczajna i monotonna, wolna od historycznych trzęsień ziemi, najwyżej z jednym czy drugim niedużym trzęsieniem ziemi w sensie dosłownym. Nic ich nie popycha do skoku niby łososi natrafiających na przeszkodę. I to właśnie, „nie mieć o czym pisać", jest według mnie nielada problemem do zbadania.

Ale tymczasem o czym innym.

Oskar Miłosz w 1934/1935 roku zaprawiał mnie w niechęci do ówczesnej poezji francuskiej, zarzucając jej notowanie tego, co widać przez okno, czyli bierność percepcji. Po pół wieku myślę, że miał rację. Żywotna faza poezji francuskiej przypada na okolice pierwszej wojny światowej. Niesłusznie może wspominałem kiedyś o mojej wrażliwości na Pawła Valéry, podczas

* **Fragment książki przygotowywanej do druku.**

kiedy hołd otrzymać powinniby Blaise Cendrars i Guillaume Apollinaire. A z tych późniejszych niewiele pożytku. Albo jest skok, albo nie ma skoku — wielki poemat litości o nowoczesnej metropolii, „Wielkanoc w New Yorku" Cendrarsa, był skokiem. Datuje się z 1912.

W ocenie przeszkadza nasza nieśmiałość wobec niezrozumiałych zdań czy gwałconej składni. Wiele wierszy czy obrazów niezrozumiałych okazało się wybitnymi dziełami sztuki, toteż ludzie już się boją. Na swój jednak użytek powiadam po prostu: „nie rozumiem" i nie dbam o notowania danego poety na literackiej giełdzie. Nie przemawia do mnie, nie rozumiem, nudzi mnie i basta. Nie mam czasu zgłębiać. Zakładam, że istnieje wiele poziomów nierozumienia i że moje jest dostatecznie wybredne. Jakoś odrzucanie mnóstwa wierszy z powodu ich niezrozumiałości mnie nie zaszkodziło, choć rzecz jest delikatna i nasza profesja nie lubi przyznawać się głośno do tak prostych kryteriów, żeby nie ośmielać maluczkich.

Któż może zgadnąć, jakie pokrętne brednie lęgną się w głowach naszych bliźnich, czasami razem z głębokimi intencjami? W poezji rozmaite brednie zyskały prawo obywatelstwa, odkąd znikła kontrola logiki. Taka jest cena płacona za odkrywczość, ale też z tej przyczyny trudno zakreślić granicę pomiędzy poezją wybitną i podrzędną.

18 listopada

Klarowny ranek i oglądanie szkód po wizycie jelenia. Zjadł wszystkie pączki zimowych lilii i pół heliotropu. Szopy-pracze mocowały się z zamknięciem pojemnika na śmieci, nie otworzyły, ale zabrały jeden sznur, jakby im był do czegoś potrzebny.

Poezja jakiejś cywilizacji jest, cokolwiek się powie przeciw, wiernym odbiciem jej jawnej albo ukrytej istoty. Poezja amerykańska równa się ogromnemu zbiorowi zdjęć migawkowych, z których odgadujemy i rzeczy obserwowane i umysł obserwatora. W umyśle tym można znaleźć przekonanie, że „nie ma o czym pisać" i że inni, którymi wypadki historyczne miotały (na przykład my) są uprzywilejowani, bo rzeczywistość wrażeń (dzieciństwa, rodziny, związków miłosnych, choroby, starości, śmierci) nie dostarcza właściwie żadnej okazji do interpretacji, poza przemianą wrażeń w słowa. Musi też zaraz pojawić się pytanie o prawomocność języka, czyli jest to poezja, brzydzę się obcymi wyrazami, ale co robić, epistemologicznej sofistykacji albo, jak rzekłby Tołstoj, *utonczenija*. I stosuje się to nie tylko do poezji ame-

rykańskiej, ale światowej. A jaki jest ten upragniony zakres, w którym „coś się dzieje"? Społeczny, ustrojowy. „Howl" Allena Ginsberga był skokiem, ale dzięki swojej nieco histerycznej amerykańskiej apokalipsie i gniewowi. Tutaj zbliżam się do czegoś ważnego. Nie zapominajmy, że Samuel Beckett jest wyrazicielem przekonań poetów dwudziestego wieku: życie ludzkie cierpi na podstawowy brak sensu. Poza absurdem nic z niego nie da się wycisnąć. Stąd może wynikać, że coś ciekawego zaczyna się dopiero z liczbą mnogą. Protesty, broń atomowa, Ameryka Łacińska i tak dalej. Czyż nie cechuje wszystkich intelektualistów tego stulecia ucieczka od liczby pojedynczej do liczby mnogiej? I czyż kler różnych wyznań, tak zainteresowany zbawieniem zbiorowości, nie ucieka w ten sposób od rozmyślań nad samą kondycją ludzką grożących nihilizmem?

19 listopada

Ledwo wczoraj tak napisałem, a znalazłem co następuje w biuletynie American Academy of Arts and Sciences, której mam zaszczyt być członkiem:

„W dzisiejszej epistemologii, w dzisiejszych teoriach poznania, a również w poetyce i w teorii literatury rządzi *w sensie dosłownym nihilizm*. Nie używam słowa *nihilizm* w ujemnym, w jakimkolwiek przymiotnikowym znaczeniu. Chcę robić z niego etymologiczny użytek w tym odczycie. Jest nicość. Podstawowym pojęciem, centrum (paradoksem jest mówić o centrum) jest pojęcie braku.

Pojęcie braku przewodzi najbardziej energicznym poszukiwaniom i sporom. Brak jest podmiotu, *ego*, brak kartezjańskiej pierwszej osoby w liczbie pojedynczej. Brak rzeczywistych funkcji prawdy w odniesieniu do sensu. Nie ma już teorii logicznej korespondencji pomiędzy mową i prawdą.

Brak wartości w jakimkolwiek obiektywnym i uniwersalnym sensie, brak absolutu, brak kanonu, brak dogmatycznej hierarchii widzialnych autorytetów.

Podmiotowi już się nie ufa, podmiotu już nie uważa się za stały, centralny, nietykalny".

George Steiner, odczyt w Akademii 15 kwietnia 1987.

Być może przyjęcie takiej *episteme* i takiej poetyki oznacza koniec poezji — i my, kilku nas, odróżniamy się wigorem, bo jesteśmy opóźnieni, to znaczy nasze filozoficzne rozmyślanie nadal zachowuje resztki odniesienia do prawdy obiektywnej, czyli Boga.

1 grudnia

„Utrzymywanie państw jest rzeczą, która prawdopodobnie przekracza nasze rozumienie. Budowa społeczności to, powiada Platon, rzecz potężna i trudna do rozwiązania, trwa ona często wbrew śmiertelnym i wewnętrznym chorobom, wbrew zelżywości niesprawiedliwych praw, wbrew tyranii, wbrew nadużyciom i nieuctwu urzędników, swawoli i rozpasaniu ludów".

„Rząd naszego państwa jest chory: bywały wszelako bardziej chore i nie pomarły. Bogowie grają nami jakoby w piłkę i odrzucają nas sobie z rąk do rąk".

(Przekład Boya)

Tę cytatę i inne wypisałem z egzemlarza *Prób* Montaigne'a, lecąc z New Yorku do San Francisco. Mimo zmęczenia dałem radę rozmowom z Matsonem, z Richardem i Jody, z Josifem i Inez, wszystkie w hotelu Algonquin, i spotkaniu z agentami sprzedaży w The Ecco Press, a następnie wieczorowi poetyckiemu w the Poetry Center, a czytałem dobrze. Podpisywanie książek, *reception*, po czym obiad we włoskiej restauracji z Danem i Renatą.

30 stycznia 1989

Zajęcia dla nas nowe, których musimy się dopiero uczyć, kosztują dużo energii nerwowej, natomiast jeżeli mamy wprawę, wydatkujemy tylko energię fizyczną, co dużo łatwiej. Tak jest z orką, z koszeniem, tak też jest z publicznym czytaniem wierszy i występowaniem w roli filmowego gwiazdora. W St. Louis czytałem wiersze, dawałem autografy, pozwalałem się fotografować, myślą będąc w znacznym stopniu gdzie indziej, a gdzie? W książce Ludwika Konińskiego *Uwagi* — która jest jego dziennikiem z lat 1940-1942, w pełni tragicznym, bo cały czas próbuje siebie przekonać, że Bóg jest, że zło nie ma absolutnej władzy, ale nie bardzo mu się to udaje.

1 lutego

Karol Ludwik Koniński. Nigdy go nie spotkałem i nie znalazł się w orbicie moich zainteresowań, tyle, że znałem nazwisko. Nie moje pokolenie, poza tym drukujący w pismach „narodowych", czyli tych, które do literacko ważnych nie były zaliczane. Teraz uważam go za rzadkość w katolickiej Polsce, za człowieka

o temperamencie metafizycznym, tak jak jego przyjaciel Witkacy. Z tą różnicą, że Witkacy wiarę religijną Konińskiego uważał za narkotyk i kto wie, czy nie wziął go za model swoich postaci neo-katolików, którzy bez większego powodzenia udają, że wierzą.

Dziennik Konińskiego odcyfrowany z rękopisu przez Bronisława Mamonia i wydany pt. *Uwagi* bardzo mnie poruszył, ponieważ dotyczy pytań zasadniczych, najważniejszych i dla mnie i, moim zdaniem, dla całej cywilizacji dwudziestego wieku. Robię nawet sobie wyrzuty, że tracę czas zajmując się czym innym. W skrócie wygląda to tak, że jesteśmy prawdopodobnie świadkami i uczestnikami epoki przełomu równego temu, jaki nastąpił w imperium rzymskim, kiedy przechodzono od pogaństwa do chrześcijaństwa. Był to proces powolny, trwający kilka stuleci, bynajmniej nie zakończony z ogłoszeniem przez Konstantyna chrześcijaństwa za religię państwową. Na jasne rozeznanie tego, co się odbywa nie bardzo możemy sobie pozwolić. Istnieją znaki, ale nie wiadomo, czy dają się odczytać poprawnie. Całe życie próbowałem odgadnąć ich sens i dalej robię to teraz w Kalifornii. W środowisku akademickim ilość ludzi przyznających się do religii jest nieduża, a pośród moich studentów zauważyłem nieznajomość najprostszych pojęć wywodzących się z tradycji biblijnej, obojętność na religię albo wrogość do niej. Państwo nauki jest laickie i wyznaje głównie laicki humanizm, urozmaicany marzeniami o socjalistycznym terrorze, które od czasu do czasu nawiedzają wolnomyślnych wychowanków bibliotek i laboratoriów. A jednak tuż obok ich świątyń rozumu kościoły wyznań chrześcijańskich są w niedzielę pełne i trudno zgadnąć, jakim prawom podlega ta koegzystencja. Wydaje mi się, że nie statystyki są tutaj istotne, choć w krajach Zachodu ilość ludzi chodzących do kościoła stale się obniża. Bardziej istotne są powody ich wyboru, czyli to, co zaprząta mnie od lat, sposób myślenia ludzi nazywanych wiernymi, na pewno inny niż kilka wieków temu.

4 lutego

Koniński był filozofem bólu, bólu ludzi i zwierząt. Z wyznania katolik, zmagał się ze sobą i starał się nim być, ale sporo zostało w nim z ojca, protestanta i agnostyka, który mawiał, że jeżeli ktoś stworzył ten świat, to chyba szatan. Koniński-syn przyjmuje założenie, że wiara w Boga nie powinna być kupowana za cenę wyrzeczenia się rozumu, nie powinna też pogwałcać naszych sumień. Deiści osiemnastego wieku też to zakładali, ale w optymistycznym stuleciu łatwiej było wiarę w Boga godzić z rozumem i poczuciem moralnym. Koniński prowadzi swój dziennik w Rudawie pod Krakowem, a więc w pobliżu Oświęcimia, w latach codziennych wiadomości o aresztowaniach i śmierciach, pośród ogólnej beznadziei, bo Niemcy zwyciężają na wszystkich frontach. Dziennik kończy się w 1942, już pewnie w chorobie, która w rok później zakończy życie Konińskiego. Te okoliczności zaostrzają jego zasadniczy problem.

Bóg stworzył świat, który „w złem leży" i pozostaje obojętny na cierpienie. Jeżeli, jak powiadają, jest miłością, to między jego obojętnością i miłością zachodzi sprzeczność, logiczna tudzież moralna. Cóż to za miłość, która pozwala na Oświęcim? Prawda, że u Dantego i Piekło zostało stworzone przez Wieczną Miłość, ale dla nas skazywanie ludzi na wieczne męki jest zupełnie nie do przyjęcia, odczuwamy Piekło chrześcijańskie jako potworność. A z chwilą, kiedy człowiek zwraca się z prośbą o ratunek dla siebie i zostają mu oszczędzone cierpienia, dajmy na to doczesne, ma prawo zapytać, dlaczego on sam korzysta z przywileju, podczas kiedy inni obok giną w torturach. Co do zbawienia wiecznego, to jedni otrzymują łaskę, inni nie, czyli jedni są predestynowani do zbawienia, inni idą na wieczną zatratę.

Śledząc, jak Koniński próbuje wywikłać się z tych sprzeczności, uświadomiłem sobie, po raz pierwszy chyba tak dobitnie, że ktokolwiek chce naprawdę poważnie myśleć o religii, musi, nieuniknienie, wpaść na pomysły heretyckie. Koniński już gotów jest zrezygnować z maksymalnych wymagań naszego umysłu i nie żądać, żeby prawdy religii wytrzymywały próbę rozumu: mogą być ponad naszym rozumem, byle nie przeciw niemu. Czy też ponad naszymi wymogami moralnymi, byle nie przeciw nim. Nie bardzo mu się jednak ta ekwilibrystyka udaje. Jego Bóg nie jest Stwórcą ze Starego Testamentu, powołującym świat *ex nihilo*, kapryśnym i nieobliczalnym władcą, którego zrządzenia muszą być przyjmowane na ślepo, choćby były najoczywiściej absurdalne. Modli się do innego, jasnego Boga, który jest miłością, który walczy ze złem, cierpi i wymaga naszej ludzkiej współpracy. W religii tego jasnego Boga nie ma miejsca na wieczne potępienie, nie ma też miejsca na predestynację. Te rozwiązania nie są co prawda nowe. Epikurejczycy wynaleźli mocną alternatywę: zważywszy na to, jak nędznie urządzony jest świat, bogowie albo są wszechmocni, ale nie są dobrzy, albo są dobrzy, ale nie są wszechmocni. Jeżeli jednak nie są wszechmocni, znaczy to, że stawia im opór jakaś zasada, starsza, by tak rzec, niż oni. Tak więc u Epikurejczyków szukać można źródeł późniejszej gnozy i manicheizmu. Jasny Bóg zmaga się ze złem, w które obfituje świat stworzony nie przez Boga, tylko przez niższego demiurga. Następnie u Marcjona w drugim wieku przeciwstawienie Boga miłości wcielonego w Chrystusie demiurgowi znanemu jako Jehowa. Wiele wieków później William Blake nazwie tego gniewnego władcę Nobodaddy czyli Nikomutata. Koniński modli się o wiarę,

chce za wszelką cenę wierzyć, że Bóg jest i działa, ale to już inny Bóg, nie obojętny Stwórca, czyli zapuszczając się w teologię polski pisarz zbliża się do rozwiązań gnostycznych, być może w naszym stuleciu nieuniknionych.

5 lutego

„Jeżeli mam wybrać katolicyzm albo humanizm — wybieram humanizm. Jeżeli chrystianizmem, który może wejść w zgodę z humanizmem jest 'protestantyzm' — jestem protestantem".

Nieźle sobie Koniński utrudnia. Bo, jak powiada, „sens mojej wiary w Boga jest ten, żebym miał nadzieję, że się spełni szlachetne czy sprawiedliwe pragnienie serca ludzkiego". I gdzie indziej: „Bóg jest postulatem sumienia. I dopiero teraz szukam możliwości zewnętrznych, żeby ten postulat uprawdopodobnić".

„Cudów nie odrzucam, jeżeli je sumienie afirmuje. Cudów nie odrzucam, bo dusza ich pragnie, bo nie znam praw, wedle których Łaska poskramia Naturę. Bo świat jest głęboki i bogaty, bo rzeczywistość jest fantastyczna".

„... w Polsce katolickiej, w której nikt na serio nie bierze ani religii, ani ateizmu".

„Ładny Dobry Ojciec, który widzi jak dziecko lezie w studnię, a nie chwyta go, ładny sprawiedliwy Sędzia, który zaszczepił oskarżonemu bakcyla wścieklizny, a potem wściekliznę karze wieczną katorgą".

„'Królestwo moje nie z tego świata' — prawda. Ten świat nie jest królestwem Boga, ale czyż by się był Jezus Chrystus wyrzekał na przyszłość tego królestwa? 'Przyjdź królestwo twoje'. Ewangelia pełna zastanawiających zagadek, które dla umysłu krytycznego lekturę jej czynią pochodem po szkle tłuczonym — od jednej przystani wzniosłej do drugiej wzniosłej przystani. Ewangelia wygląda jak krajobraz w morzu mgieł: tu i ówdzie wychylają się jasne i zrozumiałe szczyty — ale wychylają się z tumanu mgły, na której dnie nie wiadomo, co się kryje, jakie jary ciemne".

„Dlaczego religia, a nie ateizm, choćby dżentelmeński, choćby bohaterski, choćby wspaniały, choćby chrześcijański? Bo religia wydaje się prawdziwszą niż ateizm, bo jest jakieś w umyśle przekonanie uczucia, przekonanie wyobraźni, przekonanie mistyczne i metafizyczne, że kosmos nie jest płytki i mechaniczny, ale głęboki i witalny; że Rzeczywistość jest bogata, niezmiernie i głęboko bogata, i że jest w niej miejsce na piekło i niebo: a jeżeli jest niebo, to jest Bóg; niebo puste od Boga jest nonsensem,

jest jeszcze jednym piekłem, piekłem nudy, a Rzeczywistość jest zajmująca, bosko interesująca — i prawdziwsze jest wszystko, co wierzy w świat bogatszy i interesujący, niż to, co wierzy w świat nudny, dający się wyczerpać ostatecznie formułą fizyki — jak ateizm suponuje i zakłada".

Ostatecznie za religią zdaje się więc dla Konińskiego przemawiać Eros Platona, pośrednik między bogami i ludźmi.

„*Filozofia ancilla theologiae:* filozofia zawsze idzie za wiarą, wiarą teistyczną albo ateistyczną, monistyczną albo pluralistyczną; filozofia opracowuje systematycznie *zasadnicze przekonanie,* usprawiedliwia go, broni go, dowodzi go. Do przekonania też się dochodzi filozofując, ale jeszcze nie systematycznie, jeszcze idąc za popędami wyobraźni, uczuć, obyczaju. Serce wytycza kierunek filozofowania".

„O ileż mniej demoniczny był świat pogański — niż świat chrześcijański! Nieprawda, że chrystianizm wniósł światło w świat starożytny — wniósł grozę i demonizm".

„... ale to mię właśnie zaskakuje, zdumiewa, atraktuje: czemu nie rozsądek i logika spokojnej melancholii zwyciężyły, ale heroiczny illogizm, który zarzucał umysły masą pytań bez rozwiązania, heroizm, który nakazywał żyć tak, jakby wiecznie złodziej miał do domu się wkraść, złodziej-łotr?

Koniński za centrum swojego chrześcijaństwa obierał słowa Chrystusa: „Ojciec mój dotąd pracuje i ja pracuję", czyli heroiczną filozofię współpracy z Bogiem.

„Nie pokorę czujemy wobec Boga ale dumę, że jest w nas coś takiego, co jest najlepsze w całym kosmosie, że jest w nas coś takiego, co w Bogu jest".

„Straszliwa męka wiary, która się czepia tajemnicy nagimi palcami — jak się czepia ściany górskiej ktoś, kto się w przepaść osuwa. Boże, jeśli jesteś, zmiłuj się nad nim!

Katolicyzm zdaje sobie sprawę z tej straszliwej męki wiary na ślepo — i wbija klamry żelazne dowodów obiektywnych, *ex creatione;* o, gdybyż te klamry siedziały mocno, gdybyż ta logika była niezbita! Katolicyzm zdaje sobie sprawę ze straszliwej samotności człowieka, który został sam na sam z Bogiem — póki się nad nim Bóg nie pochylił, ale Bóg pochyla się rzadko — i dlatego otoczył człowieka wiary potężną tkaniną pospólnej modlitwy, pospólnego obrzędu, pospólnych sakramentów, organizacji, żeby tylko człowiek sam na sam nie został, z Bogiem Ukrytym, z nocą tajemnic".

A dyplomacja Kościoła?

„I cóż samarytańscy panowie z Rzymu, cóż biskupi niemieccy? Jeżeli za katolickimi Polakami nie umieliście się wstawić, cóż dopiero za mordercami Pana Jezusa?".

„Z Polski nowy katolicyzm, katolicyzm z takimi modlitwami jak te Krasińskiego itp.? Z ideą Soboru? Ze słowiańskim, przynajmniej raz jeden, papieżem, przez sobór wybranym? Z papieżem, który by nie był dyplomatą zdolnym i chytrze chuderlawym, ale potężnym i dobrotliwym patriarchą, opiekunem wszystkich ludzi dobrej woli, rzetelnym namiestnikiem dobrego Boga na tej smutnej ziemi? Czy to sny na jawie?".

Wypisałem te zdania Konińskiego, bo są mi bliskie i ujmują dobrze zmagania wewnętrzne „metafizycznych niedowiarków", jak to sam nazywa. Niewykluczone, że, jak pisze, religia większości trwała przez stulecia konwencją, obrzędem, strachem piekła, polityką, splendorem rzeźby i architektury, natomiast nieliczni poszukiwacze zawsze lądowali w herezji, co jednak Kościołowi nie szkodziło. Koniński, choć jego nadzieja odnowy Kościoła miała się spełnić, byłby dobrym kandydatem na więźnia Świętej Inkwizycji i być może zostałby spalony na stosie. Choć, co prawda, katolicyzm zarzucił rygoryzmy swojej dogmatyki, zbliżając się w tym do wyznań protestanckich i Kościoła Wschodniego, a nawet do judaizmu, w którym niezależna spekulacja kabalistów kwitła przez stulecia, nie narażając ich na prześladowania.

Możliwe, że łagodność wobec dewiacji wynika z uświadomienia sobie przez Kościół ich rozpowszechnienia. Gdyby przyciskać, ilu z wiernych oświadczyłoby, że wierzą w Piekło, w kaźń na wieczność? Ilu przyjęłoby za pewne, że Matka Boska została żywcem wzięta do nieba? Czy też ilu odpowiedziałoby, że grzech Adama i Ewy ich obciąża, podczas kiedy ich umysły nieświadomie skłaniają się do rozwiązania, o którym czytamy u Orygenesa: „Nauczali, że śmierć przynależy do stworzenia człowieka jako istoty skończonej. Nie jest więc następstwem grzechu". Tym bardziej, że teoria ewolucji jest mocno ugruntowana w umysłach, czyli gdzie tam szukać grzechu pierworodnego u ludzi jaskiniowych.

Ostoją Kościoła katolickiego zdają się być wierni powstrzymujący się od dociekań, albo dlatego, że ich to nie ciekawi, albo dlatego, że z góry zakładają nieprzekraczalną granicę.

7 lutego

Zaangażowany przez całe życie w poezji musiałem moje religijne „tak" i „nie" umieszczać na tle jej dziejów od osiemnastego wieku. Oddzielenie się jej od religii utwierdzało mnie zawsze w przekonaniu, że erozja wyobraźni kosmiczno-religijnej nie jest złudzeniem i że ogromne połacie planety, które przestają być chrześcijańskie, są zewnętrznym tej erozji odpowiednikiem. Zarazem silna nadal obecność obrazów Starego i Nowego Testamentu w poezji różnych krajów narzucała pytanie o fazę, w której jesteśmy, tzn. ku czemu poezja idzie, ku zniknięciu „reliktów" czy ich wzmocnieniu. Baza nihilistyczna poezji, tak jak całej cywilizacji — a równocześnie jej rola jako organu „metafizycznego" poznania. Dla Konińskiego po stronie Boga jest głębokość, bogactwo, witalność kosmosu — to przecie właśnie, wbrew naukowym formułom, głosi poezja, tym się karmi, to eksploruje.

9 lutego

Bičiulis znaczy przyjaciel. Od *bite,* pszczoła, które jest dla mnie tajemniczym słowem. Związki z angielskim *bee,* z germańskim *bini, bia,* nordyckim *by* jasne, ze słowiańskim *pczoła, bczoła* niejasne. *Bičiulis* to ten, który z sąsiadem ma razem pszczoły. Biegniemy w jakąś pradawność wiejską, litewską, ale nie tylko. Bo w Ameryce rolniczej *bee* oznaczało też zgromadzenie sąsiadów czy sąsiadek np. dla łuskania grochu *(husking bee)* a staroświecka liczba mnoga *been* używana była jak się zdaje w znaczeniu *tłoki.* Dla mnie *tłoka* (wschodniosłowiańskie *tołoka,* litewskie *talka)* jest zupełnie domowe, znane z dzieciństwa, ale w nowoczesnym polskim? A pszczoła jako godło dynastii w starożytnym Egipcie i też *biti?*

23 lutego

Być może intuicja, jaką miałem w Japonii była najbardziej trafna jeżeli chodzi o przyszłość religii i dziwię się, że jej dotychczas nie rozwinąłem. A wróciło to do mnie z okazji angielskiej antologii *Tongues of Fire,* gdzie są trzy moje wiersze i jeden Wata („Japońskie łucznictwo"). Redaktorka tomu, Karen Armstrong (była zakonnica) pisze o różnicy pomiędzy doświadczeniem mistycznym i praktyką religijną większości ludzi wypełniających co im poszczególne religie nakazują. Zresztą pisała o tym już dawno Simone Weil.

Buddyzm i szintoizm w Japonii trwają mocą tradycji i nie są przedmiotem ani potwierdzeń, ani zaprzeczeń. I jest to jakby inne niż gwałtowna erozja chrześcijaństwa w ciągu ostatnich stu lat, czyli wygląda to na stan trwały, który następuje po skoku

w dół od tego stadium, kiedy religia władała wszystkim. Być może inne religie idą tym samym torem i chrześcijaństwo na Zachodzie usadawia się na takim niższym, ale mocnym szczeblu. Czy też, używając innego porównania, będzie to linia prosta, dokoła której meandrycznie wiją się rozmaite linie prywatnych dociekań, charyzmatycznych ruchów, czy mistycznej kontemplacji, zasadniczo niezbyt przejmującej się granicami swego, jednego, wyznania, bo np. teista chrześcijański ma w tym względzie wiele wspólnego z a-teistą buddyjskim. Oczywiście istnienie religii jako przepisanych praktyk jest ważne, bo z jej zniknięciem zabrakłoby ochrony dla przemyśleń własnych u wiernych, jak też zachęty do nich.

24 lutego

Niewykluczone, że cały nasz sposób myślenia o dziejach religii wymaga zasadniczej zmiany. Wieki gorącej wiary jednoczącej chłopa, rzemieślnika i teologa, religijnych entuzjazmów i poświęceń mogą być w znacznym stopniu tworem późniejszych wyobrażeń rzutowanych wstecz. W wielu krajach chrześcijańskość mas ludowych była wątpliwa i obyczaj chodzenia do kościoła nie znaczył, że wierni umieliby odpowiedzieć na najprostsze pytania katechizmu. W szesnastym, a nawet jeszcze w początku siedemnastego wieku wieś litewska była chrześcijańska tylko z nazwy. Ale o ileż dawniej ochrzczona Francja miała w osiemnastym wieku liczną miejską ludność złożoną z nędzarzy, którzy o jakiejkolwiek religii nie wiedzieli nic i których sama obecność tłumaczy ferwor, z jakim podczas rewolucji rozbijano głowy świętych na portalach katedr. Michajłowski, krytykując Dostojewskiego, który wierzył w głęboką religijność rosyjskiego chłopa, twierdził, że chłop rosyjski jest ateistą żywiołowym. Te przykłady, pierwsze z brzegu, prowadzą do pewnych podejrzeń: historia religii, jak zresztą historia w ogóle, nosi znamię „kasty wiednej". Wspaniałość architektury, malarstwa, muzyki, zbudowała obraz cywilizacji chrześcijańskiej niejako ponad głowami ludzi przeciętnych, krzątających się dokoła swoich przyziemnych spraw, i nic tu nie da się wyraźnie oddzielić, tak jak wspaniałych świątyń w Nara i Kyoto nie da się oddzielić od dziwnej mieszanki różnych tradycji zwanej Japonią. Możliwe więc, że rozmaite hamulce, które przeszkadzały religii w przeszłości (obyczaj pogański, nędza, niepiśmienność) mają swój odpowiednik dzisiaj w innych hamulcach, tak że w ogólnym rachunku wypada remis.

Jednak „śmierć Boga" ugodziła w „kastę wiedną", tak że filozofia, nauka i sztuka poszły na swoje, już nie troszcząc się

o opinie teologów, i to jest zasadnicza różnica. Tutaj, w tym oddzieleniu, widzę główną problematykę nowoczesnej poezji.

Poezja zamiast religii czyli powołana przez te same potrzeby, które zwracają człowieka do religii. Taka formuła byłaby poprawna, ale jest zbyt ogólna i obejmuje rozbieżne nieraz skłonności. Co innego Mallarmé, co innego Rilke, a jeszcze co innego Walt Whitman. Nie przesadą może byłoby szukać analogii w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, kiedy wskutek ogromnych nawarstwień umysłowego wyrafinowania (grecka filozofia, ówczesny światopogląd naukowy etc.) nowa religia wykształconym nie wystarczała i dlatego szerzyły się wśród nich różne rodzaje (elitarnej z założenia) gnozy. Gnostycyzm byłby wtedy tym, czym dzisiaj jest dla wykształconych poezja, która bynajmniej nie może być sprowadzona do „przeżyć estetycznych". W swoich najważniejszych utworach jest medytacją nad miejscem człowieka w kosmosie. Jej konkurentką byłyby różne rodzaje historiozoficznej gnozy.

Czesław MIŁOSZ

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 K ö l n, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

ŚWIAT NA SKRAJU PRZEPAŚCI

„Starsi panowie, starsi panowie, starsi panowie dwaj...
Już szron na głowie, już nie to zdrowie, a w sercu ciągle maj".

W kabarecie warszawskim, za moich czasów, brzmiało to zabawnie i było na miejscu. A jak było w Moskwie dwadzieścia lat później? Nie wiem, jak jest ze zdrowiem i co mają na głowie dwaj starsi panowie Andrzej Gromyko, były minister spraw zagranicznych ZSSR i Robert McNamara, były minister obrony USA. Wiem natomiast, że w sercu mają nie maj, a październik, nie byle jaki, a wyłącznie ten z roku 1962, i że na to wspomnienie drżą nie jak od podmuchu wiosny, a ze strachu. Obaj ci starsi panowie i wielu jeszcze innych też niemłodych panów z USA, ZSSR i Kuby, w taki czy inny sposób związanych z tym, co historia nazywa kryzysem kubańskim, spotkało się w styczniu w Moskwie, aby odtworzyć karaibską awanturę, odmłodzić się o dwadzieścia siedem lat, poczuć na nowo wicher dziejów. Nie poczuli.

Historia, jak wiadomo, się nie powtarza, a jeżeli tak, to z dramatu przechodzi w komedię. Byli kombatanci, zbowidowcy z Karaibów, jeżeli się powtarzają, to na tej samej zasadzie. W 1962 roku byli aktorami wielkich wydarzeń, ale wtedy grali w dramacie. Dziś występują już tylko w komedii. Jest to gatunek teatralny niełatwy, godny szacunku, ale aktorzy nie powinni go mieszać z tragedią. Inaczej powstaje farsa.

Co się działo na Karaibach w 1962 roku? Oto, w wielkim skrócie, podstawowe etapy przygody.

A. Latem 1962 roku samoloty szpiegowskie USA odkrywają, że ZSSR zainstalował na Kubie rakiety średniego zasięgu zdolne do przenoszenia głowic atomowych aż po Nowy Jork, Waszyngton itd.

B. Ameryka postanowiła skontrować. Po ogromnie pogmatwanej i bałamutnej wymianie not i inwektyw między Białym

Domem a Kremlem prezydent Kennedy ogłosił blokadę Kuby i zapowiedział, że nie przepuści sowieckich statków wiozących nowe rakiety i głowice. Blokada ustanie, kiedy Moskwa postanowi zdemontować rakiety i odesłać je do ZSSR.

C. W ostatniej chwili, kiedy okręty sowieckie były już prawie na linii blokady, Chruszczow nakazał odwrót. *Happy-end* polegał na decyzji Chruszczowa rozmontowania wyrzutni i repatriacji rakiet i obietnicy Kennedy'ego, że USA nie podejmą próby inwazji Kuby i wymiecenia Castro.

Po konferencji w Moskwie McNamara odkrył, że sprawa była na serio. Dowiedział się, że w apogeum kryzysu kubańskiego kilku dygnitarzy sowieckich postanowiło ewakuować swoje rodziny z Moskwy. On sam, McNamara, przypomniał sobie przy tej okazji, że kiedy 27 października 1962 opuszczał gabinet Kennedy'ego, to wcale nie był pewny, czy dane mu będzie jeszcze kiedyś przeżyć spokojny sobotni wieczór jesienny.

To streszczenie nie nadawałoby się nawet do bryków Zuckerkandla (chyba tak się pisał) we Lwowie. Ale nie wolno mi więcej. Nie mogę odtwarzać wydarzeń ani ich ewolucji, bo redaktor Giedroyc na samą propozycję tematu powiedział: „Eh, drogi panie, to do *Zeszytów*". Zamiast odtwarzania historii przechodzę więc do wniosków, jakie z niej snuć można i warto na użytek nie podręczników, a ludzi współczesnych. Do historii (w *Zeszytach)* może rzeczywiście kiedyś wrócę, ale muszę przedtem odzyskać oryginały moich notatek kubańskich, które dwadzieścia lat temu zostawiłem w dobrych rękach w Warszawie. (Jeżeli „ON" je jeszcze ma, to niech da znać).

Jako dziecko szczęścia... zawodowego, trafiłem w odpowiednim charakterze, to znaczy korespondenta *Życia Warszawy* i PAP (to, jak się okazało, miało w specyficznych lokalnych warunkach sporo awantaży) w odpowiednie miejsce, to znaczy na Kubę jak ogień gorącą, i to trafiłem tam w odpowiednim momencie, to znaczy kilka miesięcy zanim się zrobiło gorąco, także w przenośni, w październiku roku '62. Pojechałem na krótko, zostałem ponad rok, przed, w czasie i po kryzysie.

To mnie powinni byli zaprosić do Moskwy. Jeżeli bowiem świat rzeczywiście znalazł się w '62 roku na skraju atomowej przepaści, to ja byłem tej przepaści bliżej od wielu, jeżeli nie wszystkich uczestników moskiewskiego seminarium. I nie ewakuowałem nikogo: rodziny, bo została w Warszawie, siebie samego, bo mi to nawet nie przyszło do głowy. Odwrotnie. Przyglądałem się wszystkiemu z entuzjazmem, pasją, z bliska i na żywo.

Widzę oczyma duszy, jak dobija do portu w Hawanie pierwszy statek, który bohatersko przełamał blokadę *yankee*. Był to polski drobnicowiec, którego naturalnie żaden patrol amerykański nawet nie próbował kontrolować. Jasne przecież było, że Rosjanie nie przewożą atomowych rakiet i głowic pod pokładami statków nie sowieckich. Nie pamiętam nazwy polskiego statku,

pamiętam tylko kolosalne pijaństwo na cześć zwycięstwa nad amerykańską blokadą. Jak na skraj przepaści, było bardzo wesoło.

No, ale dosyć rzewnych wspomnień. Do rzeczy. Seminarium moskiewskie, choć było pomyślane przede wszystkim jako nowe ćwiczenie z gorbaczowowskiej propagandy, zwanej obecnie *głasnostią* i „nowym myśleniem w polityce zagranicznej", zaktualizowało aferę kubańską. W jej świetle niektóre elementy stawania nad „nuklearną i konwencjonalną przepaścią" w 1962 roku — i później — rysują się jaśniej.

Zdradzony mąż

W Moskwie starsi panowie sami niewiele dowiedzieli się nowego, no a młodszym panom, choćby dla nauki, też niewiele chcieli, mogli czy mieli do powiedzenia. Zresztą, dwa czynniki zrelatywizowały nawet to, co powiedzieli. Po pierwsze, nie wiadomo właściwie, co powiedzieli.

Głasnost' swoją drogą, a polityka i stare przyzwyczajenia swoją: pełnego sprawozdania z seminarium moskiewskiego nie opublikowano. Dostały się do prasy albo bardzo dyskretne i raczej sentymentalne wynurzenia uczestników, albo inspirowane przez nich, bardzo względne *scoop*'y dziennikarzy amerykańskich.

Po drugie, nawet to co się wydostało za mury, jest podejrzane. Największa różnica zdań co do... faktów zarysowała się mianowicie nie między Amerykanami a Kubańczykami czy Sowietami, a między Amerykanami i Amerykanami. Panowie McNamara, były minister obrony USA i Salinger, były rzecznik prasowy Kennedy'ego, pokłócili się na łamach prasy nowojorskiej co do zupełnie zasadniczych elementów strategii USA nad przepaścią.

To, że dwadzieścia siedem lat po „przepaści" aktorzy kryzysu ciągle nie są w stanie odtworzyć historii, nie jest wyłącznie kpiną z czytelnika czy słuchacza. Niechęć czy niemożność powiedzenia prawdy nie jest kwestią dyskrecji, a polityki. O pewnych zjawiskach czy sposobach postępowania w stosunkach międzynarodowych czasem lepiej milczeć. Zajrzyjmy za tę kurtynę wstydu.

Na ogół kryzys z roku 1962 uważany jest za konflikt amerykańsko-sowiecki. Tak istotnie było, ale tylko do końca blokady amerykańskiej i odwrotu Chruszczowa. W chwili kiedy sowieckie statki z rakietami i głowicami na pokładzie wzięły nagle kurs nie na Hawanę, a z powrotem na Odessę, zaczął się kryzys nie amerykańsko-sowiecki, a kubańsko-sowiecki. Kryzys zaufania, który trwa do dziś.

Porozumienie Kennedy-Chruszczow zawarte zostało ponad głowami najbardziej zainteresowanych, to znaczy Kubańczyków. Jak ów przysłowiowy zdradzony mąż, Fidel Castro dowiedział się ostatni o zdradzie sowieckiego kochanka. Byłem tam, tuż obok studia telewizyjnego, widziałem i słuchałem Fidela w ataku furii, niezdolnego, w czasie wielogodzinnego przemówienia, do przełknięcia najtrudniejszej żaby w warunkach i w psychice kubańskiej, to znaczy klęski prestiżu, porażonego pogardliwym potraktowaniem Kuby przez Kreml. Kiedy Mikojan przyleciał do Hawany, aby uspokoić i przekupić Fidela, został też potraktowany jak ścierka. Wszyscy sobie o niego wycierali nogi. Czekał kilka dni na przyjęcie u Fidela, był obiektem szyderstw i cienkich aluzji. Kiedy np. Mikojan tłumaczył stanowisko ZSSR, Fidel zauważył, że im łatwo to wszystko przychodzi, bo Rosjanie mają dokąd się cofać (np. w 1941 i 1942 roku), podczas gdy Kubańczycy mają plecy od razu w morzu.

Otóż, przechodząc od wzruszeń do rzeczy, Fidel się, oczywiście, gniewał niesłusznie, podobnie jak w innej sytuacji, ale też niesłusznie gniewa się (używam czasu teraźniejszego, bo nie wiem, czy w chwili kiedy te słowa dotrą do czytelnika, będzie jeszcze mógł się gniewać) prezydent Afganistanu gen. Nadżibulah. Nie chodzi o to, czy decyzja cofnięcia się podjęta przez Chruszczowa w '62 roku i ewakuacji Afganistanu podjęta przez Gorbaczowa w 1989 roku były słuszne. Moim zdaniem, były bardzo słuszne i właściwie jedyne. (Co mógł uczynić Chruszczow, kiedy miał do wyboru albo cofnąć się, albo nacisnąć atomowy guzik? Nie mógł przecież pozwolić Amerykanom na zawładnięcie głowicami sowieckimi i ich tajemnicami). Ale nie ulega kwestii, że w chwili podejmowania tych decyzji interes Związku Sowieckiego nie pokrywał się z interesem Kuby wówczas i Afganistanu teraz, w takiej wersji, w jakiej interes ten pojmowany był z jednej strony przez Chruszczowa i Gorbaczowa, a z drugiej strony — przez Castro i Nadżibulaha. Tak było także w Wietnamie w 1975 roku. Amerykańska decyzja ewakuacji Wietnamu południowego była słuszna i jedyna, ale naturalnie interes Amerykanów odlatujących ostatnim helikopterem z dachu ambasady USA w Sajgonie nie pokrywał się z interesem południowowietnamskich generałów, świadomych na ogół tego, co ich czeka.

Inaczej mówiąc, w strategicznej skali, to znaczy nie koniunkturalnej, a trwałej, interesy supermocarstw mogą, ale nie muszą pokrywać się z interesami ich protegowanych. Istota sprawy sprowadza się do wniosku, że są w polityce międzynarodowej interesy ważne i ważniejsze. Super-mocarstwa to egoiści. To co było rewelacją (zależy zresztą dla kogo) w 1962 roku, dziś jest banałem: żaden konflikt regionalny, na Karaibach, Bliskim Wschodzie czy w Europie wschodniej, nie jest wart konfliktu wprost, oko w oko, między super-potęgami. Inaczej mówiąc, w epoce nuklearnej wojna nie stanowi już sposobu rozwiązywania wielkich sporów międzynarodowych ani realizacji celów politycznych.

Ktoś może powiedzieć, że zachodzi zasadnicza różnica między uprzedzonym Nadżibulahem a zaskoczonym i obrażonym Fidelem. Na to odpowiem, że dyplomacja super-wielkich i polityka nad atomową przepaścią to nie jest salon u cioci. Punkty widzenia na dobre wychowanie w polityce międzynarodowej różnią się zasadniczo w zależności od tego, czy się jest na małej wyspie karaibskiej o 150 km od Florydy, czy też za murami Kremla, tuż obok atomowego guzika.

Kiedy kryzys już opadł, Chruszczow odgrażał się pod adresem Kennedy'ego: „Już nigdy nie uda wam się doprowadzić mnie do spania w kalesonach w moich gabinecie na Kremlu". Nie wiem, jak wyglądał Nikita w gaciach, ale Gorbaczow śpi zapewne w eleganckiej piżamie u siebie w sypialni, albowiem los Afganów nie stanowi problemu w skali uzasadniającej zakłócenie snu człowieka sprawiedliwego.

Szczurnik indyjski w historii świata

„Historia, powiedział Baudelaire, rozwija się tylko poprzez nieporozumienia". Poeta, a jaki trafny polityk. Gdyby znał treść konferencji moskiewskiej na temat Kuby, to poszedłby jeszcze dalej w sceptycyzmie co do rozumu mężów stanu i ich roli w tworzeniu historii. Jeżeli bowiem chcielibyśmy wysnuć jakąś jedną, wielką konkluzję z tego spotkania byłych aktorów byłego kryzysu kubańskiego, to trzeba by powiedzieć, że, jak się okazało dwadzieścia siedem lat później, świat stanął na skraju przepaści nie w wyniku dokładnego przeanalizowania przez atomowych protagonistów dokładnie sprawdzonych i precyzyjnych danych o sytuacji i zamierzeniach strony przeciwnej, a w wyniku braku takich danych lub ich fałszywego odczytania przez niewłaściwych, źle poinformowanych i wadliwie rozumujących ludzi, niesłusznie zajmujących się polityką. O groźbie objęcia świata atomową apokalipsą decydowali polityczni niewidomi.

Sztab sowiecki np. był przekonany, że w roku 1962 dojdzie do pełnej inwazji amerykańskiej na Kubę, Kreml był przekonany, że Kennedy jest zdecydowany za wszelką cenę pozbyć się Fidela Castro, szefa komunistycznej bazy na przedmieściach Florydy. Otóż Moskwa wiedziała (sowiecka sieć szpiegowska nie wymaga reklamy), że w Waszyngtonie niejaki gen. Landsdale opracował i przekazał do Białego Domu plan destabilizacji i usunięcia Castro. Plan ten nosił zakodowaną naturalnie nazwę „Mongoose", od dziwnego zwierzęcia, po polsku (według słownika Kościuszki) szczurnik indyjski. Dlaczego akurat tak się nazywał ten plan i co generałowi akurat to zwierzątko, skądinąd może pożyteczne, zawiniło, nie wiem.

Wiem natomiast, że cały plan „Mongoose", choć rzeczywiście istniał i był tworem gen. Landsdale, nie trzymał się kupy ani strategicznie, ani politycznie. Osiemnaście miesięcy po kompromitacji w Zatoce Świń Kennedy nie miał najmniejszego zamiaru pakować się w awanturę, w której musiałby zaangażować spore siły amerykańskie, ryzykował częściowe niepowodzenia, okropny hałas w prasie, nie mówiąc już o potencjalnie wielkich stratach, słowem, interes był do kitu, nie nadawał się i nie był przewidziany do realizacji.

Ale, jak się okazało po dwudziestu siedmiu latach na konferencji w Moskwie, właśnie ten plan Chruszczow potraktował jak najpoważniej i po to, aby skłonić USA do rezygnacji z tej fikcji, Kreml postanowił zainstalować rakiety na Kubie i ryzykować

atomowym konfliktem. Przy czym, jak zwykle, jeden błąd rodzi następny. Chruszczow taki przebiegły, a jednak wyobrażał sobie, że w dobie, no jeszcze nie satelitów, ale już samolotów szpiegowskich i precyzyjnych zdjęć z wysoka, można będzie zainstalować rakiety po kryjomu, tak aby Waszyngton się obudził dopiero wtedy, kiedy rakiety wraz z głowicami nuklearnymi znajdą się już na wyrzutniach. Oczywiście wystarczyło kilku lotów U-2, a zdjęcia z sowieckich baz na Kubie znalazły się na biurku Kennedy'ego.

I wtedy zaczęły się „nieporozumienia" amerykańskie. Ponieważ szpiegowska sieć amerykańska nie dorównywała (i nadal nie dorównywuje) siatce dyplomatów, kupców i dziennikarzy z KGB, obliczenia CIA nie trzymały się kupy. W Moskwie Amerykanie dowiedzieli się, że podczas gdy oni oceniali, iż w 1962 roku ZSSR dysponował liczbą 75 do 100 rakiet międzykontynentalnych, to w istocie nie było ich więcej niż 25, że więc przewaga USA w tej branży była w momencie kryzysu i przepaści miażdżąca.

Z drugiej strony USA sądziły, że choć rakiety były już na Kubie, to w chwili ogłoszenia blokady głowic nuklearnych tam jeszcze nie było i że ultimatum Kennedy'ego zapobiegnie połączeniu tych dwóch elementów, razem niebezpiecznych, ale oddzielnie nieoperacyjnych. I znowu się mylili. Tak zwana „strona sowiecka" oznajmiła z nieukrywanym zadowoleniem w Moskwie (i sądzę, że jest to prawdą), że w chwili ogłoszenia blokady na wyspie było już ponad 20 głowic, że ich umieszczenie na rakietach mogło być kwestią kilku godzin, że, inaczej mówiąc, cała operacja amerykańska była mocno spóźniona: w chwili ogłoszenia blokady kilkanaście wielkich obiektów w USA było w zasięgu sowieckich rakiet mogących startować z Kuby.

I żeby wyczerpać ten festiwal nieporozumień, dodam, że Amerykanie sądzili, iż tylko 10.000 żołnierzy sowieckich znajduje się na Kubie aby strzec wyrzutni, podczas kiedy w istocie, jak ich poinformowano w Moskwie, było ich 40.000. Mała różnica, a cieszy... Tym bardziej, że w Białym Domu padały projekty, aby zamiast blokady, operacji skomplikowanej i niepewnej, po prostu zbombardować bazy sowieckie na Kubie z powietrza, a potem się zobaczy. Co by zobaczyli, można sobie wyobrazić. Po pierwsze żołnierzy sowieckich było dokładnie cztery razy więcej niż Biały Dom się spodziewał, a po drugie Rosjanie nie mogliby pozostawić takiego ataku bez riposty. Przed blokadą można się wykręcić i jakoś uratować twarz, po ataku bombowym pozostawałyby już tylko apokalipsa, bez twarzy i w ogóle bez niczego.

Mówię o tym wszystkim, bo konferencja moskiewska zadała *coup de grâce* nie tyle złudzeniom czy niepewnościom historyków, co pewnemu stylowi dyplomacji, opartej na oszustwie i dezinformacji, pewnej anachronicznej formule stosunków międzynarodowych, zwłaszcza w dziedzinie „równowagi sił", kalkulowanej w oparciu o chaotyczne obliczenia, jeżeli nie o dane fikcyjne. Nie wiem, czy może istnieć dyplomacja bez oszustwa i dezinformacji, ale jest jasne, że w epoce nuklearnej i satelitarnej wypra-

cowywanie strategii w oparciu o „pi razy oko", pobożne życzenia czy podrzucane fałszywki grozi katastrofą. Na kilka dni przed ogłoszeniem blokady Kennedy przyjmował w Białym Domu Gromykę, który negował w ogóle obecność rakiet na Kubie. Na konferencji w Moskwie Gromyko powiedział zaś, że Kennedy go o to nie pytał. Nawet w swoich wspomnieniach, wydanych niedawno w Moskwie, onże Gromyko powtarza tę niemądrą wersję. Jak potem wierzyć takiemu ministrowi i takiej dyplomacji? A zresztą, czy ktoś wierzył? Nawet Gorbaczow nie wierzy. Dlatego lansuje „nowe myślenie" w polityce zagranicznej. Ale proponuje przed użyciem wstrząsnąć. Jak mówił Reagan po rosyjsku: wierzyć, ale sprawdzać.

W swoich refleksjach po Moskwie McNamara zauważył odkrywczo, że w naszej epoce *crisis management*, czyli zarządzanie kryzysową sytuacją jest szczególnie trudne, a brak dokładnego rozeznania sprawia, że wojskowe konsekwencje kryzysowych decyzji stają się trudne do przewidzenia. Trudno się z tym odkryciem nie zgodzić. A jak temu zaradzić? McNamara ma odpowiedź: nie dopuszczać do kryzysowych sytuacji. Takie proste, a nikt na to jeszcze nie wpadł.

Choć nie byłem na konferencji w Moskwie, ja też kilka prawd odkryłem. Oto skromna próbka. Kryzysy nie powstają z powietrza, powodują je ludzie. Ludzie nie giną od broni, a giną od ludzi, którzy tą bronią władają. Nieufność nie jest skutkiem zbrojeń, to zbrojenia są skutkiem nieufności. I skutkiem działalności takich ludzi jak Gromyko, uczestnik konferencji w Moskwie, którego wspomnienia, okropnie nudne i zafałszowane, staną się na pewno wielkim *best-seller*'em na Zachodzie.

Szalony z brzytwą

W pewnym momencie konferencji w Moskwie powiało sensacją. Aż usiadłem mocniej w fotelu, kiedy od Salingera dowiedziałem się, że syn Chruszczowa, Sergiusz, ujawnił był, iż wie na pewno, że u szczytu napięcia w '62 roku Fidel Castro zażądał od Nikity, aby rozkazał odpalić rakiety i zbombardować Nowy Jork czy Waszyngton. *Dementi* było natychmiastowe. Nic podobnego, powiedziały tzw. źródła, nie miało miejsca. Sam Sergiusz zresztą także szybko zdementował rewelacje Salingera.

Otóż sądzę, że jest to prawda. Z trudem mi to przychodzi, ale myślę, że tym razem Kreml nie kłamie. Sądzę, że rzeczywiście Fidel Castro nie nalegał na Chruszczowa, aby wystrzelić rakiety na USA.

Dlaczego tak myślę, skąd nagle tyle u mnie dobroci? Z dwóch powodów. Po pierwsze Kubańczycy nie mieli w ogóle żadnego dostępu do baz rakietowych sowieckich i nic do gadania w tej branży. Już w promieniu dziesiątków km od wyrzutni obstawiały wszystko patrole sowieckie. Fidel od początku wiedział, że rakiety służyć mają celom sowieckim, a nie kubańskim. Mimo zwariowanych czasem gestów czy nieodpowiedzialnych wystąpień,

Fidel był w istocie politykiem pragmatycznym. Gniewał się nie o rakiety, a o sposób, w jaki został potraktowany. To nie to samo.

Ale, po drugie i ważniejsze, Fidel nie był sam. Otóż wiem, kto naprawdę chciał, aby rakiety atomowe zostały wysłane z Kuby na amerykańskie cele. U szczytu napięcia, w kilka godzin chyba po ogłoszeniu blokady, zostałem przyjęty przez Che Guevarę, proroka, ideologa i męczennika rewolucji kubańskiej i łacińsko-amerykańskiej w ogóle. Był wówczas chyba ministrem przemysłu, przyjął mnie o 3-ej nad ranem (urzędował w nocy, bo w dzień zwiedzał kopalnie, aby móc wypracować system płac dla górników). Kiedy wchodziłem, ktoś wychodził, kiedy wychodziłem, inni czekali.

Otóż, tak jak ten krytyk, który uważał, że jeżeli w pierwszym akcie sztuki na ścianie wisi karabin, to w trzecim akcie musi wystrzelić, inaczej sztuka niedobra, Che też nie miał wątpliwości: rakiety zostały zainstalowane na Kubie po to, aby w odpowiednim momencie zostać użyte. Mniejsza o szczegóły, ale oto finał rozmowy:

JA: — Ale przecież nastąpi amerykańska riposta i w pięć minut po odpaleniu sowieckich rakiet amerykańskie megatony poślą Kubę na dno oceanu.

CHE: — Tak, zapewne, ale wraz z Kubą spocznie tam na zawsze amerykański imperializm.

Cytuję naturalnie z pamięci, ale mam dobrą pamięć i sens na pewno jest prawidłowy. Wracam do tej nocy nie po to, aby uzupełniać historię, pisać ją będą, mam nadzieję, poważniejsi ludzie, niż turyści z konferencji moskiewskiej, ale po to, aby zastanowić się nad teraźniejszością.

Co by się stało, pytam, gdyby Che Guevara miał dostęp do guzika rakietowego? Lepiej nie pytać, słyszę mruczando. A czym, znowu pytam, różni się sytuacja rakiet w 1962 roku od sytuacji broni chemicznej, dokładniej mówiąc gazów trujących w 1989 roku?

Niczym, w zasadzie. Tym tylko, że w '62 roku Che na szczęście nie miał prawa decyzji, zdolnej sprowokować katastrofę, a w 1988 i 1989 roku niektórzy przemysłowcy zachodnioeuropejscy, a zwłaszcza zachodnioniemieccy, mieli i mają prawo decyzji mogącej sprowadzić nieszczęście na świat, i z tego prawa korzystają. I tym jeszcze, że Rosjanie w 1962 roku nie dali comandante Guevarze atomówki do ręki, a w 1988 i 1989 roku firma Imhausen-Chemie i inne, przy pomocy pośredników m.in. belgijskich, sprzedali innemu szaleńcowi, pułkownikowi Kadafiemu, fabrykę do produkcji gazów trujących, zwanych popularnie „atomową bronią biednych narodów", i dostarczyli gotowych gazów innemu demokracie, prezydentowi Iraku, który dzięki temu mógł wytruć wiele tysięcy niewiernych Persów, a przede wszystkim Kurdów.

W 1962 roku skończyło się na strachu, albowiem Chruszczow chciał tylko szantażować USA. Znał przecież ogrom przewagi amerykańskiej i nie miał zamiaru, to oczywiste, poświęcić Moskwy dla Hawany. Cokolwiek można sądzić o fantazji Nikity („my was pogrzebiemy" powiedział do Amerykanów, zapowiadając obfitość komunistyczną na 1980 rok!), nie był to na pewno nieodpowiedzialny nuklearny awanturnik.

No, a przecież ten sam Kreml nie waha się dostarczać broni rozmaitym grupom terrorystycznym, na Bliskim Wschodzie przede wszystkim? Ile ofiar padło już od kałasznikowów ofiarowanych przez państwa komunistyczne rozmaitym Abu Nidalom? Dlaczego Warszawa przez tyle lat chroniła Abu Nidala i robiła z nim interesy, choć SB, jednak poważna instytucja, nie mogła nie wiedzieć, o kogo chodzi? Samolot Pan-Am i jego ponad 250 pasażerów rozbitych nad Szkocją, to ofiary czeskiego materiału wybuchowego „syntex", dostarczanego wszystkim terrorystom od Syrii po Irlandię, tak sprytnie fabrykowanego, że żadna mechaniczna (promienie X) kontrola na lotnisku go nie wykrywa.

A ile ofiar padnie któregoś dnia od gazu właśnie? Dowiedziałem się z lektury dobrych gazet, że 6 miligramów amerykańskiego gazu VX, rażącego nerwy, lub też podobna ilość takiego samego gazu Soman albo Sarin produkcji sowieckiej wystarczy do zabicia dorosłej osoby w ciągu minuty. Łatwo sobie wyobrazić fanatycznego terrorystę, który z małą fiołką zawierającą 50 gramów takiego gazu zamienia wielką stację metra w wielki cmentarz. A czym, poza ilością ofiar i zasięgiem riposty, różni się dostarczanie kałasznikowa, „syntexu" czy, nie daj Boże, gazu, od dopuszczenia Guevary do atomowej wyrzutni?

Stąd właśnie waga afery Kadafiego. Co będzie, kiedy ten dement postanowi zrzucić małą bombę gazową np. na Tel Awiw, urządzić sobie, jak to sformułował Safire w *New York Times*'ie, mały „Oświęcim na piasku"? Albo kiedy dojdzie do takiego samego wniosku gen. Assad, prezydent Syrii, który dysponuje sowieckimi rakietami średniego zasięgu o głowicach z gazami trującymi, wykierowanymi na Izrael, bo niby na kogo innego?

Czy ktoś wątpi, jaka mogłaby być izraelska riposta? Źródła poinformowane twierdzą, że Izrael dysponuje bronią atomową. Oby się nie myliły. Co świat powie, kiedy Izrael w obronie przed tą nową wersją Oświęcimia dojdzie do wniosku, że musi sięgnąć do megaton? Świat w ogóle niewiele mówi: na światowej konferencji przeciwko broni chemicznej w styczniu tego roku w Paryżu 149 zebranych państw nie potrafiło nawet potępić Iraku za wygazowanie Kurdów!

Najprzykrzejsza w tym tak zwanym kontekście jest sprawa Niemieckiej Republiki Federalnej. Wierzę, że kanclerz Kohl osobiście cierpi z powodu udziału firm zachodnioniemieckich w tym gazowym interesie, choć wykazał kolosalną lekkomyślność, kiedy zlekceważył pierwsze amerykańskie sygnały co do zbrodniczego charakteru dostaw zachodnioniemieckich dla Kadafiego, a tym bardziej kiedy otrzymywał jeszcze w ciągu roku... 1987 i 1988 sygnały w tym samym sensie od własnego wywiadu. Jak to ktoś powiedział: „Zachodnioniemiecki wywiad jest doskonały, jakość polityków — to inna sprawa".

Wojenny gaz trujący w ręku prezydenta Iraku — to zbrodnia.

Wojenny gaz trujący w ręku Kadafiego — to niebezpieczeństwo ogromnej zbrodni.

Ale wojenny gaz trujący w spisie „towarów" i w bilansie interesów przemysłu zachodnioniemieckiego, to historyczny dramat. Naród, który wynalazł i zastosował iperyt i „cyklon-b" (IG-Farben!) nie powinien, ani w ogóle, ani dla zysku, już nigdy maczać w czymś takim palców. Ani w usprawnianiu arsenału Libii i dostosowywania samolotów Kadafiego (to już była inna fabryka, ale też zachodnioniemiecka) do zdolności tankowania w powietrzu i rozszerzania w ten sposób zasięgu przenoszenia ewentualnej bomby gazowej.

Straszna perspektywa. Pozostaje modlić się, aby fabryka w Rabta, niedaleko Trypolisu, nigdy nie zaczęła produkować i żeby był to już dziś problem wymiaru sprawiedliwości w RFN, a nie wojny na Bliskim Wschodzie.

Kiedy okazało się, że Amerykanie mają rację, że fabryka dostarczona przez Imhausen-Chemie istotnie miała produkować gazy bojowe dla Kadafiego, któryś z polityków zachodnioniemieckich powiedział: „No i historia znowu nas dopędziła".

To prawda. W wypadku gazów dla Libii w 1989 roku tak jak w wypadku głowic atomowych na Kubie w 1962 roku historia dopędziła tu Niemcy zachodnie, a tam Związek Sowiecki. Pytanie tylko, co się stanie, kiedy jakimś następnym razem na takie *rendez-vous* z losem świata historia się spóźni?

Leopold UNGER

Pisane 13 lutego 1989

Wywiad telewizji niemieckiej z premierem M.F. Rakowskim

Nadany w programie ZDF, w dniu 22 stycznia 1989 o godz. 22.10, a przygotowany przez zespół redakcyjny stałej audycji pt.: *Was nun...* („Co teraz...")

REDAKCJA: — *Panie Rakowski. Jest pan szefem komunistycznego rządu. Polska liczy 37 milionów obywateli, którzy niczego już nie oczekują od komunizmu. Pana kraj, przy 70% inflacji*

i 70 miliardach marek zagranicznego zadłużenia, potrzebuje szybkich reform. Żeby móc je przeprowadzić, zagroził Pan nawet ustąpieniem na dramatycznym nocnym posiedzeniu KC partii, które odbyło się w ostatnich tygodniach. Czy rządzi Pan — tego jeszcze nie było w socjalistycznym kraju — czy rządzi Pan siłą zwątpienia?

M. RAKOWSKI: — Tak. Bezsprzecznie. Wyliczył Pan rzeczywiście ważne problemy, choć jestem zdania, że na każdym polu można osiągnąć postęp. Żeby przezwyciężyć trudności, potrzeba nie tylko odwagi, lecz także woli. Jest to moja dewiza.

RED.: — *40 lat komunizmu w Polsce, a wciąż kolejki przed sklepami, puste półki... Czy komunizm, który przyrzekł ludziom raj, przegrał z kretesem?*

M.R.: — Traktuję obecne położenie w Polsce jako część historycznego ciągu i ostro sprzeciwiam się mniemaniu, że w ciągu ostatnich 40-tu lat doszło do jakiegokolwiek bankructwa. Proszę nie zapominać, że Polska przed wojną była krajem nierozwiniętym i dalej, że prowadzimy naszą rozmowę w kontekście przeszłości: wojna zniszczyła Polskę całkowicie. Nasze osiągnięcia godne są wielkiego uznania. Obecne problemy wiążą się z ogromnym rozwojem w latach 60-tych i 70-tych. Nie jest to więc bankructwo naszych wyobrażeń o socjalizmie. Nie mówię o komunizmie — to coś innego. To idea, która nie została urzeczywistniona i nie będzie urzeczywistniona w następnych dziesięcioleciach. Mówię o systemie socjalistycznym, który ukształtował się tak, jak pozwoliły na to historyczne ramy.

RED.: — *Przetrwanie tego socjalistycznego systemu oraz Pana osobisty los zależą od współpracy z coraz silniejszą w kraju opozycją. Zależą od stosunku do zdelegalizowanej „Solidarności". Czy — aby wyjść z kryzysu — nie musi Pan oddać władzy Lechowi Wałęsie?*

M.R.: — Nie. Daleki jestem od tego, by oddać władzę. Należę do tej generacji czy formacji politycznej, która ma program na przezwyciężenie kryzysu. Nie uważam, by nasi oponenci mieli taki jasny program. Innymi słowy: ostatnie wydarzenia dowodzą wyraźnie, że Wałęsa i jego zwolennicy nie mają innego programu. Co to znaczy program na dzisiaj? Przeprowadzenie gospodarczych reform wymaga oczywiście nie tylko środków, także ofiar. Dalej następuje reforma na obszarze życia społecznego, życia politycznego — to wszystko moim zdaniem już trwa. I bardzo często zadaję sobie pytanie, co jeszcze można zaproponować jako inny program. Uważam to za niemożliwe. Powstaje naturalnie pytanie, jak dalece można poszerzać demokrację, co zależy przecież od położenia gospodarczego — to jasne. Wydaje mi się, że opozycja w Polsce — oni, nawiasem mówiąc, przyznają się do tego — nie ma innej alternatywy. Jaką?

RED.: — *Czy liczy Pan na to, że Lech Wałęsa zaakceptuje Pana propozycje?*

M.R.: — Sądzę, że tak. Myślę, że Lech Wałęsa, jak zresztą my wszyscy w Polsce, wiele nauczyliśmy się w ostatnich latach. Mamy za sobą długą drogę. Na podstawie ostatnich wypowiedzi Lecha Wałęsy mogę stwierdzić, że rzeczywiście możemy znaleźć nie tylko wspólny język, lecz także znaleźć się we wspólnym obozie w celu przezwyciężenia kryzysu.

RED.: — *Jednak na dramatycznym posiedzeniu KC postawił Pan „Solidarności" warunki: że musi być częścią składową socjalizmu, nie może stać się partią polityczną, nie może przyjmować pieniędzy z zagranicy...*

M.R.: — Tak tego nie powiedziałem. Postawiłem tylko pytanie, czym „Solidarność" chce w rzeczywistości być? Związkiem zawodowym czy partią polityczną? Powiedzmy — opozycyjną. To przecież różnica, mająca następstwa w życiu publicznym. Nie postawiłem więc warunków w sensie: wy musicie to powiedzieć. Zapytałem tylko: czym chcecie być? To coś innego.

RED.: — *Ustalił Pan dwa lata okresu próbnego, w którym „Solidarność" zobowiązana jest do praktycznego przestrzegania Konstytucji...*

M.R.: — Chwileczkę... powiedziałem, że ta dwuletnia próba powinna obowiązywać wszystkie zainteresowane strony. Uważam, że zapomina się o tym w waszej zachodniej prasie, obawiam się, że w telewizji również: powiedziałem, że wszystkie siły polityczne, wszystkie partie, także związki zawodowe i inne organizacje powinny zawrzeć na dwa lata pakt i praktykować ideę partnerstwa — moją ideę z roku 1980. To nie był warunek tylko dla „Solidarności".

RED.: — *Przecież „Solidarniość" jest nielegalna. Partie mają...*

M.R.: — No tak, lecz powiedzieliśmy wówczas w KC, że Rada Państwa powinna znieść klauzulę nielegalności. W momencie gdy to nastąpi, „Solidarność" będzie działać jako normalna organizacja.

RED.: — *... jako partia, konkurencyjna wobec partii komunistycznej?*

M.R.: — Tak, lecz chcę wiedzieć, co to ma być? W ciągu ostatnich siedmiu lat osoby reprezentujące „Solidarność" i z nią związane uprawiały tylko politykę. To nie byli związkowcy. Mam na myśli Geremka, Mazowieckiego, tych, którzy określają profil „Solidarności". Czy będzie to związek zawodowy czy partia, pozostaje kwestią otwartą. Jeśli chcą być partią opozycyjną — proszę bar-

dzo — lecz chciałbym to wiedzieć. Oznacza to, że ja, jako szef rządu, muszę moją politykę w tej sytuacji...

RED.: — *Panie Rakowski, trochę dokładniej... czy „Solidarność" ma prawo zostania związkiem zawodowym i czy jednocześnie może zostać partią polityczną? Pozwoli Pan na to?*

M.R.: — Czy w waszym świecie widział pan związek zawodowy, który odgrywa jednocześnie rolę partii politycznej?

RED.: — *Nie. Nie ma tego u nas.*

M.R.: — Aha...

RED.: — *Czy według Pana związek zawodowy nie może zostać partią?*

M.R.: — Nie. Bardzo proszę, jeśli chcą być partią, powinni to otwarcie powiedzieć.

RED.: — *Co Pan wtedy zrobi?*

M.R.: — Jeśli będą się przedstawiać jako opozycyjna partia polityczna, zrobię to, co robi każdy rząd posiadający opozycję. Koniec.

RED.: — *Czy może Pan sobie wyobrazić „Solidarność" jako partię opozycyjną?*

M.R.: — Mogę. Lecz oznacza to, że nie będzie ona związkiem zawodowym.

RED.: — *Albo jedno, albo drugie...*

M.R.: — No tak. Myślę, że jest to palące zagadnienie, dotyczące nie tylko mnie, lecz także tych, którzy jakoś wpływają na oblicze „Solidarności" wczoraj i dziś. A właściwie nie jest to moja sprawa, lecz ich. To wszystko.

RED.: — *Dokąd zmierza Polska? Mówi Pan dziś o koalicji reformatorów, nawet o socjalistycznym systemie parlamentarnym — musi powstać demokracja parlamentarna. Czy oznacza to, że przed następnymi wyborami dojdzie do kampanii wyborczej, prowadzonej przez partię komunistyczną i konkurencyjne partie opozycyjne?*

M.R.: — To kwestia otwarta. Zaproponowaliśmy dwie możliwości: otwarty konkurs, rozumiany jako otwarta walka polityczna lub przygotowanie wspólnej platformy przy okrągłym stole, co będzie oznaczało brak ostrej walki politycznej w okresie przedwyborczym. Naszym zdaniem jesteśmy w stanie porozumieć się przy okrągłym stole. Co do treści — mówił Pan o socjalistycznej demokracji — sądzę, że rozwój sytuacji w Polsce traktować należy w szerokich ramach. Cała formacja socjalistyczna wkroczyła mianowicie w okres olbrzymich dyskusji środowiskowych i trudno jest dzisiaj znaleźć jasną odpowiedź na pytanie, jak i w jakim kierunku rozwijać się będzie ta formacja w kolejnych latach. Powołuję się tu na historyczne doświadczenie. Otóż Francuzi po Rewolucji Francuskiej szukali swego oblicza dziesiątki lat. Ostatecznie je znaleźli. Były różne fale...

RED.: — *Tak... Czy nie jest to koniec pewnej ideologii, koniec komunizmu z jego pretensjami do ideału?*

M.R.: — Nie sądzę. Mamy różne formacje ideologiczne, polityczne... Dziesiątki lat traktowaliśmy komunizm jako dogmat lub wyobrażenie o komunizmie. To zdarza się w historii ludzkości. Nie mówię więc teraz o końcu ideologii. Mogę powiedzieć, że mówię o końcu wyobrażenia o komunizmie. To wszystko łączy się i należałoby wygłosić większy wykład o historii, na co nie mamy czasu. Wiem, istnieją hasła i wyobrażenia typu: koniec z komunizmem. Żaden koniec! Po prostu nasza formacja, formacja ideologiczna wkroczyła w inną fazę rozwoju. To wszystko.

RED.: — *Jest Pan za reformą, gdyż jest ona gospodarczo konieczna. Potrzebuje Pan poparcia całej ludności, z jej własną inicjatywą, gotowością do odpowiedzialności, kreatywnością. Jak chce Pan to osiągnąć po czterdziestu latach niemożności i gospodarki nakazowej?*

M.R.: — Dobre pytanie. Jak chcemy to zrobić? Reforma i wszystko, co się z nią wiąże powinny stworzyć szerokie ramy dla nowego nastawienia do ekonomii, do gospodarki, powinny stworzyć przestrzeń dla ludzkich inicjatyw, itd. Wiem, że jest to proces wymagający wielu lat. Mówiłem to często. Po raz pierwszy mam możliwość powiedzieć również widzom niemieckim, że jeśli miało się jakiś system przez czterdzieści lat, to — pomijając fakt, jak on funkcjonował — niełatwo ten system i wszystko, co się z nim wiąże w ciągu pięciu, czy nawet dziesięciu lat po prostu odłączyć i stworzyć nowe stosunki społeczne. Potrzebujemy co najmniej jednej generacji, by zastąpić ten, bez wątpienia przestarzały, system nowym. Wymaga to czasu, którego niestety w żadnym sklepie nie da się kupić, choć wszystko inne można.

RED.: — *Mówi Pan o przestarzałości systemu. Kiedyś mógł Pan trzymać ludność Polski w szachu: bądźcie cicho, bo przyjdą Rosjanie. Od czasu Gorbaczowa jest to niemożliwe. Czy tak już pozostanie? Czy wierzy Pan w sukces Gorbaczowa?*

M.R.: — Tak. Wierzę, choć i on potrzebuje dużo czasu. To jest dylemat. Oczekujemy wszyscy szybkich zmian. Za pomocą jakichś sztucznych środków nie da się ich osiągnąć. Zakładam, że Gorbaczow, który stoi przed dużymi trudnościami i problemami, że ZSSR będzie także potrzebował wielu lat, by ten system zre-

formować, zmodernizować. Zresztą to, co nas dotyczy, dotyczy też ZSSR — cała historyczna przeszłość odgrywa przecież dużą rolę. Mam nadzieję, że Gorbaczow, ta linia i ta orientacja będą się wzmacniać z roku na rok. Na dostrzegalne sukcesy nie można jednak tak szybko liczyć.

RED.: — *Wszyscy Polacy życzą sobie otwarcia na Zachód. Gdzie Pana zdaniem leży Polska? Do czego można przypisać Pański kraj?*

M.R.: — Jest tam, gdzie jest. Polska była zawsze krajem, gdzie krzyżowały się różne kultury, różne wyobrażenia o życiu. Była mieszanką kultury wschodniej i zachodniej. Nie sądzę, by przynależność do jakiejś części Europy była dla Polaków palącym problemem. Ostatecznie znajdujemy się dokładnie w środku Europy. Tak było w ostatnich stuleciach i tak pozostanie. Z politycznego punktu widzenia sądzę, że formacja nasza pozostaje w politycznej czy też ideologicznej opozycji w stosunku do formacji zachodniej. Gdy chodzi o kulturę, spojrzenie na świat... Polska to Polska, to proste. Stawianie pytania, do kogo Polska należy, to strata czasu. Polska należy do Polaków.

RED.: — *W naszej audycji rzucamy również naszym rozmówcom kilka haseł czy pojęć z prośbą o spontaniczne odpowiedzi. Pierwsze hasło dla Pana: mur w Berlinie.*

M.R.: — Jest czymś, co należy do konkretnego położenia politycznego, które rozwinęło się w tych ramach. Koniec.

RED.: — *Kompromis.*

M.R.: — Kompromis? Próba zrozumienia mojego partnera oraz oczekiwanie, że on także mnie zrozumie.

RED.: — *Lenistwo.*

M.R.: — Negatywne nastawienie do życia i jego problemów.

RED.: — *Władza.*

M.R.: — Trudna sprawa. Trudne zadanie.

RED.: — *Wrogość.*

M.R.: — Jest częścią życia.

RED.: — *Józef Stalin.*

M.R.: — Dyktator.

RED.: — *Helmut Kohl.*

M.R.: — Interesujący polityk.

RED.: — *Helmut Kohl pojedzie w lecie do Polski. Czy może Pan sobie wyobrazić, że 1 września będzie w Pana kraju mówił także Richard von Weizsäcker?*

M.R.: — W polityce jako takiej można sobie wszystko wyobrazić. Zależy to jednak od stosunków.

RED.: — *Czy wierzy Pan, że po 1 września pojawi się szansa na zmniejszenie napięcia w stosunkach między naszymi państwami?*

M.R.: — 1 września to oczywiście ważna data. Sądzę, że poczynając od teraz, a właściwie od 1970 roku, możemy poczynić duże kroki, by stosunki między Niemcami i Polską skierować bardziej ku przyszłości, nie zapominając przeszłości. Teraz trzeba myśleć o przyszłości i w tym kontekście powstają dobre i duże możliwości, by nasze stosunki uzdrawiać i poprawiać.

RED.: — *Panie Rakowski. W ostatnich latach stosunki między Polską i Niemcami pogorszyły się. Trzy dni był Pan w Bonn. Z jakimi nadziejami wraca Pan do domu?*

M.R.: — Jestem przekonany, że podejmiemy wspólnie z kanclerzem właściwe decyzje. Jestem o tym dzisiaj bardziej przekonany, niż przed pobytem w Bonn.

RED.: — *I na koniec: mówił Pan o wyborach, dopuścił Pan możliwość wystąpienia w Polsce partii opozycyjnej. Czy wobec tego jest Pan pewny, że komunistyczna partia w Polsce wygra nadchodzące wybory parlamentarne?*

M.R.: — Jestem nawet bardzo pewny. Mam na to argumenty.

RED.: — *Dziękuję Panie Premierze.*

M.R.: — Proszę bardzo.

Kolonia, 24 stycznia 1989

(Tłumaczenie i opracowanie: Magdalena ANDRZEJ)

List z Londynu (18)

25 lat temu wydarzył się w Londynie jeden z naszych cudów, które zdumiewają obcych, a nam pozwalają na odpędzenie czarnych myśli: powstał Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny.

Dwie instytucje, *Polish University College Association* (w pol-

skim skrócie PUCAL) i Stowarzyszenie Techników Polskich, wbrew wszelkim tradycjom, postanowiły przekazać wszystkie swe nieruchomości nowo zaplanowanemu ośrodkowi i w ten sposób stworzyć fundament pod wielki, wspólny Polski Dom.

Opatrzność zawsze znajduje sobie wykonawcę swych nieprzewidzianych planów, w tym wypadku był nim prof. Roman Wajda, świetnie uplasowany, bo w obydwu tych instytucjach zajmował czołowe stanowiska. Doskonale wiedział, do czego zmierza, był zdecydowany, uparty, prawie fanatyczny, miał wokół siebie ludzi, którzy go rozumieli i na których mógł liczyć. A przedsięwzięcie było niezwykle trudne i, oczywiście, znalazło legion przeciwników.

Obozowi pragmatyków przewodził b. konsul generalny RP w Londynie, dr Karol Poznański, stojący na czele Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom Polskim i dysponujący poważnymi kapitałami. Przeciwstawiał on POSK-owi koncepcję światowej polskiej organizacji, zrzeszającej miliony rozsianych po świecie Polaków, głównie z młodego pokolenia, która chroniłaby ich od wynarodowienia. Poparł go prof. Henryk Paszkiewicz, przewidując niebezpieczeństwo inflacji i olbrzymich kosztów utrzymania wielkiego gmachu.

Niechętni projektowi musieli być także ci, którzy kierowali organizacjami lub instytucjami posiadającymi już własne nieruchomości i wypełniającymi zadania postawione sobie przez POSK. Do nich przede wszystkim należało Stowarzyszenie Polskich Kombatantów oraz Instytut Polski i Muzeum im. Gen. Sikorskiego.

Najzajadlejsi, najbardziej agresywni byli jednak ci, którzy nie propagowali żadnego innego rozwiązania ani nie wypełniali poskowych zadań. Oni to twierdzili, że POSK powstaje dla wysoko płatnego stanowiska jego prezesa, że władze ośrodka zostaną szybko spenetrowane przez komunistycznych agentów, że pomysł zgromadzenia wielu instytucji i organizacji pod jednym dachem to gwarancja katastrofy, a kalkulacja finansowa nie wytrzymuje krytyki. Polska londyńska prasa pękała po prostu w szwach od nadmiaru artykułów, listów, fraszek, uchwał i apeli. Hałasy te dotarły do Paryża i *Kultura* wypowiedziała się rzeczowo i przychylnie o odważnej inicjatywie.

Wytrzymano falę zajadłej krytyki, POSK powstał, istniał i działał. Przejęcie odpowiedzialności za Bibliotekę Polską okazało się doskonałym pociągnięciem propagandowym, z całego świata poczęły płynąć pieniądze, odrzucono lękliwe, połowiczne rozwiązanie i zaakceptowano projekt wielkiego budynku.

Dziś grupy etniczne w Wielkiej Brytanii korzystają z poparcia rządu i lokalnych władz, dwadzieścia pięć lat temu było inaczej. Musiało się znaleźć miejsce na zabudowę i uzyskać zgodę miejscowego samorządu. Była to przeszkoda poważna, nikt nie chciał wtedy angażować się w problemy obcokrajowców, choć osiedlili się już na stałe na terenie Londynu. Z trudem udało się taką zgodę uzyskać (pomógł Polak, lokalny miejski architekt), ale z wyraźnym zastrzeżeniem, że o żadnych koncesjach nie może być mowy. Tak samo zareagował Departament Nauki i Wiedzy,

który odmówił dalszych wpłat na utrzymanie Biblioteki Polskiej. „Chcecie utrzymać polskość, płaćcie na to sami". A po dwudziestu latach brytyjskie władze dały £ 70.000 na wykończenie sali teatralnej!

Znaleziono stary dom towarowy w niezłej dzielnicy Hammersmith, bardzo blisko polskich skupisk, a obok niego jeszcze starszy kościół. Obydwa budynki do rozebrania, ale gdy do tego przystąpiono, okazało się, że przed kościołem, pod chodnikiem, znajduje się mały cmentarz. Usunięcie ludzkich kości wymaga w Wielkiej Brytanii uchwały parlamentu, stracono na to dwa lata, a właśnie wtedy rozpoczął się galop inflacji. Zaprojektowany budynek miał kosztować £ 500.000 a wydano nań ponad dwa miliony!

Znalazłem się w kilkuosobowej grupie, która udała się do banku, by pożyczyć kolosalną wówczas sumę około miliona funtów. Bankier wysłuchał nas i powiedział krótko: — „Gdyby z taką propozycją przyszli do mnie Anglicy, musiałbym pokazać im drzwi. Przecież na ten milion nie macie żadnego zabezpieczenia. Ale ja wam go dam, bo poznałem Polaków. Byliśmy razem na libijskiej pustyni".

Zaczęła się rozbiórka, a później stawianie budynku przy ciągle wzrastającym, szeptanym jątrzeniu, że świętokradcze ręce rozbierają kościół i na śmietnik wyrzucają ludzkie kości! Nadeszły miesiące, w których były już szanse na otwarcie zachodniej części gmachu, ale okazało się, że przepisy tego zabraniają. Albo wykończona całość, z odpowiednimi drzwiami, klatkami schodowymi, wentylacjami, zabezpieczeniami, albo nic. Lokalny inspektor młody Anglik, opanowany, rzeczowy, chyba nie złośliwy, ale bardzo pragmatyczny, w niczym nie chciał ustąpić. Wszędzie zaglądał, wszędzie był i z profesora Wajdy wyszarpywał ostatnie uncje cierpliwości. Wreszcie doszło do decydującego spotkania. Inspektor bez złośliwości, spokojnie, ale stanowczo bronił swej pozycji. — „Prawo jest oparte na doświadczeniu, przepisów łamać nie wolno. Czy pan wie, że za to można trafić do więzienia?".

Profesor potrafił zachować spokój i odpowiedział tym samym tonem: — „Mam za sobą dwa lata Workuty, mogę jeszcze posiedzieć".

Anglik wyskoczył z pokoju, pobiegł na budowę. — „Słuchajcie, ich prezes mówi, że jest gotów pójść do więzienia. To są szaleńcy, ale musimy im pomóc".

Dramat osiągnął szczyty, gdy po uzyskaniu zupełnie wyjątkowej zgody na otwarcie zachodniej części gmachu (trzeba było zamurować przejścia), na kilka tygodni przed tym wielkim dniem zmarł profesor Wajda.

Ponad 3 tysiące ludzi zostało na ulicy, a w zatłoczonej sali, przy trzykrotnym przekroczeniu wyznaczonej przez policję pojemności, siedział milczący angielski inspektor i tylko kręcił głową.

Ale od tego dnia zupełnie się zmienił. Brakowało pieniędzy, trzeba było sztukować, trzeba było robić taniej, przepisy okre-

śliły wysokość budynku, więc obniżyło się nieco stropy i „ukradło" dodatkowe piętro. Ostatecznie stanął cały gmach, z nowoczesną biblioteką, zaopatrzoną w klimatyzację i ruchome półki, z piękną salą teatralną, 83 tysiące kwadratowych stóp.

Były wielkie kłopoty finansowe, były lata kryzysu i prawdziwego zagrożenia, ale społeczeństwo polskie nie zawiodło. Dziś dług jest spłacony, budżet jest zrównoważony, a na wszystkich piętrach POSK-u słychać szum głosów, gwar, dźwięki muzyki, szczęk talerzy. Do Biblioteki Polskiej przyjeżdżają naukowcy i studenci z całego świata, w sali teatralnej odbyły się już setki premier, z niej i z innych urządzeń POSK-u korzystają także Brytyjczycy i wiele różnych grup etnicznych. Widzi się Chińczyków, Hindusów, Malajczyków, Arabów, Murzynów. Widzi się także gromady młodzieży z kraju, która dostaje nasze książki, informacje o studiach, o źródłach pomocy i o możliwościach znalezienia pracy. Sala wystawowa nigdy nie jest pusta, w innych, często tego samego dnia, odbywają się odczyty, wykłady, egzaminy, zabawy i spotkania.

W naszej rzeczywistości, gdy czasem udają się inicjatywy indywidualne, ale prawie nigdy zbiorowe, gdy ciągłe różnice zdań nie pozwalają na osiągnięcie realnych celów, utworzenie POSK-u i spłata miliona funtów długu pozwala na dumę. Nasze wojenne pokolenie, pierwsze i od dwóch wieków jedyne wychowane w wolnym kraju, miało w tym sukcesie decydujący udział.

◆

W dyskusji nad moją książką *Niezapomniane lata*, w której przedstawiłem sprawy bezpieczeństwa Komendy Głównej AK i naszą walkę z Gestapo, postawiono mi pytanie, dlaczego wtedy nie próbowaliśmy sposobu, który dziś jest tak skuteczny. Dlaczego Armia Krajowa nie porywała wybitnych hitlerowców i, grożąc egzekucją, nie wymuszała ustępstw, a zwłaszcza wymiany na aresztowanych, czołowych przywódców podziemia. Może w ten sposób Delegat Rządu, prof. Jan Piekałkiewicz, i dowódca AK, gen. Stefan Rowecki, zostaliby uratowani.

Dwie były przyczyny, dla których takie akcje, wyjątkowo zresztą trudne, nie byłyby skuteczne.

Po pierwsze Niemcy nigdy nie podjęliby żadnych pertraktacji, nawet gdyby mieli stracić swego wybitnego człowieka. Hitler z największą odrazą akceptował fakt, że jacyś Niemcy się poddali i trafili do niewoli. Dla niego byli to prawie zdrajcy, niegodni pamięci i zachodu. O Niemcu, który dałby się porwać przez *Untermensch*'ów, myślałby podobnie. Stalin rozumował tak samo. Nie starał się nawet o ratowanie własnego syna, który zginął w niemieckiej niewoli. Po wojnie wracający z Niemiec sowieccy jeńcy szli prosto do łagrów.

Drugą przyczyną był niezawodny, krwawy odwet okupantów, bez żadnej naszej korzyści. Hitlerowcy działali na terenie okupowanych krajów i, zwłaszcza na wschodzie, z niczym się nie liczyli.

Były już tego jaskrawe dowody. Partyzantka mjr „Hubala", psychologicznie bardzo potrzebna, kosztowała drogo. Za zabicie paru żandarmów Niemcy spalili kilka wsi wraz z ich mieszkańcami. Za odbicie więźniów pod Arsenałem, także psychologicznie bardzo potrzebne, w którym padło czterech Niemców, rozstrzelano 140-stu więźniów Pawiaka. Za porwanie i próbę wymuszenia ustępstw Niemcy spaliliby całą dzielnicę Warszawy i wymordowaliby jej mieszkańców.

Dziś jest zupełnie inaczej. Minęła straszliwa, wielka wojna, skończyły się walki w Wietnamie, gdzie Amerykanie zrzucali masowo bomby na wrogie wsie i miasta. Wiadomo, skąd pochodzą terroryści, ale odwet na ich mocodawcach jest prawie niemożliwy. Raz tylko Amerykanie podjęli bombardowanie Libii i spotkali się z powszechnym potępieniem. Francja nie pozwoliła amerykańskim samolotom nawet na przelot nad swym terytorium. Tylko Izrael w odpowiedzi na akty terroru niszczy arabskie wioski, ale jest za to ostro krytykowany.

W specyficznej sytuacji znajduje się Wielka Brytania w stosunku do obydwu Irlandii: północnej (Ulsteru) i południowej, niepodległej, co zaznaczyło się jaskrawo w sprawie b. księdza, Patricka Ryana.

Trzy lata temu premierzy Zjednoczonego Królestwa i irlandzkiej Republiki podpisali porozumienie, którego głównym celem była walka z terroryzmem i współpraca organów bezpieczeństwa. W roku 1987 umowa ta została wzmocniona aktem o ekstradycji, ale praktyka pokazuje co innego. Ryan, aresztowany w Belgii z fałszywym paszportem, był od dłuższego czasu obserwowany przez brytyjski wywiad, wiele poszlak wskazuje, że był związany z antybrytyjskimi bombowymi zamachami IRA i władze w Londynie chciałyby przeprowadzić sądową rozprawę. Najpierw zwróciły się do Belgii, tamtejszy sąd uznał słuszność żądania ekstradycji, ale interweniował belgijski rząd i zamiast do Londynu, wysłał Ryana do Dublina. Gdy Brytyjczycy, w oparciu o umowę i akt o ekstradycji, zażądali jego wydania, spotkali się z odmową.

Władze południowej Irlandii zdecydowały, że proces odbędzie się na ich terenie, w ramach tamtejszego prawa. Argumenty irlandzkiego premiera dotyczą prawnej strony problemu, krytykują jego „upolitycznienie" przez ostre wystąpienie p. Thatcher w Izbie Gmin, wskazują na prawo każdego człowieka do wolności. Ryan zapowiedział, że pozwie brytyjską prasę przed sąd o zniesławienie.

Żadne umowy nie potrafią przekreślić przeszłości. Wieki brytyjskiej okupacji, zbrodnie popełnione przez Cromwella, tendencyjne wykrojenie północnej Irlandii, wszystko to sprawia, że ludność irlandzkiej Republiki jest przeciwna ekstradycji politycznej, a jej rząd tylko udaje szczerość. Jest oczywiste, że część katolickiej ludności Ulsteru sprzyja terrorystom, ale o żadnych zbiorowych represjach nie może być mowy, bo Brytyjczycy raziliby swoich własnych ludzi.

A inne kraje? Trzeba przypomnieć kilka faktów. Po arabskim

zamachu i zamordowaniu izraelskich sportowców na olimpiadzie w Monachium, w roku 1972, rząd niemiecki po prostu ułatwił ucieczkę zamachowcom. W kilka lat później brytyjski rząd Edwarda Heatha odesłał Niemcom ich anarchistkę. Ściśle według tej recepty postąpił rząd belgijski.

Nikt nie chce mieć do czynienia z terrorystami, nawet potężne państwa boją się fanatycznego odwetu.

Józef GARLIŃSKI

WSPÓŁCZESNA POEZJA POLSKA — WYDANIA W JĘZYKACH NIEMIECKIM I POLSKIM

Tomasz Jastrun

„FAST ZWEIHUNDERT JAHRE SCHON — OD PRAWIE DWUSTU LAT"

Wybór i posłowie: Z. Dominiak. Przekład: W. M. Ronge.
8 rysunków (piórko): M. Dzendzel.
80 str. Cena DM 16,80.

Antoni Pawlak

„SCHWIERIGE GEDICHT-AUSWAHL — CIĘŻKI WYBÓR WIERSZY"

Wiersze z lat 1976-1987.
Wybór i przedmowa: K. W. Tatarowski.
Przekład: A. Gruber.
76 str. Cena DM 15,00.

Do nabycia w polskich księgarniach na Zachodzie lub bezpośrednio u wydawcy:

Veto Verlag Berlin
D-1000 Berlin 10, Richard Wagner Str. 39

Kraj

Dziennik zewnętrzny

Wieczorem miasto wymarło. Nie było jednak w powietrzu napięcia, jakie towarzyszy godzinie milicyjnej, raczej odświętny skurcz przed wielkim wydarzeniem sportowym, w które zostały zaangażowane uczucia narodowe. Bo jak nie porównać tego spotkania do bokserskiej walki. Zawodnicy przeszli wieloletni trening, a przez ostatnie dni byli przygotowywani przez sztaby specjalistów. Mówiono potem o przetrenowaniu Miodowicza i przeziębieniu Wałęsy, co go osłabiło fizycznie, ale niespodziewanie wzmocniło umysłowo.

Szef OPZZ „spalił się" przed walką; był tak nieprzytomny ze zdenerwowania, że zapomniał powitać widzów i od razu schował się za podwójną, ale jakże nieszczelną gardą. Dostawał celne proste, a na koniec potężnego sierpa. Nie mógł jednak upaść, bo już wcześniej siedział.

I wtedy gwałtownie podniosło się ciśnienie w ospałym narodowym organizmie. Ja też odczułem dziwne pobudzenie, chciałem gdzieś zadzwonić, by podzielić się swoją emocją, ale nie było to możliwe, gdyż cała Polska ruszyła do aparatów telefonicznych lub drzwi sąsiadów, zupełnie jak po wyborze Wojtyły na papieża.

Nazajutrz, jak kraj długi i szeroki, był to jedyny temat rozmów. W urzędach, autobusach i na przerwach w szkołach podstawowych. Baba, co roznosi po domach mięso (wymierają te baby i powinny być pod ochroną), opowiadała z przejęciem, jak to u niej na wsi wszystkie chłopy zeszły się wieczorem i popiły się na umór z tej wielkiej radości.

Wylano tony farby drukarskiej, zbudowano miasta kłamstwa, by skompromitować „Solidarność" i Wałęsę, a tu wszystko rozsypało się jak sterta puszek, czyniąc przy tym wielki hałas.

Kiedy ludzie ochłonęli, zaczęły się dyskusje — dlaczego dopuścili do tego spotkania? Przeważał pogląd, że chcieli wykołować Lecha, ale on ich zrobił w konia. Natomiast nieco podchmielona grupa młodych partyjnych działaczy, których miałem okazję spotkać, przekonywała mnie, że to jedna frakcja w partii celowo wystawiła Miodowicza na pożarcie, by inną frakcję osłabić. Bardzo to się wydaje typowy styl myślenia w tym środowisku.

Ja natomiast uważam, że PZPR chciała oswoić swój aparat z Wałęsą, bo przecież jest im potrzebny na wiosnę, gdy ruszy fala strajków lub gdy trzeba będzie połykać gorzką pigułkę relegalizacji „Solidarności". Nie wzięli tylko pod uwagę możliwości *knock out*'u. I tak PZPR wbiła sobie szpilę, nie w serce, ale w siedzenie.

Przed tym spotkaniem doradcy Wałęsy trzęśli się ze strachu, że ich podopieczny źle wypadnie, grzebiąc siebie i związek. „Ten Miodowicz to stary spryciarz" — mówiono. No cóż, w końcu doradcy od dawien dawna bywają ludźmi małej wiary, wystarczy przypomnieć sobie Ewangelię. Bo inteligencja ma to do siebie, że z delikatnej jest zbudowana materii. Jeśli było się o co bać, to o pierwszą rundę, bo wiadomo, że miała być referatowa.

Pamiętam Wałęsę, jak przed laty szedł w świetle sierpniowego reflektora do bramy Stoczni, by przemówić do miejskich tłumów zgromadzonych po drugiej stronie. Nabazgrał sobie na kartce szkic przemówienia. I zaczął czytać — dukał jak partyjny lektor, aż nagle zatrząsł się ze złości na siebie samego. Podarł kartkę, krzyknął — Ja nie potrafię czytać! — i zaczął mówić z głowy: żywo, dowcipnie, celnie. Typ mówcy, którego tworzy sytuacja walki, i to szybkie myślenie, które pozwala na błyskawiczne riposty. Mówi, jakby amator szarpał struny gitary, ale genialny amator. Gdy się to potem zapisze, tekst zdycha, jak musi umrzeć zapisany dowcip.

Znając przewrotną naturę naszej narodowej histerii, która to tłamsi, to podrzuca triumfalnie do góry, boję się, że taki los spotka Wałęsę. Już kopany przez wielu, teraz będzie przesadnie fetowany. A powinno się go przyjmować takim, jaki jest, z jego zaletami i wadami, siłą i słabością. Nie potrafię się nie zżymać, gdy słyszę, że uparcie mówi o sobie w liczbie mnogiej, co zdarzało się królom i de Gaulle'owi. Nie uważam tego za tik czy nawyk, a za coś więcej i to mnie niepokoi.

I chociaż to może błahostka, zgadzam się z wieloma widzami, którzy oglądając Wałęsę po siedmiu latach, zgorszyli się, że tak utył. Źle to się u nas kojarzy, bo w PRL ci, co się przyssali do władzy, od razu dostawali brzucha i gęby. No i na koniec: ksiądz Jankowski, który ma szczególny wpływ na Przewodniczącego, a nie wydaje się mieć głowy kardynała Richelieu.

Rozbawiła mnie bezradność propagandy, która po tym pojedynku nabrała wody w usta. Tylko jak zawsze bezkompromisowi felietoniści z ostatniej strony *Polityki* zaczęli biegać wzdłuż płotu ujadając przeraźliwie, co też oni by nie powiedzieli na miejscu Miodowicza. Jak kundle, co czują się bezpiecznie za kratą, ale gdy ogrodzenie niespodziewanie się kończy, stają z podkulonym ogonem.

Rzecz nie tylko w tym, że PZPR niezwykle dokładnie wyczyściła swoje szeregi z szarych komórek. Bo przecież nawet gdyby wystawić bystrego Urbana naprzeciw np. Kuronia, to z tego pierwszego zostałyby tylko uszy i nie dlatego, że głupszy, ale jego sprawa jest nie do obrony, „nielogiczna", jak powiedziałby Wałęsa. A brylować jest łatwo na boisku własnej gazety lub przy miękkiej piersi zagranicznych korespondentów.

Wkrótce potem zakotłowało się wokół Wałęsy, jakby wszystkie ambicje opozycji poczuły zapach władzy. Cywilni katolicy, fragmenty dawnego środowiska korowskiego, nowa prawica, gniewni radykałowie „Solidarności", wszyscy wewnątrz siebie skłóceni i na zewnątrz najeżeni — istne piekło. A pomyśleć, że to tylko przedsionek, a prawdziwa sala balowa otworzy się po zalegalizowaniu „Solidarności". Oby ta nazwa nie okazała się drwiną z nas wszystkich.

Jadę samochodem przez centrum Warszawy, pojazd podskakuje na szczerbatej jezdni, niech ich szlag trafi, nawet dziury w asfalcie nie potrafią załatać, wsłuchuję się niespokojnie w jęczące amortyzatory, jak coś wysiądzie, to koniec; nawet śrubki nie kupisz. Okna szczelnie zamknięte, ale smród tego miasta i jego smutek wsączają się do środka i otulają mnie dusznym szalem. No i tak... właściwie to ja już nie lubię Warszawy. Ciężko się do tego przyznać, jak do nieudanego małżeństwa. A był czas, kiedy cieszyło mnie tu każde nowozasadzone drzewko. To miasto, jak każde miasto rodzinne, pełne pulsujących ciepłych i zimnych miejsc, rozpiętych na pajęczynie pamięci... ale teraz... wszystko zdaje się, że było jakby gdzie indziej. Warszawa przestała już być nasza. I przypomniały mi się nagle słowa z jakiegoś maszynopisu, co przypadkiem wpadł mi w rękę: „PRL — kraj środkowoeuropejski, leżący w dorzeczu Wisły i niedorzeczności, zamieszkały przez plemiona cwaniaków i frajerów".

Wjechałem właśnie na Plac Zwycięstwa, gdzie po wieloletniej wojnie władza ludowa odniosła zwycięstwo nad warszawskimi babami, które z iście niepolskim uporem układały w stanie wojennym i potem kwietne krzyże, co spowodowało w końcu ogrodzenie placu i jego wieloletnią przebudowę. I właśnie jadę asfaltem, który zalał kwiaty.

Skręciłem w lewo, jadąc wprost na piękną, barokową fasadę kościoła Wizytek i w zamyśleniu o mało nie zbiłem z nóg milicjanta, stojącego na środku Krakowskiego Przedmieścia. Wskazał ręką na lewo. Chciałem go przekonać o mojej chęci jazdy w prawo, ale on warknął: spływaj pan. Pojechałem więc kilkanaście metrów w nakazanym kierunku i wysiadłem, bo kątem oka widziałem, że coś się dzieje w pobliżu uniwersytetu. Poczułem zgęszczenie powietrza, tak charakterystyczne dla miejsc, gdzie szykuje się coś antypaństwowego. W dali uwyraźniło się kłębowisko ludzkie pod bramą uczelni i stał tłum na schodach kościoła, gdzie kamienny Chrystus dźwiga swój krzyż.

Potem kilka surrealistycznych obrazków. Chłopak siedzący na ramionach pomnika Kopernika z transparentem PPS. I można by pomyśleć, że to rok 1905, ale tłum krzyczał „gestapo, gestapo", zaś środkiem jezdni, jakby dla zupełnego pomieszania czasów, szli rzymscy legioniści z długimi tarczami, w hełmach z przyłbicą, ale gęby mieli swojskie, słowiańsko-plebejskie. Szli niezdarnie, jakby im było głupio i niezręcznie, amatorzy, którym kazano grać na zbyt dużej scenie dla zbyt licznej publiczności. Dopiero, kiedy rzucili się na chłopaka, co się im bez sensu pod nogi zabłąkał, weszli w swoją rolę i bić go zaczęli, i bili dalej chociaż już leżał, więc najwyraźniej dla przyjemności. Wtedy się zaczęło. Studenci rzucali plastikowymi pojemnikami z kefirem, co jest nową i niezwykle skuteczną bronią, nie tylko dlatego, że jak publicznie stwierdzono, produkty mleczne są u nas szkodliwe dla zdrowia.

Spotykam znajomego. Strąca lodowego sopla z wąsa i bardzo wzburzony opowiada, jak studenci zorganizowali wiec na dziedzińcu, by upamiętnić rocznicę 13 grudnia. Wszystko odbywało się bardzo ludycznie, w duchu Pomarańczowej Alternatywy. (Należy przypomnieć, że jest to młodzież, która w latach stanu wojennego siedziała w ławkach szkół podstawowych). I z okrzykiem „Idziemy na Belweder!" tłum ruszył, ale tylko pod pomnik Kopernika. Ten „Belweder", tak *Trybuna Ludu,* jak i prasowy rzecznik, potraktowali z właściwą sobie powagą. A partyjna gazeta aż się krztusiła z oburzenia, jakby chodzenie na Belweder źle się u nas kojarzyło. Ze scenek, które zanotowała moja pamięć, trudno nie spróbować nakreślić grubą kreską sylwetek opasłych osobników w pokracznych mundurach i o gębach, jakie rodzi tylko nasza odległa prowincja przesycona kiłą i spirytusem. Czy to było ORMO czy inne licho, nie wiem, tworzyli najwyraźniej odwody, podczas gdy siłą uderzeniową było ZOMO. Te mordziaste typy snuły się po sklepach z plastikowymi siatkami czyniąc gorączkowe zakupy. Polowanie nie tylko na ludzkie plecy, a również na żarcie, powinno ich zbliżyć do narodu, ale jakoś nie zbliża.

Zamieszki trwały jeszcze przez czas jakiś, a gdy zabrakło kefiru, zastąpiły go śruby z rusztowań, w które — jakże nieprzezornie — wsadzono dla renowacji jak w kaftan bezpieczeństwa warszawską uczelnię. Wzburzenie gasło i rozpalało się, gdyż — jak słusznie zauważył przed półtorawieczem Tocqueville — „tak w zamieszkach jak w powieści najtrudniej wymyślić zakończenie".

Film Agnieszki Holland „Zabić księdza" w Warszawie. Dwa oficjalne pokazy w dużych kinowych salach. Film nie jest sfabularyzowanym dokumentem, bo — jak każdy wybitny reżyser — Holland wie, że rzeczywistość, choćby najbardziej niezwykła, ma to do siebie, że powinna być przetworzona, by mógł ją wykorzystać film. Ja niby też to wiem, a jednak nie mogę zaakceptować tego dzieła i jednym z powodów jest właśnie to, że filmowa wizja tak odstaje od mojej pamięci. Gdybym więc miał pisać recenzję, dałbym jej tytuł „Nie igra się z pamięcią". Film otwiera seria obrazów przedstawiających pierwszą noc stanu wojennego. Jest to horror zgodny z tym, co wówczas wyobrażały sobie zachodnie *mass-media.* My jednak pamiętamy, że 13 grudnia groza niezwykle harmonijnie łączyła się z groteską. A jako że jest to noc stulecia Polaków, żadne filmowe prawa nie upoważniają, by lekceważyć zbiorową pamięć. O ileż łatwiej pogodzić się z tym, że ksiądz jest upozowany na gwiazdora rockowej muzyki, że generał MSW to raczej generał sowieckiej Czeki, zaś kardynał Glemp to jakby brat bliźniak tego generała. I może nawet pogodziłbym się — chociaż tu mi szczególnie ciężko — z wyglądem wnętrz centrum MSW na Rakowieckiej: w filmowym urzędzie stoją kamienne głowy Lenina (Dzierżyńskiego nikt by na Zachodzie nie rozpoznał), podczas gdy w rzeczywistości wiszą tam na ścianach nagie panienki z kart kalendarzy i rysunki dzieci funkcjonariuszy (jakiż to znak czasu!) — pogodziłbym się lub raczej zostałbym do tego zmuszony, gdyby wizja filmowa była na tyle silna, by pokonać moją pamięć. Ta wizja jednak jest popękana, lekceważy nasze doświadczenia, by się zaraz do nich odwołać. Nic więc dziwnego, że pamięć buntuje się. I rodzą się wtedy pretensje, których nie wywołuje spójna artystyczna propozycja: czemu jest tak, a nie tak, jak pamiętamy, czy jakbyśmy chcieli, aby to przedstawiono. Kapitan MSW jest postacią z Dostojewskiego, ale bez genialnej literackiej oprawy, my zaś przecież wiemy, że był przede wszystkim cwaniakiem — ideowym cwaniakiem. Jakaż to ciekawa konstrukcja psychiczna zrodzona przez dogorywającą ideologię. Żal też, że nie pokazano mechanizmów, które umożliwiły mord. W filmie załatwia się to przy pomocy tajemniczych telefonów. A właśnie te mechanizmy zdają się tematem, który czeka na swojego artystę. Tylko kto by napisał taki scenariusz?

Film zdaje się rozpięty między Paryżem, Hollywood i War-

szawą, między pamięcią i fantazją, a jako że nie jest pozbawiony śladów wielkości — między dziełem a kiczem.

Po projekcji odbyła się dyskusja, gdzie nasz warszawski salon był niezwykle obficie reprezentowany. Głos zabierali m.in. Zbyszek Bujak i Jacek Kuroń, którym film szczerze się podobał. Mówili również ci, którym „Zabić księdza" się nie podobało. Miał pecha pewien krytyk filmowy stając w przerwie obok mnie przy pisuarze, gdyż w tak trudnej, intymnej sytuacji został zaskoczony przez pytanie o film. Zdawał się mieć ochotę uciec, ale nie mógł, gdyż był właśnie związany niejako naturalnie z miejscem, więc wydukał, że jest to raczej okropne. No a zaraz potem... publicznie film pochwalił. Jak widać, nasz salon ma szczelne ściany i okna; nie wychylisz się, nie wybijając szyby.

Jadąc na projekcję, mijałem uniwersytet, z którego okien zwisał transparent ze słowami: „Brawo Lechu" — ślad po telewizyjnym pojedynku. Wracając otarłem się o budynek MSW na Rakowieckiej, gdzie urzędują ci sami ludzie i żyją te same polityczne obyczaje, które umożliwiły zbrodnię. W dali majaczyło więzienie, w którym jeszcze niedawno siedzieli ci, co zabierali głos w dyskusji. Na ostatnim piętrze centrum MSW jak zawsze paliło się światło, bo czujne oko urzędu nigdy nie zamyka powiek.

Podobno Agnieszka Holland stara się o pozwolenie na dystrybucję „Zabić księdza" w kraju, filmu, który było nie było jest uderzeniem w MSW, czyli filar, na którym wspiera się system. Jeśli to zezwolenie na rozpowszechnianie otrzyma, czego nie mogę jej nie życzyć, to chyba zostanę w końcu zmuszony do emigracji. Jestem w stanie pogodzić się z tym, że nie rozumiem filmu, ale nie potrafię żyć w kraju, którego nie pojmuję.

Całkowita niemożność zdaje się mieć u nas postać epidemii. Nie przeczę jednak, że czas ostatni wyłonił sporą ilość rozmaitych inicjatyw politycznych, niektóre nawet brzmią dobrze, przy bliższym jednak oglądzie zdają się nie posiadać dolnych części, przy jeszcze bliższym — również górnych. I tak snują się te byty zapełniając krajobraz, nie wiadomo czy naprawdę, czy na niby.

Niedawno spotkałem — nie na raz, a osobno — kilka osób, co mi się zwierzyły, że marzy im się wstąpienie do partii politycznej — „najlepiej, żeby to była chadecja". Osoby te łączył fakt posiadania żywego źródła finansowego za granicą, jakby pole do marzeń politycznych dawała już tylko dolarowa stabilizacja. Może to zresztą był przypadek, ale chadeckość tych rojeń przypadkiem nie była. Patrząc na stan rzeczy, nie mam wątpliwości, że nasza chrześcijańska demokracja byłaby niezbyt demokratyczna, a chrześcijańska tak, jak to się zdarza małym miasteczkom.

Byłem w takiej miejscowości dopiero co. Wszystko tam —

ludzie, domy, nawet przebiegający pies — wydawało mi się pokraczne i brudne. Nie inny Dom Kultury. Szukając kierownika oglądam wnętrza — pokraczne, brudne. Dowiaduję się, że kierownik pojechał do stolicy kupować antenę satelitarną dla ośrodka. Wyglądam przez okno. W dali kilometrowy sznur chłopskich furmanek wystaje z szopy, gdzie jest skład węgla. Konie oszronione, chłopi też, bo czekali całą noc. Miasteczko tkwi gdzieś w mrokach zeszłego stulecia, z którego jak surrealistyczny żart wystawać będzie talerz satelitarnej anteny. Przechadzam się po sklepach, a w nich tylko o stopień gorzej niż w Warszawie, ale to już wystarczy, by był tylko chleb, ocet, mleko oraz jeden gatunek dżemu. Rynek, z jego południowej strony kościół. Z kościoła wylewa się tłum. Naprzeciw, o trzy rzuty widłami, alkoholowy bar. Obok komisariat milicji, jedyny i odnowiony dom na rynku. Z baru wylewa się tłum, z głów paruje alkohol, jak dym z kadzielnicy. Tłum kościelny miesza się z tłumem alkoholowym, harmonijnie, jakby wprawny gracz tasował karty. Nieco z boku sklepik, który co chwila wypycha z wnętrza kolejnego chłopa w waciaku, z którego kieszeni wystaje butelka. I doprawdy przez chwilę mam wrażenie, że to miasteczko jest jak złożony chorobą człowiek na brudnym łożu pod krzyżem, z wyciągniętą ręką, do której podłączono wódczaną kroplówkę. I jak tu nie zauważyć, że w Polsce największą popularność ma partia alkoholowa. Jej członkowie wyznają łatwą do przyswojenia ideologię, mają nawet swoje obyczaje, słownictwo, umowne znaki. Ich finansowa ofiarność jest niebywała, poświęcają bowiem na swą działalność połowę zarobków. Należy do tej organizacji milion nieuleczalnych alkoholików i powyżej pięciu milionów nadużywających tej idei. Alkoholizm jest bez wątpienia skutkiem, a nie przyczyną naszych nieszczęść. Był — teraz staje się też przyczyną. I jak galopujące suchoty drąży wynędzniały organizm.

W wigilię znowu nie było śniegu, nie można było kupić prezentów ani jedzenia, nie przemówiły zwierzęta, za to zupełnie niespodziewanie Prymas w telewizji. Czytał z kartek, co widziałem jednym okiem, bo dzieliłem się właśnie opłatkiem z własnym dzieckiem i zastanawiałem się, czego mu życzyć — ani emigracji, ani życia w PRL, ani zbytniej uczciwości, ani wrażliwości, no więc zdrowia. I wtedy w moje ucho wpadły słowa Prymasa „... na odcinku trzeźwości...". Coś we mnie jęknęło w środku. To mój wewnętrzny bezpiecznik wyłączył aparat słuchowy, jak zwykle, gdy płynie zakażony język. Może więc krzywdzę Prymasa, bo potem mógł przecież mówić inaczej.

Nastąpiło szczególne przesilenie: opozycja już wie, że nie tylko przegrała, ale również wygrała. Przegrać i wygrać zarazem nie

jest łatwo, to przywilej szczególnego miejsca i czasu. I za to trzeba zapłacić. Sumuje się demoralizacja klęski i zwycięstwa.

Patrzę i czuję, że w środowisku, z którym wspólnie budowałem niezależne struktury, coraz więcej ludzi mnie nie lubi i ja mam coraz liczniejsze niechęci.

Jakiś czas temu byłem zmuszony spotkać się z X, gdyż dysponuje on funduszami, z których za moim pośrednictwem chciało skorzystać pewne podziemne pismo. Doprawdy było to ciężkie przeżycie, bo chociaż znam człowieka od lat jedenastu, to zdawało mi się, że stoję biedny petent przed komunistycznym urzędnikiem. Rozumiem, że kolega może być bardzo zmęczony — od tylu lat stoi na pierwszej linii; przyznaję, ja bym tak nie potrafił. Ale czemu w nim ta wyniosła duma, gorzkie cierpienie i nietolerancja? Zawsze był bardzo ambitny, co ukrywał pod firanką nieśmiałości, a teraz już się nie mieści w dotychczasowej roli. Jak na kogoś, kto przegrał, ma stanowczo zbyt wiele, jak na zwycięzcę posiada za mało. I strasznie mu niewygodnie w tym rozdwojeniu. A tu zbliża się najwyraźniej czas, kiedy duże ambicje będzie można realizować przede wszystkim na ziemi, a nie pod nią. On jednak jeszcze niedawno gromił wszystko, co się próbowało legalizować, cóż ma więc teraz uczynić?

Wydaje się, że niepokój niektórych firm niezależnych przeradza się w nerwicę. Przejmujący lęk, że pociąg odjedzie i zostanie się na wilgotnym i mrocznym podziemnym peronie. W tej niejasnej dzisiejszej sytuacji, takie niepokoje wydają się godne uwagi, a nie łatwego potępienia. Natomiast ideowi wydawcy, widząc tę nerwowość, oskarżają kolegów o zdradę sprawy. Szczególnie nastroszyła się prowincja. Ludzie, działając tam w trudniejszych warunkach, bardziej są twardzi i zasadniczy. I podejrzewają stolicę o jakieś niecne manipulacje. Ten cały niezależny galimatias bynajmniej nie zmniejsza liczby podziemnych pism (od 500 do 700 tytułów), co więcej, nieustannie rodzą się jakieś nowe, jak rośliny, które nauczyły się rosnąć nawet na kamieniu.

Jakby nie dosyć kłopotów, SB uderzyła celnie w kilka wydawnictw. Biorąc pod uwagę pół czy raczej ćwierć konspirację dzisiejszą, jest to celność snajpera, który z metra trafia w krowę. Bardzo starannie wpadł jakiś czas temu *Tygodnik Mazowsze*. Zarekwirowano sprzęt komputerowy, na którym składano numer, a przy okazji prywatne komputery i pieniądze gospodarza. Funkcjonariusze byli uprzedzająco grzeczni. Nikogo nie zatrzymali, a niektórzy chwalili pismo za rozwagę i wysoki poziom, ale „wiecie państwo, praca jest pracą".

Nie inaczej wyglądały rajdy milicyjne gdzie indziej. Rewizje mają już swoje niepisane grzecznościowe prawa, np. nie zabiera się książek wydawanych w emigracyjnych wydawnictwach. I zawsze zostawiają przynajmniej jeden egzemplarz rekwirowanych druków.

Do moich znajomych przyszli o siódmej rano. Ona zapytała: kto? Odpowiedzieli, że swój. Znajoma wpuściła ich i teraz nie posiada się z oburzenia: „Jak oni mogli tak mnie oszukać?!". On też miał mocne przeżycie. Jeden z funkcjonariuszy przeglądał papiery w jego biurku. „Niech pan nie grzebie w moich rzeczach" — uniósł się gniewem na widok takiego gwałtu na prywatności. Funkcjonariusz oniemiał: Ja nie grzebię, ja przeszukuję! — krzyknął przenikliwie, a potem aż do zakończenia rewizji wracał głęboko urażony do tej jakże istotnej różnicy między grzebaniem a przeszukiwaniem.

Ja z kolei naraziłem się na gniew moich znajomych, gdyż nie potrafiłem dzielić ich oburzenia na bestialstwo funkcjonariuszy. I dopiero potem uświadomiłem sobie, że ich oburzenie było bardziej naturalne niż moja obojętność.

Wszystkie te wpadki, czasem bardzo kosztowne i podcinające korzeń wydawnictwu, mijają bez echa. Milczy się o tym w kawiarniach i w salonach, jakby mało kogo to obchodziło, jakby sprawa nie była już wspólna. Kiedy zapytałem jednego z wydawców, czy w razie nieszczęścia liczy na pomoc z zewnątrz, popatrzył na mnie jak na szaleńca: „Każdy już myśli tylko o sobie". Wydaje mi się, że czasami jest jeszcze gorzej. Dla wielu niezależnych grup właśnie inne grupy są obecnie głównym przeciwnikiem. Dzieje się tak, bo wróg stracił nagle wyraźne kontury, a miękkość represji spowodowała, że uciekło powietrze z dętki, która trzymała oponę niezależnej działalności. I ten niezwykły urodzaj na neurotyków, których przyciąga tak rewolucja, jak i nielegalna działalność, a których obfitość w Polsce jest szczególna, gdyż ten kraj gwarantuje trudne dzieciństwo, gorzką młodość, a potem od razu „wiek klęski".

Awaria samochodu skazała mnie na miejską komunikację. Nie ma co ukrywać, że muszę być poważnie rozpuszczony, skoro moje doświadczenia były równie orientalne, jak te przed laty, gdy po raz pierwszy zetknąłem się z ubogą i zatłoczoną Azją. W autobusie stałem na jednej nodze, podpierając się jedną ręką, podczas gdy reszta tkwiła gdzieś na uwięzi. I nic mi nie pomogło, że uprawiam sport, bo w tych warunkach pracowały zupełnie nietypowe grupy mięśni. Wszystko więc mnie bolało, uwierało i była jakaś przeraźliwa nuda w leniwym przemieszczaniu się zatłoczonego autobusu przez brudne i rozkopane miasto („szukają metra" — żartują warszawiacy). W posępnym milczeniu, które dźwigali zmęczeni ludzie, czas zdawał się odmierzany przez kolejne zatłoczone skrzyżowania, a jedynym urozmaiceniem stał

się krzyk staruszki, która walczyła o siedzące miejsce z inną staruszką, jak się walczy o życie. Wytaczając się na chodnik czułem się jak Jonasz szczęśliwie wypluty z wielorybiego żołądka. Ale na chodniku nie było wiele przyjemniej, bo przed świętami wszyscy jakby wylegli na ulice we wrogich wobec siebie zamiarach. Przepchnąłem się do prywatnego warsztatu samochodowego, gdzie czułym okiem spojrzałem na zostawiony tam rankiem swój pojazd.

„Diabli nadali, nie zrobię panu, bo nie mam części i czasu. Za dużo w tym kraju samochodów!" — rozeźlił się na mój widok właściciel zakładu. Nagle przypomina sobie, że należę do klientów, z którymi można pogadać. Morda zmienia mu się w twarz i dzieli się niepokojem, że ostatnio komuniści za bardzo chwalą Wałęsę. „Jak oni kogoś zaczynają chwalić, to ma przechlapane". Narzeka, że chociaż sporo zarabia, to prawie nic nie zarabia przy byle gówniarzu, co wyjedzie za granicę i zmywa naczynia, kiedy on tu się gimnastykuje, żeby za łapówkę dostać części zamienne, przypilnować mechaników, którym pracować się nie chce, tylko kradną. Jego syn też zamierza wyjechać, „bo po co się w tym gównie męczyć". „Tak powiedział mój syn: w gównie" — rzekł patrząc na mnie boleśnie właściciel prywatnego warsztatu. „Zarżnęli nas jak się kurę zarzyna nożem, panie, i wcale to nie było eleganckie". Zgodziłem się z nim, bynajmniej nie koniunkturalnie, a on machnął ręką i wziął mój samochód do naprawy.

Wróciłem więc do domu już nie autobusem, ale jakiś wymięty i nieswój, jakbym wracał z wojny, nie wiem czy wygranej. By się pokrzepić, zaparzyłem herbatę, błogosławiąc znajomych, którzy z zachodu przysłali nam inną herbatę niż dostępna w PRL-owskich sklepach. I nagle przypomniałem sobie, że muszę gdzieś zadzwonić. Zbliżać się więc począłem do aparatu telefonicznego niechętnie jak do dentystycznego fotela. Żoliborz — zła dzielnica. Całe miasto już podzielone na dobre i złe dystrykty w zależności od tego, gdzie się mieszka. Ode mnie na Żoliborz ciężko sie dodzwonić, ale jest szansa, podczas gdy są dzielnice, gdzie szans nie ma. Jeszcze nie zasiadłem do pracy, już czuję, jak mi w gardle rośnie *globus histericus*. Kręcę tarczą i po czterech obrotach odzywa się złowieszczy sygnał — zajęty. I tak kręcę dziesięć minut, potem dwadzieścia, oblewają mnie fale to rezygnacji, to gniewu, nagle czuję nieprzepartą chęć, by roztrzaskać przeklęte plastikowe pudło, ryczę wyzwiska na ustrój i swój los, ale przypominam sobie, że mój bardzo spokojny kolega z pracy rozbił dwa aparaty telefoniczne i — jak twierdzi — nic mu to nie ulżyło, tylko przysporzyło kłopotu, bo telefonu też nie kupisz. Zwabiona mym gniewem przyszła żona. Godzi się mnie zastąpić,

potem ewentualnie wykorzysta się dziecko. W końcu mamy już w tych zmianach pewną wprawę, bo to się trenuje w kolejkach.

Wydawało się, że PRL wymyśliła już wszystko, by pognębić swych obywateli, gdy 1988 rok przyniósł nowość: kolejka domowa przy własnym telefonie.

Ostatnie miesiące obnażyły stosunki panujące w bratniej socjalistycznej rodzinie. Okazuje się, że są równie złe co w więzieniu, gdzie zamknięto źle dopasowane charaktery z czarną do tego przeszłością. CSSR i NRD nas trują, my zaś dzielnie się im odtruwamy, na dodatek okazało się, że mamy ze wschodnimi Niemcami konflikt graniczny, nawet bracia Węgrzy przestali nas lubić. I nagle sam Wielki Brat dołączył do krajów, z których wywieźć można tylko własną powłokę cielesną. Pociągi zatrzymywane są na granicach i przetrząsane przez sfory drapieżnych celników. To już niemal wojna celna. Komunikaty w gazetach krzyczą: polscy turyści pobici przez jugosłowiańskich milicjantów! Na Zachodzie Polacy zdają się być coraz bardziej uciążliwymi gośćmi. Nie ma już „biednych, dzielnych Polaków", których los wyciskał łzy Europie w roku 1831 i 1982. Są tylko mali kombinatorzy, uciążliwi żebracy, tania siła robocza, co jak stonka obsiadła winnice południa. Na pchlich targach europejskich miast Polacy zaczynają dominować azjatyckich handlarzy, sprzedają latarki, śpiwory, kłódki, wszystkie nieliczne przedmioty, które jeszcze ocalały na krajowych półkach.

Z obozów dla uchodźców dochodzą wieści nudne w swojej powtarzalności i jednako przygnębiające. Polacy na tle Zachodu zdają się być przybyszami ze zdegenerowanej prowincji: piją na umór, kradną, kombinują, nienawidzą Azjatów, Afrykanów, Jugosłowian, gardzą nawet swoimi gospodarzami. My wiemy, że to duma szlachecka i chłopska niechlujna zawziętość, ten niezwykły splot, który być może ocalił nas przed germanizacją i zruszczeniem, a teraz ukazuje swoją drugą stronę, która w naszej geopolitycznej dziurze wiedzie prosto jak strzelił do poczucia niższości, zawiści, klęski i jest przyczyną owych zachowań, których nie da się usprawiedliwić, ale które można próbować zrozumieć.

Spotkałem na ulicy kolegę lekarza. Ukończył studia medyczne w latach siedemdziesiątych, teraz mieszka i pracuje na prowincji, gdzie uznał, że wiedzie mu się finansowo znakomicie, szczególnie kiedy obejrzał ubogich jak myszy kościelne lekarzy miejskich. Co prawda jego szpital ma wyposażenie porównywalne do wyposażenia szpitali biednych krajów afrykańskich, ale jakoś pogodził się z nie zawsze konieczną śmiercią swoich pacjentów, w czym pomógł mu obszerny dom, który sobie postawił. Przyjechał teraz do Warszawy na spotkanie absolwentów roku. Mówi,

że z 240 ocalało w kraju tylko 60, ale za to z jego klasy wyjechało jedynie 7 osób. A wydawało się, że takie spustoszenie w populacji czynić może tylko wojna światowa.

W młodym pokoleniu nie wiadomo kiedy bezgłośnie pękło przywiązanie do ojczyzny. W rozrzuconych na mapie Europy, wypełnionych po brzegi obozach dla uchodźców nasza młodzież śpiewa piosenkę, w której powtarza się refren, jak list do nas w kraju:

„Ale kilku z nas zostanie,
chociaż ktoś się będzie śmiał
że tak wielkie przywiązanie,
jak na taki mały kraj".

Partia wydaje się być odwłokiem pozostawionym przez jakiegoś niezbyt miłego skorupiaka i gdzieś w głębi tej skorupy ukrył się generał Jaruzelski. Rzadko się go widuje, najwyraźniej dzielny żołnierz uznał, że na pierwszej linii zbyt gorąco, a tak ważną głowę należy chronić, oczywiście dla dobra narodu. A jednak generał coraz częściej gości na ustach demonstrującej młodzieży, która, chociaż nie pamięta stanu wojennego, intuicyjnie czuje, że aby zmiany w Polsce zaszły daleko, musi wpierw odejść ekipa stanu wojennego. Nie demonizuję generała, bynajmniej, dlatego życzę mu choćby odwagi jego chilijskiego kolegi.

Doktor Krajewski, partyjny — powiedzmy — intelektualista, oświadczył w telewizji, że „partia musi zrodzić z siebie inną partię, inaczej zginie". Ciekawe, jak poczciwy doktor wyobraża sobie taki poród przy takiej położnej. Dalej doktor użył sformułowania, które z upodobaniem powtarzał potem w radio, że „błędem partii było narzucenie kretynizmu jedności". Bardzo był dumny z siły swego określenia, co było widać po sposobie wypowiadania tych słów: jakby jechał na koniu z łopocącym sztandarem przed frontem armii. Rzecz w tym, że uczony proponuje swoją wielość, czyli ów utoczony przez bezzębne szczęki naszej propagandy pluralizm, w ramach systemu, gdzie PZPR ma zagwarantowaną uprzywilejowaną pozycję. Przywilej polega na tym, że partia nie może zostać zjedzona przez pluralizm. Czyż nie jest to więc propozycja kretynizmu wielości?

Nuda tej sytuacji, gdzie czerwona klasa chce jednocześnie zachować władzę i reanimować życie polityczne. Nuda koła, które nie chce być kwadratem. Nuda gadania o porozumieniu narodowym. Ostatnio nawet niektórzy poczciwcy z opozycji używają tego terminu, nawet sam Wałęsa go kupił, co jest znakiem, jak niebezpieczny bywa zatruty język. Co za porozumienie narodowe? Nam przecież jest potrzebne *nieporozumienie* narodowe,

ale w ramach sprawnych mechanizmów politycznych, gdzie spór nie niszczy, a tworzy.

Szarpanina ludzi, którzy nadaremno próbują związać koniec z końcem. Coraz częściej robią to zaciśniętymi dłońmi. Są to na ogół emeryci, samotne kobiety z dziećmi, rodziny alkoholików. W drugim rzędzie stoją robotnicy z małych zakładów. Zimą nie wyjdą na ulice. Dlatego władza i opozycja — nadzwyczaj zgodnie, jeśli weźmie się pod uwagę zapalny temat — mówią o wiośnie, jako o czasie niepokojów. Ponieważ nikt u nas nie był dobrym prorokiem w dziedzinie wybuchów społecznych — przewidywanie jest tu niesłychanie trudne, bowiem na wybuch składa się historyczna konieczność, która łączy się nagle z przypadkiem — można sądzić, że również i tym razem wszystko będzie inaczej i kiedy indziej. Natomiast jest rzeczą widoczną, że majowe i sierpniowe strajki były dla władzy polem doświadczalnym. Pracowano nad nowymi metodami likwidowania strajków nie przez pacyfikację, ale przez wypalenie. Ze strajkami jednak jak z pożarami lasów, walka trudna i niepewna. I zdaje się, że kiedy inflacja skończy zjadać tułów naszej gospodarki i dobierze się do głowy, zostaną znowu tylko karabin i pałka.

Premier Rakowski w ostatnim dniu starego roku odwiedził z hałasem najpierw lekarzy w jednym z warszawskich szpitali, a zaraz potem funkcjonariuszy MSW. Czyżby uznał, że jedni i drudzy w nowym roku będą mu szczególnie potrzebni? Biedny nasz premier, nie tylko rozdarty między lekarzy a pałkarzy, ale również między namiętności — gdzie kłębią się nienawistne kompleksy — a marzenia, by przejść do historii jako liberał i dobrodziej narodu. Dlatego stać go na każde głupstwo, jak i na legalizację „Solidarności".

Wziąć do ręki codzienną gazetę z pierwszych dni stanu wojennego, jak szczura za ogon, i mimo obrzydzenia uważnie obejrzeć. Bo wybaczać wolno tylko wtedy, kiedy się pamięta. Na szczęście nikt bodajże nie ma złudzeń, że blat okrągłego stołu to nie płaszczyzna moralna, już raczej miejsce gry w pokera. Póki co ten stół odzyskał nogi. Nie wiem natomiast, co może odzyskać władza, ale na pewno nie będzie to zaufanie.

Mdli mnie już od słuchania deklaracji, że władza może... ale tylko z konstruktywną opozycją. Co znaczą te słowa w kraju, gdzie dwa plus dwa nie jest cztery?

Przed moim domem kilka miesięcy temu wykopano obszerną dziurę. Zaglądam tam czasami próbując dostrzec w jej płytkiej głębi jakiś sens.

Witold CHARŁAMP

WIRUS ANTYTWÓRCZY

„... Nasza salonowa opozycja ma jedną magiczną właściwość: niszczy talenty. Działa ona jak jakiś Frankenstein czy Golem. Co który twórca przejdzie do opozycji i zakrzyknie z rozkoszą, że nareszcie zażywa pełnej wolności twórczej, zaraz okrzykiwany jest przez Zachód jako wielki i nieśmiertelny, wydyma się, nadyma, tyle tylko, że jako autor zdycha. Wiadomo, że odtąd niczego już wartościowego nie stworzy. W opozycji jest plejada wielkich pisarzy, którzy wszyscy razem wzięci od lat nie wypuścili ani jednej liczącej się książki. Największy talent polskiego kina — Andrzej Wajda — zaangażował się politycznie, poprawił swoje i dotychczas świetne samopoczucie, doznaje przeogromnych zaszczytów, ale jako twórca zgasł. To, co robi, przestało się liczyć. Nazwisko winduje dzieła, chociaż kiedyś było odwrotnie, to dzieła budowały pozycję nazwiska Wajda.

I otóż stał się cud: ta opozycja, która działa jak mór na wszelką twórczość artystyczną, nagle wydała jeden wielki talent. Nie wiem, czy Witold Charłamp to jest pseudonim, czy nazwisko. Pisuje w *Kulturze* paryskiej. Powinno się go natychmiast u nas zacząć wydawać, nie zważając na koszty polityczne. Oto próbki Charłampa z wrześniowej *Kultury*... („próbki" opuszczamy, bo Czytelnik może je sam przeczytać we wrześniowej *Kulturze*, a nawet w krajowej edycji *Kultury*, drukowanej przez niezależną oficynę MOST).

... Może z opozycją udałoby się zrobić interes i Charłampa na coś wymienić? Dałbym za niego 100 paszportów *in blanco*, 100 tys. ton papieru drukowanego i stu naszych pisarzy, którzy zawsze rozchodzą się bez trudu w stu tysiącach egzemplarzy każdy. Interes jest dla opozycji dobry, bo przecież wiadomo, że ten Charłamp albo sam za darmo ucieknie z opozycji, albo tam zmarnieje, jak wszyscy inni jej uczestnicy przerobieni na salonowe pudle".

SZPILKI, 1 grudnia 1988

◆

Jerzy Urban w jednym ze swoich wcieleń napisał w *Szpilkach* (1 grudnia 1988) jako „Klakson" felieton pt. „Wirus antytwórczy". Zamieszczamy go pod kolejnym „Dziennikiem zewnętrznym" Charłampa. Cena, jaką Klakson chce zapłacić za Charłampa: sto paszportów *in blanco* i sto tysięcy ton papieru, jest nęcąca i jesteśmy gotowi go za nią sprzedać. Na stu pisarzy jednak nie reflektujemy — nie chcemy zubożać kultury socjalistycznej. Czekamy konkretnych propozycji. Trzeba się jednak spieszyć, nim talent Charłampa nie zostanie przez nas zniszczony.

REDAKCJA

Jak braliśmy władzę

— Piotrze — odezwał się głos w telefonie. — Cześć, mówi Sergiusz. Czy wiesz, że o 17-tej jest Rada? — Nie, a o co chodzi? — Ach, to drobnostka — zaśmiał się — pojutrze KK ma ustalić propozycję składu rządu, a Rada ma im to przygotować. —

Żartujesz? — Nie, jest telex z Gdańska, wszyscy latają nieprzytomni. Cóż — powiedziałem — przyjdę.

Ledwo odłożyłem słuchawkę, zadzwonił telefon. — Jak się masz — powitał mnie Wojtek — znasz już najnowszą sensację? — Chodzi ci o rząd? — Tak. I co ty na to? — Stary, oczywiście pójdę do opeeszetu na Radę, to może być bardzo ciekawe.

Zbliżała się trzecia. Wyszedłem do sto dwójki. Wysiadłem przy Wareckiej, skręciłem w Foksal. Na rogu wpadłem na Jacka. — Co — spytał — ty też do Stefana? — Tak — odparłem. — Czy zamierzasz zostać ministrem zdrowia? — pytał dalej. — A gdyby nawet — uśmiechnąłem się — czy masz lepszego? — Słuchaj Piotrze — powiedział poważnie. — Wątpię, żeby Stefan miał dla ciebie czas. Będziemy ostatecznie ustalać skład rządu. — Zostałem wezwany — odparłem z godnością. — Ty? Ale po co?

Weszliśmy do Stowarzyszenia. Przez hall i schodami przebiegali zaaferowani ludzie. W sekretariacie powitali nas Jurek i Kazik. — Prędzej, wchodźcie, prawie wszyscy już są. Weszliśmy. Obok Stefana stali: Andrzej, Bogdan, Darek, Jerzy i Klemens. Stefan rozmawiał z Ernestem i Ludwikiem. — Więc co — spytał Ernest — dojdziemy do porozumienia, czy nie? — Ależ zrozumcie — tłumaczył Stefan — nie możecie się awantażować. Kto wam uwierzy? Kogo reprezentujecie? Rozumiem, że Rysiek, który przyniósł mi propozycje przygotowane przez Towarzystwo Krzewienia Moralności Wśród Naukowców, coś reprezentuje. Ktoś za nim stoi. Stanowi jakąś pozycję. Ale wy?! Niezdecydowani inteligenci? Chcecie dołączyć do rewolucji, która zwyciężyła bez was?

Stefan był w swojej najlepszej roli — Napoleona Największego. Nagle jak bomba wpadł Marcin. Panowie, słyszałem, że u nich coś się zmienia. Podobno G. wysunął kontrkoncepcję, poparli go, oczywiście, K. i S., a wszystkim z ukrycia steruje O. Mówi się o ruchach wojsk radzieckich. Ktoś rozmawiał z chłopami spod Siedlec, cały ruch na E-8 jest wstrzymany. — Nic mnie to nie obchodzi — twardo powiedział Stefan — mamy do wykonania konkretne zadanie. — No, trudno — westchnął Stefan — Klemens, masz tę listę? — Mam, ale... — Nie ma żadnego ale. Piotr zaniesie. Piotrze, weźmiesz dwie koperty, do rąk własnych Bronka i Andrzeja. I trzecią z pismem przewodnim. — Ale co to za lista? — zapytałem. — Rządu, który trzeba powołać — wtrącił się Wojtek. — Rząd DiP-owski? — zaśmiałem się — gratuluję, panie premierze. — Przestań się wygłupiać, decydują się losy Europy, a ty jak zwykle jesteś niepoważny — Stefan rozzłościł się. — Dlaczego? — spytałem niewinnie. Czy widzisz lepszego premiera? Bo lepszego ministra zdrowia niż ja na pewno nie znajdziesz. — Panie Piotrze — odezwał się Andrzej — to naprawdę poważna sprawa. — Nie po to obalamy dyktaturę partii, aby wpaść pod skrzydła najczarniejszej kościelnej reakcji — odezwał się Andrzej Krzysztof, którego wcześniej nie zauważyłem. — Wolę ekstremę kościelną niż komandosów — odezwał się ktoś mi nieznany.

jecie? — zaciekawił się Przemek. — Nikogo. Proponujemy komisję-matkę, ona dopiero wysunie propozycje — odparł Jerzy.

Wreszcie Stefan dał mi trzy zaklejone koperty. — Piotrze, nie gniewaj się, ale to naprawdę sprawy wagi... no, o znaczeniu światowym — oświadczył. Leć na Szpitalną, oddaj to natychmiast. Powiedz, że jesteśmy absolutnie jednomyślni. Jeśli okaże się, że ambicje klik i koteryjek zaczynają wywierać wpływ na decyzje personalne — naród potrafi strząsnąć z siebie tę politykierską pokrywkę. Jesteśmy absolutnie zdecydowani poruszyć, w razie czego, całą opinię społeczną. — Chcemy rządu prawdziwie liberalnego, a gwarancję tego może dać tylko pozostawienie decyzji najwybitniejszym przedstawicielom inteligencji twórczej i humanistycznej — zagulgotał inny Stefan. Swoim zwyczajem skręcał się, jak w chorobie świętego Wita. My potrafimy dopilnować, aby jednostki moralnie dwuznaczne nie wypłynęły jak szumowina na falach odnowy.

Zaniemówiłem z wrażenia, widząc kto mianuje się sędzią moralnej jednoznaczności. — Błagam cię, nie reaguj — szepnął Jurek. — Czekajcie — usłyszałem głos Marcina — przecież cały czas była mowa o rządzie fachowców. — Tak, ale ci fachowcy nie mogą być sterowani przez ludzi, którym się marzy autokracja oligarchii, czy to październikowej, czy pomarcowej, czy korowskiej — odezwał się przepitym barytonem Józek. — Masz rację, Józek — ucieszył się Stefan. — W końcu my reprezentujemy najautentyczniejszą, bo wieloświatopoglądową opinię całego narodu. — Cieszę się — powiedziałem — i mam nadzieję, że naród też się ucieszy. Cześć, Stefan, lecę. *A propos* moralności i najżarliwszych jej obrońców, jest stary wierszyk Saloniego:

Przy moście, pod filarami
Rozbił się galar z jabłkami.
Płyną sobie jabłka równo,
A pomiędzy nimi gówno.
Co to płynie — pyta babka
Gówno na to: — To my, jabłka.

Kto z was pamięta Łódź z początku lat pięćdziesiątych, niech zmusi tego huja od moralności, żeby się wiersza o gównie, które udaje jabłko, nauczył na pamięć.

Wykorzystałem pauzę i z całej siły trzaskając drzwiami wyszedłem.

Wyskoczył za mną Jurek. Tłum kłębiący się w korytarzu niezwykle się na nasz widok ożywił. — No i co, Jerzy — wykrzykiwano — coście ustalili? Jakie decyzje? — Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej — krzyknąłem głośno — premierem Stefan, wicepremierzy: ksiądz Orszulik, Jacek Kuroń, Mazowiecki i Jurek Urban. — Ale przecież ten Orszulik to faszysta — odezwała się dziewczyna z wydatnym, nieco zwisającym biustem. — Jak to? Kuroń, Mazowiecki i Urban? Czy ci Żydzi zawsze muszą nami rządzić? — zawołał stojący obok łysy facet z długą blond brodą.

Jurek kopnął mnie w kostkę: — Przestań się wygłupiać, idioto, oni we wszystko wierzą.

Na Szpitalnej też było pełno. Fotele zrzucono na kupę do pierwszego pokoju. — Pan przewodniczący zaprosił dodatkowo kilkanaście osób — wyjaśniła Bożena. Prosili, żeby nikt nie wchodził.

Wszedłem. — Co się stało, po co włazisz? — spytał szorstko Andrzej. — Mam dla was list od Stefana — odparłem — do rąk własnych. Czy Janek tam też był? — pytał surowo Andrzej. — Nie. — To dobrze. Też żeś tam niepotrzebnie polazł. Teraz będziemy musieli się ustosunkować. — Pokaż! — powiedział pan Romuald. — Czy Wiesław siedzi u Alojzego? — spytał Zdzisio. — Na pewno — odparł z przekąsem Andrzej — gdzie indziej mógłby próbować coś załatwić! — Ale — spytał Zdzisio — kto formalnie reprezentuje? Pan? — Pan Romuald poprawił się na krześle. — Dotychczas ja. — Ale czy ma pan upoważnienie do działania w imieniu instytucji w nowej sytuacji? — nastawał Zdzisio. — Formalnie rzecz biorąc nie omawialiśmy tego — odparł po chwili namysłu indagowany.

— Proszę zająć miejsca — odezwał się przewodniczący — witam wszystkich członków Rady Programowej i zaproszonych gości, pozostałych proszę o opuszczenie sali. Podniósł się harmider, ponieważ nikt, łącznie chyba z przewodniczącym, nie wiedział kto jest zaproszony, a kto pozostały. — W kwestii formalnej — odezwał się Antek. — Sądzę, że nasze obrady powinny być jawne dla wszystkich sił patriotycznych. To dopomoże nam w podjęciu trudnych decyzji. Wszyscy mówili na raz. Wreszcie Andrzej zawołał: — Siadajcie, członkowie Rady przy stole, reszta na krzesłach. W kwestii formalnej — odezwał się Andrzej — przedstawiciele regionów przy stole, czy na krzesłach? — To są członkowie KK — powinni siedzieć przy stole. — A osoby im towarzyszące? — Gdzie chcą — odparł Bronek. — Ale w kwestii formalnej — odezwał się pan Jerzy — nie starczy miejsca dla członków Rady i będą trudności z głosowaniem.

Debata nad tym, gdzie kto ma usiąść zajęła kwadrans. Nie zwróciłem uwagi co uchwalono, ale ponieważ nikt się nie przesiadł, widocznie nie miało to najmniejszego znaczenia. Bronek zabrał głos: — Witam członków Rady, Komisji Krajowej oraz pozostałych gości. Jak państwu wiadomo, zostało uchwalone przez Sejm powołanie Tymczasowego Rządu Porozumienia Narodowego i nam zlecono opracowanie projektu stanowiska, jakie w tej sprawie zająć ma Komisja Krajowa. Musimy to dać jutro rano pod obrady KK, ponieważ pojutrze zaczynają się rozmowy w Sejmie. Czy są jakieś pytania? Podniósł się las rąk. — W kwestii formalnej — odezwał się któryś z gdańszczan — proszę o odczytanie polecenia KK w dosłownym brzmieniu. — Andrzej — zwrócił się Bronek do swego sąsiada — odczytaj telex. — Chwileczkę, gdzie on jest? — Kaśka — zawołał — gdzie jest telex z KK? — U ciebie — odpowiedziała spokojnie Kasia. — Ale gdzie? — Andrzej gorączkowo przerzucał papiery — Rysiek, nie widziałeś go? — W ogóle nie — odparł zapytany. — A co ci wystaje

W pokoju robiło się coraz ciaśniej i gwarniej. — Kogo proponuz kieszeni? — spytał Jacek. — Aha, jest — ucieszył się Andrzej — proszę bardzo: Prezydium Komisji Krajowej poleca przygotowanie opinii dotyczącej spraw organizacyjnych i personalnych w sprawie udziału przedstawicieli społeczeństwa w rządzie, która mogłaby zostać, po ich zatwierdzeniu, przedłożona jako stanowisko Związku w czasie rozmów w Sejmie. Podpisani: Lech Wałęsa, Andrzej Celiński. — W kwestii formalnej — zapytał Grzegorz. — Co to znaczy sprawy organizacyjne? — Na moment zapadła cisza, po czym kilkanaście osób zaczęło mówić jednocześnie. — Proszę o spokój — zawołał przewodniczący. W ten sposób nic nie ustalimy. — To bardzo ważne — upierał się Grzegorz. Wspomniał pan o Tymczasowym Rządzie Porozumienia Narodowego. Czy nazwa rządu wchodzi w zakres spraw organizacyjnych? — Sądzę, że tak, ale nie sądzę, żeby to była najistotniejsza sprawa. — Myli się pan — zaperzył się Grzegorz. Ta nazwa sugeruje porozumienie z komuchami, a nas spycha na pozycje satelitarne, kolaboranckie i kapitulanckie. Znów wszyscy zaczęli mówić naraz. — Panowie, proszę o ciszę, kto ma konkretne pytanie, proszę — rozpaczliwie wołał przewodniczący. — Zgadzam się z przedmówcą — powiedział Antek — nie możemy iść na porozumienie z agentami Kremla, nie możemy współdziałać przy zniewalaniu kraju. — Idioci — powiedział ktoś po drugiej stronie stołu. — Panie przewodniczący — Stefan wstał i zapiał tak, że aż mu oczy wyszły z orbit. — Zjazd w Oliwii, reprezentujący dziesięciomilionowy Związek, będący jedyną realną siłą w naszym społeczeństwie, dał niedwuznaczny wyraz swojemu poparciu dla orientacji prawdziwie narodowej. O jakim porozumieniu może być mowa? Z kim? Pan Antoni słusznie powiedział: nie możemy wejść do rządu kierowanego przez agentów Moskwy, do naszego rządu też tych agentów nie wpuścimy. Powiedzmy sobie jasno, stać nas na prawdziwie polski rząd, nie paktujący z obcymi. — Panie przewodniczący — odezwał się jeden z obecnych Andrzejów — po pierwsze, jak ma wyglądać przygotowanie składu rządu? Po drugie, jakich stanowisk w rządzie domagamy się dla wysuniętych przez nas przedstawicieli społeczeństwa? — Ależ to kapitulacja — zawołał Seweryn. — Jeśli możemy przejąć władzę, dlaczego mamy ją oddawać?

Jak brzmi pierwszy punkt? — Jak ma wyglądać przygotowanie składu rządu? Skoro jestem przy głosie, pragnąłbym wysunąć propozycję, aby w czasie rozmów w Sejmie forsować przyjęcie następującej procedury: po pierwsze, uprawnione do dyskusji nad organizacją i składem osobowym przyszłych władz państwowych są równoliczne delegacje naszego związku i PZPR, a ponadto przedstawiciele Komisji Porozumiewawczej Związków Twórczych i Naukowych. Obserwatorami będą delegaci Episkopatu... — W kwestii formalnej — wtrącił Andrzej z Łodzi. — Nas jest dziesięć milionów, partyjnych milion, więc dlaczego równoliczne reprezentacje?

Ktoś zaczął bić brawo. — Proszę o spokój — zawołał przewodniczący. Niech pan kontynuuje. — W kwestii formalnej — wtrącił się Wojtek. — Status obserwatorów powinny uzyskać wszystkie autentyczne siły społeczne, oczywiście nie partie satelitarne, ale na pewno Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela! — W kwestii formalnej — krzyknął ktoś z tylnych krzeseł. — Przede wszystkim KPN! — Panowie — podniesionym głosem powiedział przewodniczący — dajcie skończyć wnioskodawcy. — W kwestii formalnej — odezwał się Jacek. — Popieram wniosek pana Andrzeja w całości, ale uważam, że wobec zdominowania Sejmu przez naszych przeciwników, trzeba zapewnić udział w obradach czynnika, który mógłby pełnić rolę rozjemcy. — To jest zadanie przedstawicieli Kościoła — odparł Andrzej. — Przy całym szacunku dla Kościoła i jego przywódców, nie sądzę, aby był on dostatecznie zdecydowany i bezstronny — odezwał się Zbyszek. — Jak śmiesz — zawrzeszczał Seweryn — kwestionować opatrznościową rolę religii dla naszej Ojczyzny? — Panie przewodniczący — odezwał się milczący dotąd Karol. — Czy czuje się Pan na siłach opanować sytuację, czy też przekaże pan prowadzenie obrad komu innemu? — Zawsze ta sama hucpa — zawołał Janek. — Najpierw sprowadzić dyskusję na tory niemerytoryczne, a potem przejść do frontalnej personalnej rozróby. O co wam właściwie chodzi? — Wycofuję wniosek — oświadczył Karol, widząc, że Bronek jest już sino-czerwony.

— Panie Wiesławie, czy zechce mnie pan zastąpić na pół godziny ? — No cóż — odparł zapytany — niech pan odpocznie.

Nadszedł Patrycjusz wraz z dwoma brodatymi młodzieńcami. — Przepraszam bardzo — powiedział. — Właśnie przyjechaliśmy. — Dobry wieczór — powiedział Wiesław — zaraz się wami zajmiemy, ale w tej chwili jest głosowanie. — A można wiedzieć, o co chodzi? — podejrzliwie spytał przybysz.

Znów otwarły się drzwi i pojawił się w nich Janek z Bydgoszczy oraz kilku Ślązaków. — Jezu Chryste — szepnął Jacek — teraz się zacznie. — Dobry wieczór — powiedział kolejny wchodzący, wyglądający jak karykatura Sinobrodego. — Kto to jest? — spytał szeptem Bohdan. — Huj z Lublina, podobno mariawicki ksiądz — podpowiedział siedzący za mną chudy, łysiejący blondyn. — Boże, gdzie my jesteśmy — jęknęła Joanna. — Na posiedzeniu Rady Programowej Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych Komisji Krajowej Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność" — spokojnie odpowiedział jej mąż. — Panowie, proszę o przegłosowanie propozycji pana Andrzeja — powiedział Wiesław. — Kto jest za wysunięciem propozycji takiego składu grupy negocjacyjnej, jaki zaproponował pan Andrzej? — Proszę o przypomnienie propozycji pana Andrzeja — odezwał się Stanisław. — Można? — Wiesław skinął głową. — „Przedstawiciele Komisji Krajowej, PZPR i Komisji Porozumiewawczej Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych jako negocjatorzy, Rady Społecznej Episkopatu jako obserwatorzy". — Jak to, a KPN? — głośno spytał Andrzej z Katowic. — Chcecie wyłączyć z decyzji największą i najsilniejszą partię patriotyczną? — Tę

sprawę omówiliśmy — powiedział Wiesław. — Nie będziemy wszystkiego wyjaśniać od nowa. Teraz głosujemy nad wnioskiem. — Chwileczkę — zawołał Janek z Bydgoszczy. — A po co w ogóle mamy z nimi rozmawiać? Powołajmy rząd i weźmy wszystko w garść. — Panie Janku — Wiesław był nadal spokojny. — Wykonujemy polecenie Przewodniczącego i Prezydium Komisji Krajowej. — To trzeba Lechowi wytłumaczyć, że nie ma o czym z nimi gadać. — Ile razy trzeba wam powtarzać, że Związek Sowiecki jest papierowym tygrysem — zapiszczał falsetem Janek. — Nie odważą się interweniować. — Brawo — rozległo się z tyłu. — Nareszcie uczciwe słowo.

W sali kotłowało się. Wojtek wskoczył na krzesło i wyciągając ręce szlochał: — Testament Marszałka! Na Lwów! Na Wilno! Na Kijów!

Nagle Jan, którego dotąd nie widziałem, bo się oczywiście spóźnił, wyrżnął z całej siły pięścią w stół i zawołał: — Cisza! Jeśli nie pozwolicie nam wykonać polecenia Lecha, to co powiecie jutro? Że eksperci są do dupy? — W kwestii formalnej — odezwał się siedzący obok Karola nieznany mi Dolnoślązak. — Dlaczego nas, wybranych przez naród, mają obrażać nasi właśni płatni pracownicy? To tak, jak w partii. Aparat chce być ważniejszy od wybranych przedstawicieli. — A skąd wy, kolego, tak dobrze wiecie, jak jest w partii? — zapytał Tadek z Krakowa. — A Kuroń, Michnik i Modzelewski ile lat byli w partii? — krzyknął jeden z warszawiaków. I co, sumienie ich ruszyło? Chcą się teraz odnowić naszymi rękami?

W tym momencie stało się coś niesamowitego. Wstał Jacek i zdartym głosem zaintonował „Boże, coś Polskę...". Po kolei wstawali inni i po chwili cała sala zawodziła nieco fałszywie: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie...". Zanim ktokolwiek zdołał coś powiedzieć, Jacek zaczął znów: „Oto dziś dzień krwi i chwały...", i znów wszyscy na stojąco śpiewali. Gdy wreszcie, nieco speszeni, usiedli, Wiesław najspokojniej zapytał: — No, panie Adamie, panie Sergiuszu, policzyliście? Proszę podać mi na kartkach wasze obliczenia. — Pan Sergiusz: 6 za, 4 przeciw, 10 wstrzymujących się. Pan Adam: 5 za, 4 przeciw, 11 wstrzymujących się. Wniosek przeszedł większością głosów. — Teraz w kwestii formalnej. Statut mówi, że musi być co najmniej połowa głosów „za", żeby uchwała przeszła — odezwał się któryś Ślązak. — To regulamin Zjazdu, ale nas to nie dotyczy — powiedział Wiesław. — A jak jest w waszym regulaminie? — Proszę przeczytać — zwrócił się Wiesław do Andrzeja. — Kaśka, gdzie jest regulamin? — U ciebie — odpowiedziała Kaśka. — Rysiek, Jacek, czy któryś z was go nie ma? — Jest gdzieś w szufladzie, ale... — W kwestii formalnej — zabrał głos Paweł — sugestie, które przedstawimy Komisji Krajowej, mogą chyba stanowić prezentację różnych wariantów? — W kwestii formalnej — zaoponował Stefan. — Jeśli projektu kapitulanckiego nie poparła większość członków Rady, próba zaprezentowania go władzom związkowym jest ordynarną prowokacją. — W kwestii zasadniczej — odezwał się milczący dotąd kolejny Janek. — Siedzimy tu blisko pięć godzin bez żadnego efektu. Czy mógłbym prosić o sprecyzowanie stanowiska w jednej, jedynej sprawie? — Proszę bardzo, o co chodzi? — zapytał Wiesław. — Czy zależy nam, czy zależy związkowi na rozmowach w Sejmie, czy nie?

Nagle Jacek zerwał się z krzesła. Twarz miał natchnioną. — Panowie, wiecie, że oni ustępują tylko przed siłą, tylko wtedy, kiedy przykładamy im pistolet do skroni. Trzeba Lecha przekonać, że naród oczekuje czynu, wierzy, że pójdziemy na wszystko, że nie cofniemy się przed niczym. I komuna też musi o tym wiedzieć — Więc co? Wojna? — spytał Tadek. — Ale skąd. Determinacja, zapobieganie konfrontacji, oni się cofną. Karol dorwał się do głosu. — Stawiam formalny wniosek o przerwanie dyskusji. Dla nas, członków KK, sprawa jest jasna. Niech czerwoni na kolanach proszą o wprowadzenie do rządu swoich ludzi.

Rozległy się oklaski. „Na kolana. Na kolana" — zaczęli skandować Patrycjusz i jego towarzysze. — Ogłaszam piętnastominutową przerwę — powiedział Wiesław. — O dwudziestej drugiej trzydzieści wznawiamy obrady. — Stukając laską zbliżał się do mnie Andrzej. Wyglądał groźnie. — Czy ty myślisz, że im pomoże luminal? Im potrzeba oleju do głów! — Tego współczesna medycyna nie potrafi — uśmiechnąłem się.

W kącie sali zażarcie dyskutowali Adam, Bronek, Jacek i Karol. Antek wskazywał ich stojącemu przy nim Andrzejowi, Jarkowi oraz Grzegorzowi. — Widzicie ich. Starzy manipulatorzy znów coś knują. Już im pachnie sianko w żłobie. — Nie, Antoś, tym razem nic im z tego nie wyjdzie. Naród wie, kto jest z jego krwi i kości — wtrącił się Antoni z Rzeszowa. Tadeusz chodził od grupki do grupki, wszędzie rzucając kilka słów.

Z pokoju kierownika wyszedł Sergiusz. — Wiesz, Bronek dzwonił do Lecha, ale Wałęsa powiedział, że jak sobie nie dadzą rady, to znajdzie ekspertów, którzy sobie będą dawać radę.

Nagle ktoś zastukał głośno. Spojrzałem. Za stołem stał Bronek — Proszę państwa, wznawiamy obrady. Przypominam, że mamy przedstawić Komisji Krajowej nasze sugestie odnośnie stanowiska związku na pojutrzejszych rozmowach w Sejmie. Członków Rady proszę o zajęcie miejsc przy stole, gości i osoby towarzyszące — na krzesłach z tyłu. Bardzo proszę o rzeczową i spokojną dyskusję i ścisłe trzymanie się tematu zadanego przez Lecha. Zaczynamy.

— W kwestii formalnej — rozległo się z kilku stron sali, i do góry podniosło się pięć, czy sześć rąk...

Piotr KRASUCKI

Lipiec 1982

OŚWIADCZENIE NIEZALEŻNYCH WYDAWNICTW

My, niżej podpisani przedstawiciele niezależnych inicjatyw wydawniczych, oświadczamy, że zapewnienie wolności słowa w Polsce wymaga spełnienia następujących warunków:

— zniesienia cenzury prewencyjnej;

— zaprzestania dziś i w przyszłości represji wobec niezależnego ruchu wydawniczego (aresztów, konfiskat i grzywien) oraz zwrotu zawłaszczonego majątku niezależnych wydawnictw i rehabilitacji osób represjonowanych za działalność wydawniczą;

— równości wszystkich wydawców w zakresie dostępu do papieru, urządzeń poligraficznych i możliwości prowadzenia kolportażu.

Dopiero łączne spełnienie tych trzech warunków zniesie monopolizowanie i koncesjonowanie działalności wydawniczej w Polsce.

Przedstawiciele firm: CDN, In Plus, Krąg, *Kwartalnik Polityczny Krytyka*, Myśl, NOW-a, Oficyna Liberałów, Pokolenie, Pomost, Przedświt, Rytm, Stop, *Tygodnik Mazowsze*, *Wola*, Wolne Pismo *Most*, WSKOS.

6 stycznia 1989 r.

ZEBRANIE NIEZALEŻNYCH LITERATÓW

14 stycznia br. odbyło się w Warszawie zebranie niezrzeszonych literatów, którzy postanowili utworzyć Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. W zebraniu wzięło udział 147 osób, powołano komitet założycielski, a przewodniczącym wybrano Jana Józefa Szczepańskiego, byłego przewodniczącego ZLP. Uchwalono ponadto poniższe oświadczenie.

OŚWIADCZENIE

Zebrani w dniach 14-15 stycznia 1989 roku w Warszawie polscy pisarze niezależni i niezrzeszeni oświadczają:

1. Mimo że od wprowadzenia stanu wojennego w Polsce minęło już siedem lat, a od rozwiązania przez władze naszej organizacji, dawnego ZLP, ponad pięć lat, większość polskich pisarzy nie wstąpiła do utworzonej przez władze organizacji zastępczej, również nazwanej Związkiem Literatów Polskich. Dowodzi to, że polscy ludzie pióra wyżej cenią swą niezależność i godność osobistą niż doraźne korzyści. W takim jednak położeniu są oni pozbawieni swojej reprezentacji.

2. Uważamy, że posiadamy niepodważalne prawo do utworzenia własnej, niezależnej, powołanej w sposób demokratyczny organizacji, która broniłaby naszych swobód twórczych i naszych interesów zawodowych.

3. Taka organizacja, stanowiąc widome potwierdzenie naszej tożsamości i praw obywatelskich, byłaby jednocześnie instrumentem umożliwiającym społeczności pisarskiej uczestnictwo w działaniach na rzecz przezwyciężenia polskiego kryzysu społecznego. Kryzys ten znajduje szczególnie niepokojące odbicie w dziedzinie kultury. Jej obecny stan zagraża przyszłości naszego narodu.

4. Uważamy, że nie ma innej drogi do przezwyciężenia schorzeń państwa i społeczeństwa obywatelskiego. Niezbędne do tego jest przywrócenie pluralizmu we wszystkich dziedzinach, również w życiu literackim.

5. Popieramy żądanie przywrócenia legalnych praw związkowi zawodowemu „Solidarność". Wyrażamy też poparcie dla utworzonego przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność" Komitetu Obywatelskiego.

6. Witamy z zadowoleniem fakt pozytywnego rozstrzygnięcia sprawy polskiego PEN-Clubu. Mamy nadzieję, że wskaże to drogę do demokratycznych, korzystnych dla kultury przemian także w przyszłości. Wolność słowa i wolność stowarzyszania się są najważniejszymi dla kultury sprawami czekającymi na rozwiązanie.

Warszawa, 15 stycznia 1989

STANOWISKO w sprawie powołania Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność" Lechu Wałęsie

Powołanie Komitetu Obywatelskiego nastąpiło w drodze mianowania jego członków przez Lecha Wałęsę z grona doradców „Solidarności" i niezależnych intelektualilstów. Sposób powołania Komitetu oraz jego skład powodują, że przy całym szacunku dla zasług i rangi jego członków nie możemy go uznać za reprezentację całości polskiej opozycji, a w szczególności jej skrzydła niepodległościowego. Wyrażamy również obawę, iż wystąpienie tego Komitetu jako reprezentanta strony społecznej w rozmowach „okrągłego stołu" zmniejsza szanse na uzyskanie relegalizacji NSZZ „Solidarność". Grozi to również odejściem części opozycji od reprezentowania interesów społeczeństwa na rzecz współudziału we władzy wraz z komunistami.

LIBERALNO-DEMOKRATYCZNA PARTIA
„NIEPODLEGŁOŚĆ"
ORGANIZACJA „SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA"

Warszawa, 30 grudnia 1988

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
STODIECK'S BUCHHANDLUNG & GALERIE
oferuje:
Książki polskie. — Książki niemieckie dotyczące Polski i Europy Wschodniej. — Przekłady z języka polskiego na niemiecki.
Katalogi wysyłamy bezpłatnie.
Stodieck's Buchhandlung,
Richard-Wagner-Str. 39. D-1000 Berlin 10.
Tel.: (030) 341 10 40

Sprawy i troski

Polacy na Ukrainie

W ciekawym wywiadzie na temat kwerendy archiwalnej w ZSSR do swej książki „Polacy na Ukrainie 1831-1863" (Wyd. Instytut Literacki 1987) prof. Daniel Beauvois stwierdza, że szlachta polska spisana przez komisję carską do stanu chłopskiego podczas weryfikacji dyplomów szlacheckich, tzw. jednodworcy, „zniknęli, pogrążyli się w chłopstwo, a ślady po nich zostały zatarte" (str. 11). Otóż stwierdzenie to nie znajduje potwierdzenia w rzeczywistości. Te 400 tys. osób, o których mówi Autor (str. 9) pozbawionych życia obywatelskiego, bynajmniej nie zniknęło. Przeciwnie, ta zdeklasowana grupa społeczna zachowała w ogromnej większości, także w stanie chłopskim, zarówno swoją świadomość narodową, jak i wyznanie. Ono właśnie było i nadal jest znamienną jej cechą i wartością, pozwalającą jej współczesnym potomkom utożsamiać się z polskim pochodzeniem i rzymskim katolicyzmem. Na tych masach chłopskich (pewna ich część pochodziła z mazurskiego osadnictwa, prowadzonego w XVII i XVIII wieku przez niektóre rody magnackie) opierała się cała struktura Kościoła katolickiego do rewolucji bolszewickiej i po niej, dopóki nie została zlikwidowana w latach 30-tych.

Gdy cała warstwa ziemiańska po Traktacie Ryskim wyjechała lub uciekła z Ukrainy do Polski, pozostały setki tysięcy potomków owej schłopiałej szlachty o bardzo żywej polskiej świadomości narodowej, stanowczo odrzucających komunizm i patrzących w stronę odrodzonej Ploski. To dla nich Stalin stworzył autonomiczny obwód polskojęzyczny ze stolicą w Dowbyszu i utrzymywał do 1935 roku polskie szkoły na całej Ukrainie, prasę polskojęzyczną, kluby i inne instytucje z myślą o bolszewizacji Polaków. Nie przyniosła ona żadnych wyników. W 1936 roku byli oni masowo deportowani do Kazachstanu, w liczbie trudnej dziś do ustalenia. W niektórych okolicach deportacje objęły mniej niż połowę ludności polskiej, w innych większość. Wskazują na to relacje tych, którzy pozostali na miejscu, łatwe dziś do uzyskania.

Żyjący od z górą trzydziestu lat w Kazachstanie Jan Plater-Gajewski ocenia liczbę Polaków w tym kraju na 250 do 300 tys. osób (*Kurier Polski* z 10 października 1988, Warszawa).

Około 50 parafii katolickich istniejących za Zbruczem (o rejestrację dalszych idą starania) opiera się na ludziach, którzy ocaleli od deportacji i represji końca lat 30-tych, a którzy są potomkami jednodworców. Świadczą o tym nazwiska, w ogromnej większości polskie, pomimo od lat prowadzonej, stopniowej ich ukrainizacji. Andrycz zostaje zamienione na Andryczyszyn, Gumnicki na Gumeniuk, Kułakowski na Kułak, Skorupski na Szkarupskij itp. W przytłaczającej większości ludność ta została zapisana wbrew jej woli i często bez pytania jako Ukraińcy, przy zastosowaniu bardzo prostego argumentu: „Urodziłeś się na Ukrainie, ukraiński chleb jesz, po polsku nie umiesz — to jaki ty Polak".

Schemat tego rozumowania powtarzał się przy kolejnych spisach ludności. Czy powtórzy się także przy ostatnim, rozpoczętym 12 stycznia br. — pokaże najbliższa przyszłość. W każdym razie w okolicy Wilna wpisy danych osobistych do arkuszów służących w czasie spisu i tym razem robiono zwykłym ołówkiem, a nie długopisem, jak było zapowiedziane w *Czerwonym Sztandarze* (np. nr z 3 stycznia 1989), co może mieć tylko jedno wyjaśnienie: że dane zostaną zmienione według życzenia władz.

W ostatnich dniach grudnia ub. roku telewizja sowiecka podała, przynajmniej na Ukrainie, że każdy obywatel powinien w czasie spisu ludności bez żadnych obaw podawać swoją narodowość i że nie wolno wywierać żadnych nacisków w tej dziedzinie. Czy jest to jedynie chwyt propagandowy, który będzie można odpowiednio wykorzystać, wskazując, że liczba Polaków według nowego, sprawiedliwego spisu bynajmniej nie jest wyższa od poprzedniego?

Średnie, młodsze i najmłodsze pokolenie ludności, o której tu mowa, poza niewielkim jej procentem, nie zna już języka polskiego. Jego utrata dokonywała się stopniowo. Najcięższy cios zadały mu deportacje i represje, wymierzone przede wszystkim w najbardziej świadomy narodowo i religijnie element polski. Potwierdzają to różne świadectwa. Jedna z miejscowych kobiet w rozmowie ze mną we wiosce Płoskirów obłasti Chmielnickiej powiedziała: „Po wywózkach i represjach zostały się same betriki" — to znaczy ludzie mało rozgarnięci, „barany", jak sama to wyjaśniła, na pytanie, co znaczy słowo „betriki".

Pomimo tragicznych przejść schłopiałej dawnej szlachty na Ukrainie, polski charakter zachowało tam do dziś odradzające się obecnie z dużą siłą życie religijne, przechowujące w niezmienionej formie wiele elementów XIX-stowiecznych jeszcze, lub nawet starszych obrzędów i zwyczajów kościelnych. W sumie jest to bardzo interesujący dowód „długiego trwania" w historii. Nie wszystkie ślady zostały zatarte.

W tym samym numerze *Zeszytów Historycznych,* w artykule „Najboleśniejsza biała plama", Autor podpisany SWR pisze o

eksterminacji i wywózkach Polaków z Ukrainy w latach 1936-1937 i ocenia, że „na pewno w 1938-1939 roku trudno było znaleźć Polaka tam i gdzie indziej" (str. 46). Trudno się z tym zgodzić. Tego rodzaju opinie powstają z braku dostępu do terenów, o których tu mowa. Obecnie, gdy dostęp ten jest już możliwy, należy je korygować. Łatwo jest stwierdzić, nawet w przygodnej rozmowie ze spotykanymi Polakami, że duża część ludności polskiej, najbiedniejsza i najmniej rzucająca się w oczy, pozostała w rodzinnych stronach, choć niekiedy zniknęły całe wioski.

Po wojnie bardzo niewielki procent deportowanych do Kazachstanu Polaków mógł powrócić do swoich siedzib. Prawo do powrotu mieli tylko ci, którzy służyli w wojsku podczas wojny (mężczyźni i kobiety). Obejmowało ono także najbliższą rodzinę, to znaczy rodziców, małżonków i dzieci, braci i siostry. Wydaje się, że spośród Polaków zesłanych do Kazachstanu stosunkowo mało powoływano do wojska. Zapewne dlatego, że widziano w nich element niepewny politycznie.

W formie dygresji warto tu dorzucić, że Polacy zza Zbrucza służący w wojsku w czasie wojny, mieli również prawo wyjeżdżać do Polski po jej zakończeniu wraz z najbliższą rodziną. Stąd zaskakujący fakt, że ludzie, którzy od niepamiętnych czasów mieszkają w województwach żytomierskim, winnickim, czy chmielnickim, mają w Polsce bliskich krewnych. Obecnie, po ułatwieniach paszportowych, w miastach i miasteczkach można spotkać samochody z polską rejestracją.

Miejscowi księża skarżą się niekiedy na tych przybyszy z Polski, twierdząc, że są oni zgorszeniem dla miejscowych wiernych. W niedziele i święta, zamiast jechać daleko do kościoła, jak to czynią miejscowi katolicy, idą do cerkwi, mówiąc, że to to samo i powołują się przy tym na odpowiednie pouczenia swoich duszpasterzy w Polsce. Innym zarzutem jest to, że nierzadko nie idą wcale.

Do „najboleśniejszych białych plam" warto dorzucić przechowywane, jak dotychczas w ustnych przekazach, świadectwa o zbrodniach NKWD na Ukrainie, dokonywanych na ludności ukraińskiej i polskiej. Dwa znane powszechnie miejsca kaźni w obłastiach winnickiej i chmielnickiej, to Winnica i Płoskirów. Winnica była miejscem masowych rozstrzeliwań ludzi w latach 1937-1940. Miejsce kaźni było otoczone szczelnym drewnianym płotem. Rozstrzeliwano nocami przy zapuszczonych motorach samochodów ciężarowych, celem głuszenia strzałów. Po wkroczeniu Niemców na Ukrainę w 1941 roku ludność miejscowa natychmiast zaczęła rozkopywać groby, w celu rozpoznania bliskich. Niektórzy z pomordowanych nie byli rozstrzelani, lecz, jak mówią przekazy, nawlekani kolejno, przez uszy, na zaostrzony, stalowy drut. Do dziś żyją w okolicy Winnicy ludzie, którzy oglądali zwłoki pomordowanych. Dziś na miejscu masowych grobów jest rozległy i zadrzewiony park miejski. Jak wyraził się kiedyś po pijanemu jeden z b. funkcjonariuszy NKWD o tym miejscu: „pod każdym drzewem leży tam człowiek". Ale o tym mówi się nadal tylko w największej dyskrecji. Jeszcze nie tak dawno,

za Breżniewa, nawet aluzją na ten temat interesowało się natychmiast KGB, co bardzo skutecznie zamykało ludziom usta.

Kaźń w Płoskirowie odkryto przypadkiem, przy budowie wielkiego domu towarowego w 1968 roku. Równające teren spychacze ziemi natrafiły na piwnice nieistniejącego już więzienia i siedziby NKWD z okresu międzywojennego. Znajdowały się tam, w postawie stojącej, setki trupów mężczyzn, zbitych jak śledzie w beczce. Nie byli rozstrzelani, lecz zostali zaduszeni przez brak powietrza. Teren otoczyła milicja, ogrodzono go wysokim, szczelnym płotem i odkryte zwłoki wywieziono w nieznanym kierunku. Wieść o tym rozeszła się szeroko wśród ludności polskiej i odżyły wówczas wspomnienia, do dziś powtarzane, o nagłym zabieraniu mężczyzn z domów i z pracy do więzienia w Płoskirowie. Żaden z nich nie wrócił do siebie. Do dziś można spotkać kobiety w podeszłym wieku, które w latach 1937-1939 stały pod tym więzieniem, usiłując na próżno przekazać coś swoim mężom, czy braciom.

Na miejscu tego masowego grobu, nie bacząc na wstrząsające odkrycie, zbudowano największy w mieście dom towarowy. Miejscowi Polacy pokazują go dziś gościom z Polski, przypominając na jakich fundamentach stoi. Ciekawe, że w przeciwieństwie do Białorusi (sprawa masowych mordów dokonywanych przez NKWD w Kuropatach została ujawniona i jest szeroko dyskutowana w oficjalnej prasie) na Ukrainie, jak dotychczas, ani słowem nie wspomina się o podobnych zbrodniach.

Opinie o nieobecności Polaków na Ukrainie po deportacjach do Kazachstanu i represjach z końca lat 30-tych należy prostować, gdyż nie odpowiadają one prawdzie i wbrew intencjom ich autorów mogą służyć jako usprawiedliwienie współczesnej już polityki wynarodowiania elementu polskiego. Bo skoro zniknęli już Polacy, to po co otwierać np. polskie szkoły lub tolerować tak ważną dla ich identyfikacji duchowej i kulturalnej instytucję, jaką jest Kościół rzymsko-katolicki*.

Miejscowi duszpasterze, opierając się na kryterium kontaktu z tym Kościołem ludności polskiego pochodzenia rozproszonej na Ukrainie, oceniają jej liczbę na około 50 tys. osób lub nawet więcej. O dokładne rozeznanie trudno. Ciągle odkrywa się nowe, nieznane skupiska. Spotkany w pociągu Polak spod Połtawy opowiadał mi, że w połtawskiej obłasti mieszka 33 tys. Polaków i zaczynają się oni organizować. Z wymienianych miejscowości zapamiętałem tylko Łubnie (dawna siedziba księcia Jaremy Wiś-

* Tezę o nieobecności Polaków na Białrusi i Ukrainie, czy w ZSSR w ogóle, można spotkać w wielu publikacjach francuskich na temat Kościoła i życia religijnego w tym kraju. E. Milcent stwierdza np. w książce „A l'Est du Vatican" (Paris 1980), że „prawie wszyscy Polacy zostali odesłani do Polski" (str. 105) po zakończeniu drugiej wojny światowej. Pisząc o katolikach w ZSSR, nie dostrzega Polaków Bernadette Morand w książce „Combat pour la foi" (Paris 1979). Tego rodzaju opinie zdobyły już sobie często prawo obywatelstwa i przyczyniają się do niebezpiecznego dla Kościoła katolickiego w ZSSR fałszowania obrazu życia religijnego. Może to służyć tylko interesom tego państwa.

niowieckiego) i Kobelaki. W tej ostatniej miejscowości, która jest siedzibą rejonu (powiatu), w 1988 roku Polacy otworzyli klasę polską przy miejscowej szkole, oczywiście za zgodą władz, i do nauczania języka polskiego sprowadzili z Wilna absolwentkę tamtejszego Instytutu Pedagogicznego przy Uniwersytecie Wileńskim. Klasa liczy około 30 dzieci. Napisali także podanie do Moskwy o rejestrację parafii katolickiej i zgodę na sprowadzenie księdza. Nadeszła uprzejma odpowiedź, że należy czekać na pozytywne rozpatrzenie sprawy. Ludzie są dobrej myśli. Jeśli parafia zostanie zarejestrowana (według dotychczasowego i niezmienionego jak na razie ustawodawstwa z 1929 roku zajmuje się nią najwyższy Urząd d/s Wyznań w Moskwie), bardzo trudnym problemem będzie znalezienie dla niej duszpasterza. Zwłaszcza wobec rejestrowania ostatnio coraz to nowych, zlikwidowanych niegdyś parafii. Nawet dla pracujących na Ukrainie księży odkrycie tak licznej grupy Polaków w obłasti połtawskiej było całkowitą niespodzianką. Co prawda chodzi tu o lewobrzeżną Ukrainę. Żyjącej tu ludności polskiej nie dotknęły, o ile wiadomo, deportacje i represje, o których była mowa wyżej. Przynajmniej w takich rozmiarach.

Czesław TYNNA

Paryż, 20 stycznia 1989

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości $ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych. ● Wszelkie aparaty medyczne. ● Okulary. ● Aparaty słuchowe. ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.
Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.
Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.
Tel.: 42 85 79 45.

Sąsiedzi

List otwarty do Litwinów i Polaków na Litwie

Dzieją się ostatnio na Litwie rzeczy niezwykłe. Idea praw człowieka oraz praw narodowych, której przez wiele lat broniła garstka dysydentów, narażając się na więzienie, Syberię albo przymusową emigrację, wydała piękny płód. Została własnością całego narodu litewskiego. Występowanie w jej obronie stało się naturalnym odruchem setek tysięcy, jeżeli nie milionów obywateli Litwy. Jest to proces rewolucyjny i nieodwracalny.

Naturalnym odruchem władz jest zatrzymywanie tego procesu za każdą cenę. Na dłuższą metę nie może to się udać. Niewykluczone są jednak tymczasowe zwycięstwa imperialistów oraz stalinowców. Używają i będą używali do tego każdej sposobności, kierując się przede wszystkim regułą *divide et impera*, wielokrotnie i z pożytkiem przez nich wypróbowaną właśnie na terenach środkowo- i wschodnioeuropejskich. Nie jest rzeczą trudną do zrozumienia, że będą wykorzystywali do tego również — a może nawet przede wszystkim — szowinistów oraz krótkowzrocznych patriotów, jakich nie brakuje w każdej narodowości. Ludziom tego rodzaju wydaje się, że najlepszym sposobem bronienia własnych narodowych interesów jest gnębienie narodowości słabszych. Nie rozumieją i najczęściej nie chcą zrozumieć, że naród uciskający inne narody z definicji nie może być narodem wolnym.

Na szczęście nie ma obecnie na Litwie tarć litewsko-żydowskich. Może to brzmieć dziwnie, ale nawet stosunki z rosyjską częścią ludności są w danej chwili lepsze, niż oczekiwano. Sprzyja temu postawa inteligencji rosyjskiej wychowanej przez Andrieja Sacharowa oraz podobnych mu ludzi. Ale niepokoją mnie, tak samo jak wielu Litwinów oraz Polaków, tarcia litewsko-polskie, wyraźnie przybierające na sile. Jest to naprawdę ostatnia rzecz,

której potrzebujemy. Nie może przynieść korzyści nikomu poza wspólnym wrogiem.

W sytuacjach tego rodzaju błędy są zawsze robione przez obie strony. Niemniej jako Litwin uważam za swój obowiązek skoncentrować się na błędach litewskich. Jest to pierwsza i najprostsza reguła dla inteligenta, który poczuwa się do odpowiedzialności za losy własnego narodu.

Kilka stuleci wspólnych dziejów Litwy i Polski są oceniane przez Litwinów i Polaków w zupełnie odmienny sposób. Dla Polaków to stulecia wielkie. Obiektywny historyk musi się zgodzić, że ta epoka zawiera dużo kart chlubnych dla obu narodów. Litwini jednak najczęściej przymykają na to oczy, zwracając uwagę wyłącznie na polonizację Litwy, która postępowała wtedy niezwykle szybko i w końcu wieku osiemnastego zagroziła Litwinom zniknięciem tożsamości narodowej. Ruch narodowy litewski kształtował się nie tylko w opozycji do Rosjan oraz Niemców ale także — może przede wszystkim — do Polaków. Chyba nie mogło być inaczej w zaistniałej sytuacji. Sprawa zaostrzyła się w epoce międzywojennej z powodu sporu o Wilno. Niezwykły to wypadek, nawet w skali światowej, żeby stolica jednego narodu była jednocześnie bardzo ważnym ośrodkiem kulturalnym dla drugiego. Niesamowicie trudnym zadaniem jest rozplątywanie takich węzłów — świadczy o tym m.in. przykład Jerozolimy. Żaden z Litwinów nie wątpi — i słusznie — że akcja Żeligowskiego w 1920 roku była sprzeczna z prawem międzynarodowym. Ale jednocześnie musimy przyznać, że Polacy w Wilnie w tych czasach dominowali w sensie demograficznym oraz kulturalnym. Więc musimy starać się zrozumieć także punkt widzenia polski, nawet jeżeli jest to dla Litwina niełatwym zadaniem.

Jest rzeczą niewątpliwą, że w czasach międzywojennych sytuacja Litwinów na Wileńszczyźnie była nie do pozazdroszczenia. Pamiętamy dotychczas zapędy polonizacyjne Bociańskiego, pamiętamy również niezbyt przyjazną dla Litwinów postawę Kościoła polskiego w tym okresie. Ale należy uznać — co zresztą zrobiła Liga Wolności Litwy w swoim oświadczeniu z 22 listopada 1988 roku — że panowanie polskie na tych terenach, nawet jeżeli pozostawiało bardzo dużo do życzenia, chroniło przez dwadzieścia lat tamtejszą ludność litewską (również białoruską, ukraińską, żydowską) przed znacznie gorszym losem, mianowicie sowietyzacją i stalinizmem.

Uważam, że w chwili obecnej sprawa Wilna oraz Wileńszczyzny jest definitywnie rozwiązana. Miasto znów jest stolicą narodu litewskiego, jest zasiedlone głównie przez Litwinów: dla mnie, tak samo jak dla większości moich ziomków, nie ulega wątpliwości, że z czasem będzie stolicą Litwy niepodległej i demokratycznej. Długoletnia współpraca z niezależnym ruchem polskim upewniła mnie, że Polacy mają do Litwy dużo sympatii i że żaden rozsądny Polak nie wysuwa dziś roszczeń do Wilna (poza niektórymi ludźmi w pokoleniu starszym i najstarszym). Co prawda, byłoby bardzo pomocne w tej sprawie publiczne oświadczenie znanych i odpowiedzialnych działaczy niezależnego ruchu polskiego: rozwiałoby to wiele mitów i rozładowałoby wiele niepotrzebnych napięć.

Niestety przestarzałe kompleksy, niemądre mity i obawy przed wpływami polskimi wciąż istnieją na Litwie, przybierając niekiedy kształty wręcz patologiczne. Są podtrzymywane przez część starszego pokolenia — ludzi skądinąd poczciwych, ale wychowanych w latach międzywojennych w nastroju antypolskim. Są także z lubością rozdmuchiwane przez władze.

Jednym ze wspomnień historycznych, służących podtrzymywaniu kompleksów, jest napięcie między oddziałami Armii Krajowej a ludnością litewską w czasie ostatniej wojny. Niestety fakt ten dotychczas nie został oświetlony w sposób naukowy i obiektywny. We wspomnieniach pisanych oraz ustnych z tego okresu przeważają wypowiedzi stronnicze, legendy i plotki. Osobiście sądzę, że także wtedy błędy były robione przez obie strony.

Obecnie wielu Litwinów uważa Polaków na Wileńszczyźnie za spolszczonych braci, którzy muszą — czy chcą tego, czy nie — powrócić do języka swoich przodków. Nawet gdyby litewskie pochodzenie ich było stuprocentową prawdą — tak jednak nie jest — przymusowa litwinizacja ludzi mówiących po polsku co najmniej od kilku pokoleń jest takim samym niedemokratycznym i niedopuszczalnym procederem, jakim była polonizacja. Nie będę ukrywał, że jako Litwin byłbym raczej szczęśliwy, gdyby niektórzy Polacy, zwłaszcza ci noszący litewskie nazwiska, wybrali język i kulturę litewską, zwiększając tym samym potencjał mojego nielicznego narodu. Ale musi to być procesem ściśle dobrowolnym (zresztą nawet teraz ten proces odbywa się, chociaż w małej skali).

Nie jestem zadowolony, kiedy wileński *Czerwony Sztandar* (który zresztą nie jest pismem polskim, bo jest pismem sowieckim, do tego wydawanym w kiepskiej polszczyźnie) albo jakaś organizacja spod ciemnej gwiazdy występuje przeciwko litewskiemu odrodzeniu narodowemu, prowokuje, podjudza, stara się izolować Polaków od Litwinów. Ale naprawdę przerażają mnie głosy Litwinów — nawet jeżeli nie są liczne — którzy domagają się zamykania szkół polskich, likwidowania zespołów sztuki ludowej, występują przeciwko słusznym postulatom autonomii kulturalnej w okolicach, gdzie przeważa ludność polska, zabraniają niesienia flagi biało-czerwonej na równi z litewską, łotewską, estońską w czasie wielkich demonstracji w Wilnie, publicznie porównują Piłsudskiego do Stalina i Hitlera (co jest rzeczą nie tylko

śmiertelnie obrażającą Polaków, ale także niesamowicie głupią). Przerażają mnie ludzie, którzy sprzeciwiają się dopuszczeniu mszy polskiej w katedrze wileńskiej, ostatnio zwróconej wierzącym w wyniku presji całej ludności kraju. Mówi się o „świątyni narodowej", gdzie powinien brzmieć wyłącznie język litewski. Jest to rzeczą skandaliczną, bo samo pojęcie świątyni „narodowej" jest niechrześcijańskie, przeciwne idei braterstwa oraz wspólnego przyznawania się do wartości ponadnarodowych, uniwersalnych. Walczyliśmy długo o dopuszczenie języka litewskiego do prokatedry sejneńskiej — i wygraliśmy. Czy musimy teraz odwdzięczać się za ten gest Kościoła polskiego gestem wyraźnie wrogim?

Często wyczuwa się w tym wszystkim chęć „odpłacania pięknym za nadobne", „wyrównywania rachunków" z epoki międzywojennej — bo Polacy na Litwie są teraz stroną słabszą. Taka postawa w stosunkach między narodami — tak samo jak w stosunkach międzyludzkich — jest bezpłodna, destruktywna i niebezpieczna.

Jako naród silny — czego dowiedliśmy w roku 1988 — musimy zdobyć się na przyznanie, że Wilno i Wileńszczyzna były przez wiele stuleci — i pozostaną — terenem co najmniej dwukulturowym. Nie jest to powodem do utyskiwań. Wprost przeciwnie, daje to szansę wspólnego wzbogacenia i wymaga solidarności w walce przeciw totalitaryzmowi.

Wiele lat temu pisałem w dwugłosie z Czesławem Miłoszem, że jeżeli kiedyś zacznie się gnębienie Polaków przez Litwinów, będę pierwszym, który powie „nie". Na szczęście nie jestem pierwszym, bo powiedziała to już Liga Wolności Litwy oraz jeden z przywódców ruchu *Sajudis*, mój wieloletni przyjaciel Virgilijus Cepaitis. Więc mówię „nie" — wraz z nimi.

Tomas VENCLOVA

25 stycznia 1989

W sowieckiej prasie

Kiedy niniejszy numer *Kultury* dotrze do czytelników, będziemy obchodzić czwartą rocznicę wyboru Michaiła Siergiejewicza Gorbaczowa na stanowisko generalnego sekretarza KC KPZS. Wybrano go 11 marca 1985 roku. Według amerykańskiej miary upłynęła pierwsza kadencja prezydencka. Uchwalona w grudniu ub. roku poprawka do konstytucji sowieckiej pozwala Gorbaczowowi po (stuprocentowo pewnym) wyborze w kwietniu 1989 na nowe stanowisko przewodniczącego Rady Najwyższej ZSSR zacząć wszystko od nowa. Zgodnie z konstytucją wybrany zostanie na pięć lat, czyli będzie miał prawo do ponownego wyboru na dalszych pięć lat. Za dziesięć lat Gorbaczow będzie liczył dopiero 67 lat, a poprawki do konstytucji tak łatwo wprowadzić, że wszystko dopiero przed nim...

Cztery lata jednak upłynęły. Wypada je podsumować. W pierwszej połowie stycznia generalny sekretarz bezustannie występował: 6 stycznia wygłosił do pracowników nauki i kultury długą mowę pt. „Podwyższyć intelektualny potencjał *pieriestrojki*", 9 stycznia spotkał się z komunistami Moskwy, 13-go przemawiał na zebraniu poświęconym rolnictwu, a 18-go przyjął delegatów Trójstronnej Komisji, w tym Rockefellera, Giscard d'Estaing, Nakasone i Kissingera. „Krótki słownik polityczny" z 1987 roku nazywa Trójstronną Komisję „nieoficjalną organizacją o charakterze elitarnym, skupiającą przedstawicieli oligarchii finansowej, przemysłowych kręgów Stanów Zjednoczonych, kapitalistycznych państw Europy zachodniej i Japonii, ideologów monopolistycznej burżuazji i podporządkowanych jej związków zawodowych". Działalność komisji „Słownik" nazywa „skrajnie reakcyjną, imperialistyczną". Aby rozwiać wszelkie złudzenia, dodaje: „skupia osoby, związane z tajnym związkiem masonów".

Sam fakt, że generalny sekretarz rozmawia z przedstawicielami tak podejrzanej komisji należy wziąć pod uwagę w bilansie gorbaczowowskiej „czterolatki": wynika z niego, że ZSSR potrzebuje natychmiastowej i masywnej pomocy Zachodu. Kolejna fala pogłosek o grożącym Gorbaczowowi niebezpieczeństwie ze strony „jastrzębi", „konserwy" itp. też jest formą apelu o pomoc i zwarcie szeregów wokół *genseka*. Zrodzona (czytaj: przygotowana) w Moskwie obawa o losy Gorbaczowa rozchodzi się po świecie lotem błyskawicy. Nawet *Time* stwierdza w artykule pt. „Chwiejny los Gorbaczowa" (30 stycznia 1989), że słuchy o upadku Gorbaczowa puszczają w obieg ci sami eksperci, którzy niedawno zapewniali, że Gorbaczow wprowadzi ZSSR w XXI wiek.

Przyznaję, że pewne podstawy do obaw o jego „chwiejny los" dał sam Gorbaczow, opowiadając intelektualistom o owocach minionych czterech lat. Generalny sekretarz zaczął dumnie: „*Pieriestrojka* przenika do najszerszych mas narodu, wprawiła w ruch ogromne siły społeczne... Naród opowiada się zdecydowanie za *pieriestrojką*, za odnową społeczną na socjalistycznych podstawach...". W tym miejscu pojawia się i trwa do końca przemówienia ton minorowy. Gorbaczow wyraził to tak: „Wiele z tego, co się dzieje, nas cieszy... wiele jednak niepokoi". Niepokoi przede wszystkim fakt, że zdaniem wielu ludzi program *pieriestrojki* to „błądzenie po omacku" i brak strategii. „Jakbyśmy nie wiedzieli, do czego zmierzać" — skarży się Gorbaczow w odpowiedzi na zarzuty. Tłumaczy się jednak: „Jestem głęboko przekonany, że ogólnie rzecz biorąc obmyśliliśmy i przeprowadzamy *pieriestrojkę* poprawnie". Jeśli coś się nie udaje, to pomyłka zostanie naprawiona. Gorbaczow domaga się prawa do błędu, bo na błędach

się uczymy. Oburza go, że z jednej strony atakują go ludzie, którzy „tęsknią za starymi, dobrymi czasami" i twierdzą, że „kraj potrzebuje twardej ręki", a z drugiej strony ci, którzy „w pewnych dyskusjach twierdzą, że ramy socjalizmu są za ciasne dla *pieriestrojki* i pomału sączą myśl o pluralizmie politycznym, wielopartyjności i nawet prywatnej własności". W tym miejscu wypada nawiasem odnotować odrazę, jaką w Gorbaczowie budzi myśl o prywatnej własności. Uważa ją za straszniejszą od pluralizmu politycznego i wielopartyjności. Krytykując w listopadzie 1988 roku poprawki w estońskiej konstytucji, Gorbaczow szczególnie podkreślał szkody, jakie przyniesie niedopuszczalna w ZSSR prywatna własność [1].

Gorbaczow zwrócił uwagę, że krytyka „z prawa" i napaści „z lewa" niechybnie się spotykają i doszedł do wniosku, że „ci, którzy chcą przerwać *pieriestrojkę*, zaszkodzić jej", biją w partię. W ustach Gorbaczowa jest to bardzo poważne oskarżenie. I słuszne. Spoza zalewu słów, komunałów i tradycyjnych liczmanów da się jednak (powiedzmy, że przy pewnym wysiłku) dostrzec główny kierunek gorbaczowowskiego natarcia. Gorbaczow słusznie oburza się na oskarżenia o „błądzenie po omacku": wie on doskonale, do czego zmierza i wielokrotnie o tym mówił. Przyznaje, że „ekonomiczna reforma nie zaskoczyła", że „mechanizm polityki podatkowej jest niedopracowany", że dla reformy cen trzeba już tylko „wybrać moment i tempo jej przeprowadzenia". Przed sklepami jak zawsze stoją kolejki i „deficyt wielu niezbędnych towarów nie zmniejszył się" (co trochę dziwi Gorbaczowa, bo, jak podkreśla z naciskiem, „poziom spożycia wzrósł").

Z punktu widzenia przywódcy *pieriestrojki* wszystkie wyżej wymienione porażki „przebudowy" są drugorzędne. Udało się przecież najważniejsze, mianowicie reforma polityczna, uchwalona przez XXI Konferencję KPZS. Gorbaczow uważa wręcz, że dzieje *pieriestrojki* dzielą się na dwa okresy — przed konferencją i po. Jak pamiętamy, konferencja postanowiła, że generalny sekretarz KC KPZS będzie równocześnie przewodniczącym Rady Najwyższej. Uchwale o zbieżności tych dwu stanowisk przyświecała zasada rozdziału funkcji partyjnych i państwowych. Gorbaczow formułuje „jedną, najważniejszą myśl: na etapie głębokich przemian bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy silnej pod względem teoretycznym, ideologicznym i organizacyjnym partii...".

Partia jest niezastąpionym „ojcem idei *pieriestrojki* i gwarantem ich praktycznego wcielenia w życie". Wespół z silną partią potrzebne jest „silne centrum". O tym Gorbaczow też mówił już wcześniej. Z jego punktu widzenia potrzeba „silnego centrum" wynika z charakteru sowieckiej gospodarki i z federacyjnej natury państwa sowieckiego. Tylko silne centrum może „zbalansować rynki i uporządkować stosunki finansowe". Sowieccy obywatele — tłumaczy generalny sekretarz — „dobrze rozumieją wagę

1. Patrz: „W sowieckiej prasie", *Kultura* nr 1-2/1989.

stworzonego Związku, jednolitego kompleksu gospodarki narodowej, znaczenie przyjaźni między narodami". Ba, „ludzie pracy są całym sercem za tym, by nie tylko zachować, ale i umocnić i wzbogacić nowymi przymiotami nasze zdobycze w dziedzinie polityki narodowościowej". Ludzie pracy to rozumieją, ale niektórzy przywódcy — nie bardzo. Pozostaje jednak nadzieja: „Naród nie da się omamić". Słowem, silna partia i silne centrum zbawią Związek Sowiecki: „Związek Sowiecki stanowi dziś niepowtarzalne zjawisko w międzynarodowej wspólnocie jako państwo, w którym przy wszystkich komplikacjach i trudnościach tego procesu, przy wszystkich nagromadzonych i nabrzmiałych problemach istnieją naprawdę ogromne, realne zdobycze w dziedzinie rozwiązania kwestii narodowościowej". Nowa definicja imperium sowieckiego brzmi: „Niepowtarzalne zjawisko w międzynarodowej wspólnocie".

Zadowolenie Gorbaczowa z reformy politycznej nietrudno pojąć. Człowiek zbrojny w totalną władzę może sobie na wszystko pozwolić. Każdą uchwałę może odwołać i zamienić na jej przeciwieństwo bez jakichkolwiek wyjaśnień (nawet w atmosferze jawności). W zeszłym roku znaleziono kolejny magiczny klucz do zbawienia sowieckiego rolnictwa: dzierżawę. Zaczęła się kampania: chłopi mogą dzierżawić ziemię od kołchozów i sowchozów, pracować dla siebie, sprzedawać państwu produkty, zacznie się obfitość i szczęśliwe życie. Gorbaczow namawiał chłopów, obiecywał ustawę o dzierżawie na termin dwudziestu pięciu, ba, pięćdziesięciu lat. 12 października 1988 generalny sekretarz zwołał w KC zebranie i nalegał: dzierżawa, dzierżawa, dzierżawa! (*Prawda* z 14 października 1988). Gazeta wydrukowała stenogram zebrania pod nagłówkiem „Rozwijać dzierżawę, przebudować stosunki ekonomiczne na wsi". Minęły trzy miesiące. Odbywa się kolejne zebranie w KC. I ten sam generalny sekretarz tłumaczy, że dzierżawa, owszem, piękna myśl, ale tylko w ramach kołchozów i sowchozów. Okazuje się, że „kołchozy i sowchozy były i pozostają podstawą socjalistycznego rolnictwa, główną osnową, na której zbudowana zostanie trwała podaż żywności". Były i pozostają! Mniejsza o to, że podaży żywności nie było i nie ma. Więcej, po zalewie artykułów i przemówień potępiających kolektywizację jako ludobójstwo i katastrofę gospodarczą Gorbaczow uważa, że „w swoim czasie było historycznie niezbędne — jak to mówią — przycisnąć wieś, sięgnąć do jej źródła dla stworzenia potencjału przemysłowego. Tę okoliczność dyktował określony okres historyczny". Kolektywizacja była więc konieczna. Dziś należy zdaniem Gorbaczowa (wyrażonym 13 stycznia, *Sowietskaja Rossija* z 15 stycznia br.) zachować i umocnić owoce kolektywizacji — kołchozy i sowchozy.

Jaka jest sytuacja w ZSSR, wiadomo i bez Gorbaczowa. On może mówić o udanej reformie politycznej, ekonomiści opisują życie codzienne. Satyryk Michaił Żwanieckij napisał króciutkie opowiadanie pt. „Tak żyć nie można". Opowiadanie zaczyna się słowami: „Nasze życie charakteryzuje jedno zdanie: tak dalej żyć nie można". Dalej pisze: „Jak można, co do tego zdania

są podzielone. Tam, za górami, żyją chyba nieźle, ale tak żyć nie można. Poza tym są z nami wybitni ludzie, którzy twierdzą, że tak, jak tam, my żyć nie możemy, bo skoro raz powiedzieliśmy że nie chcemy tak żyć, to teraz musimy się męczyć, ale słowa dotrzymać". Pada pytanie: „A jest tam co jeść? — Jest. — A jest co na kark włożyć? — Jest. — A wypić jest co? — Jest. To dlaczego nie można tak żyć? Tu rozmówcy pąsowieją, przechodzą na ty...".

Tak jak tu żyć nie można. Tak jak tam — nie wolno. W zamian dadzą *pieriestrojkę* i *głasnost'*. I — ostatnimi czasy — bardzo dużo piszą o Polsce. Od czasów „Solidarności" chyba tyle nie pisali. Z góry uprzedzam, że teraz piszą inaczej. Główne elementy tego, co wypisywano o „Solidarności" i jej przywódcach cytowałem w artykułach, zebranych w książce pod tytułem „W oczach Moskwy" (Instytut Literacki, 1984). Wróg numer jeden z lat 1980-1983, Lech Wałęsa, nie tylko udziela teraz wywiadów pismu *Nowoje wriemia*, chwali go też Jerzy Urban w wywiadzie dla *Prawdy*. *Literaturnaja gazeta*, która w minionym okresie stała w pierwszym szeregu demaskatorów wrogów socjalizmu w Polsce, publikuje artykuł M. Pawłowej-Silwanskiej, która tłumaczy sowieckiemu czytelnikowi tajniki sytuacji w Polsce i mimo woli wyjawia, dlaczego Moskwa darzy dziś Polskę szczególnym zainteresowaniem. Powody są te same co zawsze. Stosunek zmienił się wprawdzie ze zdecydowanie wrogiego na pobłażliwie życzliwy, ale tak czy owak Polska pozostaje dla Moskwy poligonem doświadczalnym. Dziś znacznie bardziej niż wczoraj.

Wybuch „Solidarności" w 1980 roku zaskoczył sowieckich przywódców i ekspertów. Upłynęło sporo czasu, zanim oswoili się z sytuacją i znaleźli wyjście. Dziś widać, że moskiewscy przywódcy wiele się z wydarzeń w Polsce nauczyli, ale w jednej dziedzinie — stosunków z opozycją. Dziś widać też, że naród sowiecki, a zwłaszcza robotnicy, niczego właściwie nie wie o doświadczeniach Polaków. Całkowity brak prawdziwej informacji jest jedną z przyczyn tego stanu rzeczy. M. Pawłowa-Silwanskaja (*Literaturnaja gazeta* z 1 lutego 1989) przyznaje, że informacja była albo fałszywa, albo nie było jej wcale. M.in. zwraca uwagę, że „nasza prasa w swoim czasie nie szczędziła dziegciu dla odmalowania Wałęsy". Dziś można portret osłodzić, bo „Wałęsa się zmienił, co do tego nie ma dwóch zdań". Autorka nie ukrywa przed czytelnikiem sowieckim, że od „buntownika" można „usłyszeć wszystko", w tym i wypowiedzi przeciw komunizmowi. Nie to jednak jest ważne. Ważne jest to, że rozmawiając jak równy z równym z członkiem Biura Politycznego Miodowiczem, Wałęsa „wytknął partii rządzącej Polską, że wprowadza reformy wolniej aniżeli KPZS. Trochę później, we Francji, Wałęsa znów na cały świat powtórzył, że pokłada wszystkie nadzieje w sowieckiej *pieriestrojce* i *głasnosti*, w reformach Gorbaczowa i że będzie się starał nie dopuścić w Polsce do żadnych ekscesów, które zagroziłyby zachodzącym w ZSSR przemianom". Jest oczywiste, że takimi wypowiedziami zasłużył na życzliwy portret w *Literaturnoj gazecie*.

Pawłowa-Silwanskaja pisze: „Stosunek do Wałęsy i 'Solidarności' — to tylko jedna ze stron znacznie poważniejszego i głębszego problemu stosunków PZPR z polską klasą robotniczą". Ma stuprocentową rację, jest to główny problem KPZS i Gorbaczowa. „Dziś widać coraz wyraźniej — pisze dziennikarz A. Miniejew w *Moskowskich nowostiach* z 15 stycznia 1989 — że jeśli radosne procesy, które zaczęły się wiosną 1985 roku, nie zostaną poparte przez środowiska robotnicze, *pieriestrojka* pozostanie błogim marzeniem postępowej inteligencji. Jednak poparcie nie rodzi się automatycznie". Najważniejszym aspektem polskiego eksperymentu jest — dla Moskwy — poszukiwanie nowych „podchodów" (by użyć ulubionego słowa Gorbaczowa) do klasy robotniczej. W Polsce partia wypróbowuje nowe metody budzenia entuzjazmu mas, stymulowania ich chęci do pracy w warunkach socjalizmu. Galicz opisał w jednej z piosenek kata, który będąc na urlopie nad Morzem Czarnym, niezadowolony z fal, marzy o tym, że oddadzą morze w jego ręce, on je zagoni do baraku i z czarnego morze stanie się białe. „Nas tej chemii nauczono, jak sobie radzić z żywiołami", nuci kat. Minęły jednak stare, dobre czasy. Z żywiołami trzeba postępować inaczej. Mieczysław Rakowski oświadczył z dumą w wywiadzie dla *Le Monde* (11 lutego 1989): „Jesteśmy dziś eksperymentalnym polem, którego rozmiary przerastają wszystkie inne kraje". Zadowolony ze swej kondycji królika doświadczalnego premier PRL tłumaczy, na czym polega eksperyment: „Stara socjalistyczna struktura przechodzi proces zrzucania skóry, aby przybrać nową. Okres przejściowy związany jest z tym, co dzieje się w innych socjalistycznych krajach". Prawie sześćdziesiąt lat temu inny polski komunista, Bruno Jasieński, podarował literaturze sowieckiej powieść „Człowiek zmienia skórę". Po aresztowaniu Jasieńskiego w 1937 roku oskarżono go o to, że zmienił skórę, a pozostał wrogiem. Sowieccy krytycy podkreślali, że żmija zmienia skórę, przybiera nową, a pozostaje żmiją.

Ciekawe, co miał na myśli Mieczysław Rakowski. Eksperymenty w Polsce i w Moskwie żywo interesują cały świat, budzą nadzieje ludów zamieszkujących państwa socjalistyczne, w których „tak żyć nie można". Najwybitniejsi zwolennicy Gorbaczowa — uczeni, pisarze, artyści — zebrali swoje artykuły w zbiór, zatytułowany „Inaczej nie można". Innymi słowy, jest tylko jedna droga: reformy, które proponuje Gorbaczow. Samuel Johnson nazywał drugie małżeństwo zwycięstwem nadziei nad doświadczeniem. Widocznie — skoro drugie, a nawet trzecie małżeństwa nie należą do rzadkości — człowiek ma to do siebie, że ignoruje doświadczenie w imię nadziei. Zrobiłem tę filozoficzną uwagę, bo nie daje mi ostatnio spokoju książka, która wyszła w 1984 roku i (w najlepszym przypadku) przeszła zupełnie bez echa. Często się od niej odżegnywano jako od bredni, wymysłów itp. Ja sam o niej pisałem i wyrażałem wątpliwości co do wielu twierdzeń autora. Anatol Golicyn, były oficer KGB, uciekł na Zachód w 1961 roku. Jednak dopiero ponad dwadzieścia lat później znalazł wydawcę na swą książkę.

Punktem wyjścia autora jest plan dezinformacji strategicznej, sporządzony w 1958 roku przez przewodniczącego KGB Szelepina i doświadczonego czekistę Mironowa. Plan obliczony był na dziesięciolecia. Głównym instrumentem strategicznej dezinformacji miała być — zdaniem Golicyna — pseudoliberalizacja reżymu sowieckiego. Historycy dobrze znają liczne „plany", obliczone na wieki i przewidujące zdobycie władzy nad światem. Wystarczy wspomnieć „Testament Piotra I", „Protokoły mędrców Syjonu" itd. Istnieją więc wszelkie podstawy, aby informacje Golicyna traktować z należytą podejrzliwością. Jakże aktualnie brzmią jednak takie słowa: „Wybór Andropowa, zwolnienie z więzienia przywódcy 'Solidarności', zaproszenie papieża przez rząd polski w 1983 roku, wszystko to dowodzi, że komunistyczni stratedzy planują ponowne zalegalizowanie „Solidarności" i utworzenie w Polsce rządu *quasi*-socjaldemokratycznego (koalicja partii komunistycznej, związków zawodowych i Kościoła), a także reformy ekonomiczne w ZSSR w roku 1984 i następnych[2]". Dalej: „Nie należy wykluczać, że na następnym zjeździe partii Andropowa zastąpi młody przywódca o bardziej liberalnym obliczu, który będzie intensywniej kontynuował tzw. liberalizację[3]".

Po śmierci Andropowa w lutym 1984 i krótkim intermedium Czernienki na „kolejnym zjeździe" występował już — zgodnie z przewidywaniami Golicyna — „młody przywódca".

W dalekosiężne plany można wierzyć albo nie, warto jednak zwrócić uwagę, jak idea „liberalizacji" jako panaceum na kryzysy i sposób zmieniania skóry krążyła wśród sowieckich przywódców. Socjolog przewodniczący sowieckiego komitetu obrony praw człowieka (!?) Fiodor Burłacki opisuje w swoich wspomnieniach[4] epokę odwilży, kiedy pracował w KC, pisał przemówienia Chruszczowa, blisko współpracował z Andropowem, który po zdławieniu rewolucji węgierskiej zaczynał zawrotną karierę. Burłacki na swój sposób potwierdza informację Golicyna. W kuluarach KC, w gabinetach Kuusinena, Andropowa, Ponomariowa i nawet Susłowa opracowywano plany remontu stalinowskiego systemu.

Plany, nadzieje, marzenia, obietnice... Są nawet fakty. Wspominałem kiedyś o Kuropatach, gdzie odkopano groby ofiar masowych kaźni w latach 1937-1942. 22 stycznia 1989 pismo *Sowietskaja Biełorussija* opublikowało oświadczenie rządowej komisji, która stwierdziła „fakty masowych rozstrzeliwań". Niewykluczone, że to oświadczenie stanie się prototypem innych (podobne masowe mogiły odkopuje się i w innych rejonach ZSSR), może nawet komunikatu o grobach katyńskich. W każdym razie w oświadczeniu białoruskiej komisji uderza kilka elementów. Przede wszystkim w skład komisji nie wszedł archeolog Zenon Pozniak, który odkrył groby i wiele zrobił, aby ich nie pokryło milczenie.

2. Anatoly Golitsyn, *New lies for old*. Nowy Jork 1984, str. 348.
3. *Tamże*, str. 350.
4. Fiodor Burłacki, „Po Stalinie", *Nowyj Mir* nr 10 (1988).

Po drugie stwierdziwszy, że na przestrzeni około 30-tu hektarów jest 510 grobów (tę liczbę przytacza także Pozniak, który sądzi, że to zaledwie jedna trzecia mogił), komisja doszła do następującego wniosku: „W masywie leśnym Kuropaty pochowano nie mniej jak 30 tys. obywateli". Liczba ta daleko odbiega od obliczeń Zenona Pozniaka, który mówi o co najmniej 250 tys. ofiar. Różnica jest za duża na to, by była przypadkiem. Pozniak, który odkopywał groby, twierdzi, że w każdym leżało średnio 200 trupów. Komisja doliczyła się 50-60 ciał. Straszna sowiecka arytmetyka, w której ofiary oblicza się na „plus minus milion". Jednak wyraźnie widać, że władze chcą pomniejszyć skalę mordów w Kuropatach, gdzie — jak twierdzą autorzy „Oświadczenia" — „przekrój społeczny rozstrzelanych był dość szeroki". Innym ciekawym punktem „Oświadczenia" jest informacja, że „organy NKWD nie sporządzały dokumentów z wyszczególnieniem miejsc kaźni i mogił". Ba, nie ma w ogóle żadnych dokumentów: „W archiwach ministerstwa sprawiedliwości, KGB, MWD, prokuratury BSSR i organów ogólnozwiązkowych nie znaleziono materiałów ani dokumentów odnoszących się do wydarzeń w Kuropatach". Poza tym nie sposób ustalić liczby zamordowanych, uzasadnień wyroków ani nazwisk katów. Ofiary i kaci pozostają więc anonimowi. Mowa jest wprawdzie o „wyjawieniu ponad 40 nazwisk wyższych urzędników NKWD Białorusi", ale „jak ustalono, wielu z nich pociągnięto do odpowiedzialności karnej i rozstrzelano w okresie represji". „Oświadczenie" zawiera tylko cztery nazwiska. Wszystkie ślady zostały w ten sposób zatarte. Przestępców hitlerowskich, nawet najdrobniejszych, KGB szuka znacznie skuteczniej.

Adam KRUCZEK

11 lutego 1989

Kronika niemiecka

Hanzeatyckie miasto Brema było współgospodarzem uroczystości, związanej z 70-leciem odzyskania przez Polskę niepodległości. Poza przedstawicielami działających w RFN (proreżymowych) organizacji polonijnych i licznych *Towarzystw Niemiecko-Polskich*, sterowanych z Warszawy, przybyli zastępca członka *KC PZPR* Manfred Gorywoda i wiceminister Spraw Zagranicznych Bolesław Kulski. ■ Klaus Reiff z bońskiej *Fundacji im. Friedrich-Ebert-Stiftung (SPD)* na łamach warszawskiej *Polityki:* „Możliwości kultywowania języka niemieckiego byłyby (w Polsce — A.J.Ch) jeszcze większe, gdyby w RFN znalazło się więcej sponsorów, którzy wysyłaliby książki bądź opłacali abonament na niemieckie czasopisma. Ci, którzy najgłośniej użalają się nad losem pozostałych w Polsce Niemców, czynią w tej materii najmniej". Swoją drogą w tej sprawie mniejszość niemiecka w Polsce nie wykazuje żadnej inicjatywy. Na przykład nie wydawała żadnych publikacji nieza-

leżnych. ■ Premier Badenii-Wirtembergii Lothar Spaeth, premier Saary Oskar Lafontaine, a także przewodniczący frakcji *Wolnych Demokratów (FDP)* w *Bundestagu* uznali, że przybysze z Polski nie mają żadnych podstaw do ubiegania się o azyl. Dlatego należy usuwać nieproszonych przybyszów poza granice RFN. ■ W *Klubie Niezależnej Myśli im. J. Mieroszewskiego* w Monachium odbyło się spotkanie ze Stefanem Kisielewskim. Na początku popularny Kisiel zaprezentował swój — jak zwykle przekorny — osąd aktualnych spraw w kraju. Hasło Kisiela brzmi: Przez socjalizm do kapitalizmu. Jest on zdania, że wstępne posunięcia premiera Rakowskiego mogą się okazać korzystne dla polskiej gospodarki, a nowy minister przemysłu przynajmniej wie, „jak robić pieniądze". Członkowie i sympatycy *Klubu* starli się z prelegentem w wielowątkowej dyskusji o zasadach działania jednopartyjnego. Interesujące były uwagi o braku w PRL „etosu prywatnego przedsiębiorcy", o tym, że „prywaciarze" okazali się niejednokrotnie najgorszymi wyzyskiwaczami, w mafijny sposób powiązanymi z partią i całym systemem. Kisiel jednak niezłomnie trwał na „prokapitalistycznym" stanowisku i mimo ostrej polemiki nie ustąpił ani na moment... ■ Zachodnioniemiecki *Caritas* przekazał dla szpitala wojewódzkiego w Kaliszu trzy sztuczne nerki. ■ Polskie przedsiębiorstwo spółdzielcze *Hortex* otrzymało pożyczkę w wysokości 29 mln DM. Pieniądze trafią do zakładu w Górze Kalwarii w postaci urządzeń do przetwórstwa owoców i warzyw oraz ich przechowywania. ■ W NRD zakazano po raz pierwszy rozprowadzania jednego z sowieckich czasopism, mianowicie miesięcznika *Sputnik*, który zdaniem władz wschodnioniemieckich nie przyczynia się do umocnienia niemiecko-sowieckiej przyjaźni. Zabroniono także wyświetlania trzech sowieckich filmów, które rozprawiają się z bolszewicką rewolucją i ze stalinizmem. ■ Niemcy Zachodnie udzielą Sowietom 3 mld DM kredytu na modernizację aż 300 zakładów przemysłu lekkiego, głównie fabryk przetworów żywnościowych. ■ Związek Sowiecki przy pomocy dalszych kredytów z RFN zamierza rozbudować sieć kolejową w rejonie Krymu (wybudowanie kolei magnetycznej). Od lata bież. roku zostanie uruchomione nowe połączenie kolejowe na trasie Frankfurt - Moskwa. Przeszkodą w funkcjonowaniu sprawnej komunikacji na tym odcinku jest nadal długo trwający przeładunek w Brześciu n/Bugiem. ■ Współpraca trwa od dawna, ale dopiero pod koniec ub. roku uniwersytety w Moguncji i Warszawie podpisały formalną umowę o współpracy. Umowa przewiduje wspólne przedsięwzięcia badawcze i naukowe, sympozja i konferencje, a także wymianę naukowców i studentów. W umowie klauzula: kontakty będą zależne od funduszy będących w dyspozycji obu placówek. ■ *Dyskusyjny Klub Filmowy* w *Stodole* zorganizował przegląd filmów znanego zachodnioniemieckiego reżysera Volkera Schlöndorffa. Pokazano siedem jego obrazów, m.in. *Coup de grâce, Słomiany ogień, Utracona cześć Katarzyny Blum* (na podstawie powieści Heinricha Bölla) i słynny *Blaszany bębenek* (według Güntera Grassa). ■ Przedstawiciele zakonu joannitów z Hamburga przekazali warszawskim szpitalom leki wartości 300 tys. marek. W Warszawie z dużym zainteresowaniem przyjęto informację o projekcie odbudowy *Szpitala Ewangelickiego* w stolicy Polski. Ponadto zakon joannitów przekazał 100 tys. marek na budowę specjalistycznej kliniki we Włocławku. ■ *Wspólnota Europejska (EG)* poinformowała, że ma zamiar wysłać do Polski pomoc medyczną o wartości 535 tys. dolarów. W Brukseli podano również, że 300 tys. *ECU* (357 tys. dolarów) przeznacza się na zakup sprzętu i materiałów medycznych dla szpitala w Tuchowie w woj. tarnowskim. ■ W zachodnioberlińskiej *Galerie Berinson* odbył się wernisaż malarstwa Andrzeja Worona, który od 1982 roku pełni funkcję docenta w tamtejszej *Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych (Hochschule der Künste)*. Woron ukończył w roku 1979 warszawską *Akademię Sztuk Pięknych*. ■ Cztery polskie i dwadzieścia zachodnioniemieckich organizacji młodzieżowych i studenckich podpisało

w Bonn porozumienie o zasadach współpracy. W marcu bież. roku odbędzie się w Loccum w *Akademii Ewangelickiej* III forum młodzieży Polska — RFN. Zawarte przez RFN i Polskę porozumienia „nie mogą być interpretowane w duchu wysuwania roszczeń terytorialnych". Niemiecka młodzież ma 1 września 1989 roku wziąć udział w manifestacji antywojennej na Westerplatte i odwiedzić b. obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. Wałkowanie tragicznej przeszłości ciągnie się w nieskończoność. ■ *Nagrody im. Adama Rapackiego:* I-sza nagroda prof. Mieczysław Tomala za książkę pt. *Warszawa — Berlin — Bonn 1944-1980;* II-gą nagrodę przyznano za pracę zbiorową pt. *Międzynarodowe czynniki bezpieczeństwa Polski*, wydaną pod redakcją dr. Adama Rotfelda; wyróżnieniem uhonorowano doc. dr. Jana Barcza za książkę pt. *System prawny RFN wobec norm prawa międzynarodowego*, wydaną przez *Wydawnictwo Prawnicze*. ■ Niedawno na samochodowym przejściu granicznym w Zgorzelcu celnicy wschodnioniemieccy pobili polskiego turystę Mariusza K. i uszkodzili jego samochód. Znamienny tytuł notatki o wydarzeniu w warszawskim *Expressie Wieczornym:* „Prawo pięści na granicy z NRD". ■ Ok. 100 tys. polskich studentów, młodzieży i dzieci skorzysta w tym roku z wakacji (połączonych z pracą) w NRD. O 50 % mniej chętnych niż się spodziewano. ■ Pomiędzy Polską a NRD nadal trwa spór o tor wodny w Zatoce Pomorskiej. Rozmowy prowadzone w ramach tzw. komisji mieszanej ekspertów utknęły w martwym punkcie. *Minister Spraw Zagranicznych* Tadeusz Olechowski: „Niezmienną wagę kraj nasz przywiązuje do stosunków z NRD, choć okres stosunków łatwych i bezproblemowych należy już do przeszłości. Wynika to zarówno z międzynarodowej emancypacji NRD, skutków polskiego kryzysu, jak i zarysowujących się różnic w podejściu do koncepcji politycznych i gospodarczych". ■ 400-łóżkowy *Szpital Specjalistycznego Zespołu Gruźlicy i Chorób Płuc* otrzymał czek na kwotę 1.200 dolarów od znanej firmy *Werner Naumann GmbH* z Osnabrück w RFN. Pieniądze te umożliwiły uruchomienie tzw. plazmoseparatora do przeszczepów szpiku kostnego. ■ W Warszawie odbyło się sympozjum polsko-niemieckie (RFN) na temat nowoczesnych technik ochrony powietrza. Spotkanie zorganizowała *Grupa Robocza d/s Procesów Cieplnych, Techniki Spalania i Techniki Ochrony Środowiska*, działająca w ramach Mieszanej Komisji Rządowej PRL i RFN. Działająca od 1982 roku spółka *Saarberg-Hölter-Lurgi* zaoferowała tzw. mokrą metodę odsiarczania gazów spalinowych, która zatrzymuje powyżej 95 % dwutlenku węgla. ■ W zachodnioberlińskiej dzielnicy Tempelhof (Felix Strasse 26) czynna jest we wtorki i piątki polska szkoła. Patronat sprawują *Związek Polaków w Niemczech* i *Polska Misja Wojskowa*. Ponad 20-tysięczna grupa Polaków zamieszkująca Berlin Zachodni przypatruje się biernie poczynaniom „misjonarzy". Mało, przed budynkiem *Misji* ciągłe kolejki w oczekiwaniu na wymarzony paszport konsularny, który ułatwia prowadzenie dzikiego handlu w Polsce. ■ Najpierw dwutygodnik, później miesięcznik *Pogląd*, organ *Towarzystwa „Solidarność"* (Berlin Zachodni), przestał się ukazywać z powodu trudności finansowych. Nieźle wydawane pismo nie znalazło poparcia wśród ok. 250 tysięcy Polaków żyjących w RFN. ■ *Kolońskie Koło Katolików* wysłało do Krakowa w ostatnich latach 170 ciężarówek z żywnością, lekarstwami i odzieżą. ■ Do niedawna istniał biuletyn *Polonik monachijski*, wydawany przez *Związek „Solidarności" Wolnych Polaków w Bawarii*. Redaktor pisma, Jerzy Sonnewend, pokłócił się ze swoją grupą i założył *Nowy polonik monachijski*, korzystając z poparcia i pomocy ks. Jerzego Galińskiego, proboszcza polskiej parafii w Monachium. Podobno inna grupa Polaków żyjąca w stolicy Bawarii zamierza wydawać *Najnowszy polonik monachijski*... O Polakach procesujących się przed sądem w Monachium szkoda pisać. Nie można mówić również o sympatii władz RFN do najnowszych przybyszów z Polski. ■ Kierowana przez ks. Franciszka Mrowca *Polska Misja Katolicka* w Niemczech przeniosła się z Lubeki do

Würzburga (Nikolaus-Frey-Str. 31, 8700 Würzburg). Tam Polaków nie uświadczysz, więc będzie błogi spokój. ■ Wypożyczone z polskiego *Muzeum Narodowego* płótna mistrzów baroku (65 obiektów) wystawiono w Brunszwiku (Dolna Saksonia). Obszerne i dokładne omówienie polskich zbiorów tego okresu ukazało się na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. ■ *Japanische Blumen. Erzählungen und Betrachtungen (Japońskie kwiaty. Opowiadania i rozważania)* Jana Józefa Szczepańskiego z posłowiem Andrzeja Sulikowskiego ukazały się we frankfurckim *Suhrkamp Verlag* (przekład Klausa Staemmlera). ■ Natomiast *Hanser Verlag* w Monachium wydał *Tagebuch 1953-1969 (Dziennik 1953-1969)* Witolda Gombrowicza. Tłumaczył Olaf Kühl. Str. 1062. Cena 98 DM. Z życiem i twórczością Witolda Gombrowicza zapoznał czytelników hamburskiego wielkiego tygodnika *Der Spiegel* Klaus Völker. ■ Rysunki warszawskich malarzy Beaty Kruk-Kajl i Jacka Sawickiego wystawiono w zachodnioberlińskiej *Galerie KIK*. Jest to już szósta wystawa w tamtejszym *Klubie Inteligencji Katolickiej*, wszystkie miały dobry poziom dzięki znawstwu i doborowi spoczywającym w rękach Heleny Szackiej-Bohle. ■ Prof. dr Jacobsen, politolog z Bonn (zbliżony do *SPD*) otrzymał tytuł doktora *honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego*. ■ W dniu 10 stycznia bież. roku zmarła w Berlinie Zachodnim Maria Kurecka-Wirpsza, poetka, prozaik i tłumaczka przebywająca od osiemnastu lat na emigracji. ■ Niezwykle ruchliwa *Księgarnia Polska WAWEL* w Kolonii (Anna i Janusz Łątkowie) urządziła spotkanie ze Stefanem Kisielewskim. Mówił on tym razem o *Polskich paradoksach i realności*. ■ Ostatnie imprezy w monachijskim *Klubie Niezależnej Myśli Politycznej im. J. Mieroszewskiego:* spotkanie z Józefem Teligą, działaczem *Solidarności Rolników Indywidualnych*. Teliga był swego czasu najstarszym więźniem politycznym PRL. W więzieniach komunistycznych przebywał wielokrotnie, jako pułkownik wywiadu *AK*, żołnierz *WiN*, działacz podziemia po 13 grudnia i przedstawiciel *Konwentu Seniorów Niezależnego Ruchu Ludowego*. W *Klubie im. Mieroszewskiego* mówił o swojej niezwykłej biografii oraz o perspektywach rozwoju niezależnego ruchu ludowego na wsi — na razie jest on stanowczo za mały, wieś wymaga więcej pracy, niż gotowi są włożyć w jej obudzenie doradcy z grona Lecha Wałęsy. Następnie odbyło się w *Klubie* (wspólnie z *Solidarnością Wolnych Polaków w Bawarii)* spotkanie i dyskusja, której bohaterem był publicysta niemiecki Alexander Tiplt (spotkanie w języku niemieckim). Jest to postać wyjątkowa i znana (choć niedostatecznie) polskim czytelnikom. Tiplt, urodzony w Polsce Niemiec i podoficer Wehrmachtu w czasie drugiej wojny światowej, wziął sobie za punkt honoru oczyścić Polaków z haniebnego zarzutu, jakoby polscy żołnierze dokonali rzezi na Niemcach (bezbronnych i poranionych) po zdobyciu Monte Cassino. Tiplt od lat wysyła listy, pisze artykuły, wytacza sprawy o zniesławienie (!) ilekroć tego rodzaju pomówienie trafi na łamy prasy zachodniej. Na spotkaniu w *Klubie* opowiadał o swojej ostatniej akcji, w wyniku której sąd niemiecki zakazał rozpowszechniania szkalującej Polaków książki. Wkrótce po tym na spotkanie do *Klubu* przybył Kazimierz Orłoś, autor m.in. *Cudownej meliny* (Instytut Literacki, Paryż 1973) i *Pustyni Gobi* („Puls", Londyn 1983). Fragmenty jego prozy czytali Wojciech Stockinger i Stanisław Załuski. Wywiązała się nader ożywiona dyskusja, czy pisarze emigracyjni względnie niezależni, piszący wyłącznie dla tzw. drugiego obiegu powinni — jeśli dzieje się to bez ingerencji cenzury i bez żadnych kompromisów politycznych i artystycznych — wyrażać zgodę na druk w wydawnictwach państwowych. Głosy na sali były podzielone. Część uczestników spotkania uważała, że dotarcie dzieła do czytelnika jest właściwie najważniejsze i inne argumenty tu ustępują. Nowy sezon 1989 *Klub im. J. Mieroszewskiego* otworzył bardzo niezwykłą imprezą — spotkaniem z Tadeuszem Łomnickim. Ogromna większość widzów i miłośników teatru uważa go za największego współczesnego aktora polskiego. Łomnicki był

lata całe członkiem partii i nawet członkiem *Komitetu Centralnego PZPR*. Po 13 grudnia oddał legitymację partyjną, wycofał się z życie politycznego. Uczestniczył w bojkocie telewizji i radia. Spotkanie w monachijskim *Klubie* było jedną z pierwszych imprez politycznych, w jakich wziął udział po stanie wojennym. Mówiono o posłannictwie artysty, o wychowaniu młodzieży, o repertuarze scen polskich, o bojkocie, o odpowiedzialności aktora nie tylko za kreacje twórcze, ale i za własną postawę. Tadeusz Łomnicki przybył do Monachium ze sztuką Anny Bojarskiej *Lekcja polskiego* i z fragmentami *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza. Współorganizatorem spektaklu była *Polska Misja Katolicka* w Monachium. ■ W styczniu bież. roku przebywał w Bonn z czterodniową wizytą premier Mieczysław Rakowski, zaproszony przez prezydenta RFN Richarda von Weizsäckera na uroczystość z okazji 75-tej rocznicy urodzin honorowego przewodniczącego *SPD* i przewodniczącego *Międzynarodówki Socjalistycznej*, Willy Brandta. Mimo nieoficjalnego charakteru wizyty Rakowski spotkał się nad Renem z całą zachodnioniemiecką elitą polityczną, w tym z kanclerzem Kohlem, ministrami spraw zagranicznych Genscherem i gospodarki Hausmannem, przewodniczącą *Bundestagu* Ritą Süssmuth i szefem *SPD* H. J. Voglem. Premier PRL rozmawiał także z innymi gośćmi zagranicznymi prezydenta von Weizsäckera, w tym z prezydentem Francji Mitterrandem i wicepremierem Izraela Peresem. Aby nadać tej prywatnej wizycie odpowiednią rangę, w dniu odlotu Rakowskiego do Bonn gen. Jaruzelski oświadczył agencji *DPA*, że wyposażył premiera w daleko idące pełnomocnictwa. Jak wynika z rezultatów rozmów, strona polska zrezygnowała z wieloletniego upierania się wobec żądań zachodnioniemieckich — dotyczy to kwestii nazewnictwa miejscowości na Ziemiach Zachodnich i Północnych, opieki nad niemieckimi grobami wojennymi w Polsce, otwarcia w Warszawie *Instytutu im. Goethego* (NRD niesłychanie uczulona w tej kwestii), przekształcenia domu rodzinnego Jamesa hr. von Moltke w Krzyżowej na Śląsku na muzeum niemieckiego ruchu oporu przeciw Hitlerowi, wmurowania tablicy dla uczczenia zamachowca na Hitlera Clausa Schenka hr. Stauffenberga w Kętrzynie, tablicy upamiętniającej niemieckie ofiary obozu w Oświęcimiu. Dla rozwiązania dwóch dalszych problemów — wymiany młodzieżowej, która zgodnie z życzeniami zachodnioniemieckimi nie byłaby rodzajem biura podróży dla zgranych funkcjonariuszy organizacji politycznych i kwestii praw niemieckiej mniejszości narodowej w Polsce — kanclerz i premier postanowili powołać instytucję „osobistych wysłanników". W zamian Bonn zdecydowało się wyrazić zgodę na spłatę kredytu z 1975 roku plus odsetki — razem około 1,5 mld marek w złotówkach i otworzyć nowe, gwarantowane linie kredytowe, jednak tylko na konkretne przedsięwzięcia i na zasadzie rachunku ekonomicznego. Ustalono także kalendarz na rok bieżący — w marcu do Bonn przyjeżdża minister Tadeusz Olechowski, na przełomie czerwca i lipca odbędzie się warszawska wizyta kanclerza Kohla. 23 sierpnia lub 1 września, w 50-tą rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej, do Polski pojedzie prezydent von Weizsäcker. Rok 1989 ma więc być rokiem zbliżenia niemiecko-polskiego, które niektórzy dziennikarze porównują z niemiecko-francuskim i niemiecko-izraelskim. Po fali pierwszej euforii Niemcy zaczęli się jednak zastanawiać, czy porównanie jest stosowne w kategoriach moralnych, skoro Rakowski nie pozostawił wątpliwości, że dla Warszawy pojednanie oznacza przede wszystkim korzystną regulację zadłużenia i dostęp do nowych kredytów.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika kulturalna

Marsz, marsz, Dąbrowska...

Pięciotomowe wydanie *Dzienników** Marii Dąbrowskiej należy w Polsce i w innych skupiskach Polaków za granicą do najbardziej poszukiwanych i najżywiej dyskutowanych lektur. To zainteresowanie i specjalistów, i szerokiej publiczności ma wielorakie przyczyny, w pełni zrozumiałe i uzasadnione. W krótkim sondażu, jaki przeprowadziłam pod koniec grudnia, wypytując różne osobistości intelektualne o ich najciekawsze lektury minionego roku, *Dzienniki* Dąbrowskiej padały kilkakrotnie. Wymienił je między innymi Czesław Miłosz, Krzysztof Pomian i Adam Zagajewski. Ostatni z wymienionych napisał z tej okazji krótki esej dla brytyjskiej prasy literackiej, uważając *Dzienniki* za polską książkę roku.

Zanim spróbuję wyliczyć najważniejsze, moim zdaniem, przyczyny tak wielkiego rezonansu na pośmiertnie wydane dzieło życia Marii Dąbrowskiej, muszę poczynić na wstępie kluczowe zastrzeżenie. Otóż czytając owych pięć tomów powinniśmy być stale świadomi, że nie obcujemy z *Dziennikami* w tym kształcie, jaki nadała im sama autorka. Nie chodzi tylko o zmiany w sensie ilościowym — bo obecne wydanie stanowi mniej więcej jedną czwartą do jednej trzeciej rękopisów. Wiele czynników sprawiło, że dostaliśmy do ręki dzieło w takiej a nie innej formie. Przypomnieć zatem wypada, że Dąbrowska w swojej ostatniej woli stwierdziła, że pełne wydanie *Dzienników* może nastąpić czterdzieści lat po jej śmierci, co wypada w 2005 roku. W tej klauzuli pozostawiła jednak radzie powierniczej, wyznaczonej przez siebie imiennie, swobodę wcześniejszego wydania drukiem części *Dzienników*, nie precyzując jakimi kryteriami należy się kierować, a więc czy przede wszystkim osobistymi, dotyczącymi wpisów o intymnym charakterze o sobie oraz osobach z jej najbliższego otoczenia, czy może względami politycznymi. Przewodniczącym owej rady został profesor Czesław Hernas, zaprzyjaźniony z pisarką od czasów wrocławskich — tj. od lat tuż powojennych. Zespół wyznaczony przez Dąbrowską wyraził zgodę, aby wyborem i przygotowaniem do druku *Dzienników* zajął się Tadeusz Drewnowski, autor ciekawej, lecz wysoce kontrowersyjnej biografii Tadeusza Borowskiego *Ucieczka z kamiennego świata*. Wielotomowe dzieło miało ukazać się dziewięć lat wcześniej, i jego fragmenty ogłoszone w *Twórczości* wzbudziły ogromną ciekawość czytelników. Jednakże ingerencje cenzury okazały się tak drastyczne, że — jak to Drewnowski ujmuje we wstępie do obecnego wydania — ani rada powiernicza, ani on sam nie mogli się zgodzić na tak zniekształconą formę dzieła, dającą mylne pojęcie o całości. W ostatnich latach cenzura instytucjonalna złagodniała rzekomo do tego stopnia, że już można było *Dzienniki* ogłosić bez podejrzeń o pogwałcenie ostatniej woli autorki. Czy jednak wybór dokonany przez Drewnowskiego jest rzeczywiście tak bezstronny, jak tylko można? Osąd jest tu nadzwyczaj trudny bez znajomości manuskryptu, zatem można dowodzić tego w sposób hipotetyczny, posługując się drugorzędnymi materiałami dowodowymi. I tak, skoro Drewnowski tak mętnie i wieloznacznie opisał w swojej książce przyczyny samobójczej śmierci Borowskiego, co miało zapewne wiele wspólnego z jego wplątaniem się w działalność partyjną i ze szczególnymi zleceniami, które mu jakoby powierzono, można przypuszczać przez analogię, że jako redaktor starał się mimo wszystko utrwalić obraz Dąbrowskiej jako zwolenniczki Nowego w powojennej Polsce i podtrzymać jej legendę człowieka lewicy, programowej ateistki i antyklerykałki, zwolenniczki ruchu spółdzielczego w PRL-owskim wydaniu, etc. Zatem mógł ostre sformułowania i ustępy usunąć. A że jest on stronniczym redaktorem, świadczą o tym niektóre przypisy, jakimi całość wydanego dzieła obficie opatrzył. Oto stosowny przykład: w pierwszym odnośniku do Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (tom 3, str. 208) Drewnowski napisał między innymi: ... „Ratując się ucieczką przed gestapo uwięziony przez władze radzieckie, zwolniony w 1942 wstąpił do armii polskiej, z którą przeszedł na Środkowy Wschód; walczył pod Monte Cassino... Współzałożyciel i stały publicysta miesięcznika *Kultura* w Paryżu, zachowujący nieprzejednanie wrogi stosunek do PRL". Otóż pierwsza część tego biogramu w ujęciu Drewnowskiego brzmi eufemistycznie w porównaniu z biografią autora *Innego świata*. Epitet „nieprzejednana wrogość do PRL" nie jest godny literaturoznawcy; to już względy ideologiczne podyktowały redaktorowi takie sformułowa-

* Maria Dąbrowska, *Dzienniki*, t. I-V. Wybór, wstęp i przypisy Tadeusz Drewnowski. Czytelnik, Warszawa 1988, wyd. I, nakład 50.320 egzemplarzy.

nie. Oczywiście, można się zastanawiać nad tym, że może w zamian za ów epitet Drewnowskiemu w ogóle pozwolono na zamieszczenie przypisu o Herlingu i innych osobistościach życia emigracyjnego. Nawet gdyby tak było, nie można stale gdybać i wynajdywać argumenty apologetyczne, a zresztą pójście na kompromis też ma swoje granice. Wreszcie Drewnowski, jak mnie doszły słuchy, wprowadził na własną rękę ostrą cenzurę obyczajową, usuwając z wersji przeznaczonej do druku opis scen erotycznych, jakich ponoć jest w rękopisie bardzo wiele. I na podstawie tych wpisów, które pozostały w wydaniu książkowym można się przekonać, że Dąbrowska umiała o tej sferze swojego życia prywatnego pisać z pasją i otwartością, więc skąd u redaktora takie parafialne, świętoszkowate podejście? Słowem w najlepszym razie pięciotomową księgę należy traktować nie jako wizerunek własny Marii Dąbrowskiej, lecz jej portret mocno retuszowany i poprzycinany. Bo też cenzura (ta z Mysiej) może i złagodniała ostatnimi laty, ale nie na tyle, żeby nie zaznaczyć swojej obecności czterema kreskami ujętymi w nawias kwadratowy. Uważny czytelnik musi więc śledzić owych pięć tomów pod kątem kropek i kresek. Kropkami w nawiasach zaznaczył swoje cięcia Drewnowski. Oba te znaki przestankowe występują szczególnie obficie w dwóch ostatnich tomach *Dzienników*. Nie ujmując nic trudom piętrzącym się przed redaktorem takiego dzieła, bez względu kim by on był, nie podzielam osobiście zaufania, jakim obdarzyła go rada powiernicza. Co nie znaczy, że umiałabym odpowiedzieć na pytanie: a więc lepiej byłoby w ogóle *Dzienników* Dąbrowskiej nie wydawać teraz i czekać do 2005 roku?

Po tym niezbędnym wstępie powróćmy do postawionego na początku pytania: jakie są przyczyny tak wielkiego rezonansu społecznego na pośmiertnie wydane dzieło życia Marii Dąbrowskiej. Otóż najłatwiej odpowiedzieć sobie, że przecież to szacowny klasyk, autorka *Nocy i dni* znajdujących się w spisie obowiązkowych lektur szkolnych, nasza spadkobierczyni tradycji literackiej XIX wieku — Orzeszkowej, Sienkiewicza, epik jakiego już w dzisiejszych czasach nie upatrzysz. To wszystko racja, ale przecież nie na tym tylko polega ciekawość czytelnika, by zobaczyć Dąbrowską prywatnie. I może nie tylko chodzi o autoportret autorki. Trzeba powiedzieć, że Dąbrowska w *Dziennikach* ma także wyraźny rozmach epicki; pisze o sobie, lecz przedstawia zarazem tłum postaci — w sumie jest ich ponad dwa tysiące, wspomnianych jednorazowo lub wielokrotnie. Tym samym jej *Dzienniki* są ważnym dokumentem epoki, dynamicznym zapisem zmieniających się czasów — a chodzi w końcu o kluczowe pół wieku dla historii Polski — i nadzwyczaj interesującym obrazem inteligencji polskiej w latach 1914-1965. Czyli że dla wielu odbiorców pięciotomowa książka jest lustrem, w którym my, Polacy możemy obejrzeć własne odbicie. Ponadto tak się szczęśliwie złożyło, że dwie wybitne pisarki polskie, Dąbrowska i Zofia Nałkowska, prowadziły dziennik od młodości do końca życia. I ten ich dwugłos, który ukazuje się niemal równolegle w wydaniu książkowym, dostarcza kapitalnych materiałów do porównań. W obu dziełach możemy śledzić uwagi i komentarze dotyczące tych samych wydarzeń. Możemy się u obu autorek doszukiwać podobieństw i różnic w percepcji świata oraz siebie, w poglądach estetycznych i etycznych, w nakładaniu masek i zdejmowaniu ich. Temperaturę emocjonalną obu dzieł wzmaga podskórna stała rywalizacja między Dąbrowską a Nałkowską, przypływy wzajemnej sympatii i antypatii, podziwu i zazdrości.

Ciekawe jest też obserwować Marię Dąbrowską w stosunkach z ludźmi. Jej sądy o innych są zmienne i podlegają gwałtownym wahaniom, co jest szczególnie widoczne w odniesieniu do jej wieloletniej przyjaźni z Anną Kowalską, przyjaźni, która — jak się wydaje — na koniec głęboko rozczarowała autorkę *Nocy i dni*. Jeśli jednak polscy czytelnicy z takim pośpiechem rzucili się na *Dzienniki*, to być może dlatego aby w nieco innym sensie odkryć różnicę między Dąbrowską — osobą publiczną a Dąbrowską — osobą prywatną. Sądzę, że przez całe lata powojenne toczyła się w Polsce mniej czy bardziej jawna walka o duszę Dąbrowskiej; innymi słowy społeczeństwo i władza ciągnęły pisarkę każde w swoją stronę, twierdząc, że Dąbrowska jest *ich*. I każdy mógł znaleźć argumenty na poparcie swoich racji. Pytanie to oczywiście wraca w trakcie lektury *Dzienników:* no i jak to jest? *Nasza* jest Dąbrowska czy *ich?* Do czasu opublikowania książki (w ocenzurowanej, powtarzam, wersji), argumentem ostatecznym dla społeczeństwa był katolicki pochówek pisarki, w myśl jej ostatniej woli. Żegnając z prawdziwym żalem pisarkę Polacy nie mogli się powstrzymać w 1965 roku od porozumiewawczego uśmiechu: „Ale ich Dąbrowska urządziła!". By przypomnieć tamten konflikt, sięgnęłam do książki nekrologów Kazimierza Wyki pod tytułem *Odeszli*. I w krótkim szkicu napisanym w dzień po pogrzebie Dąbrowskiej Wyka — uczestnik konduktu — napisał dla *Życia Literackiego:* „Zmiana w scenach naszego widzenia (i zmiana w scenach mojego myślenia) dokonywała się podczas pogrzebu Marii Dąbrowskiej". Krakowski literaturoznawca wykorzystał w tym tekście jako motyw przewodni tytuł opowiadania Dąbrowskiej *Tu zaszła zmiana*, a z kolei ów tytuł jest cytatem z Mickiewiczowskiego przekładu „Snu" Byrona: „Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia". Dla Wyki, który sam określił się jako człowiek niewierzący, ten pogrzeb był jakby symboliczną klamrą spinającą dwie postawy, dwa światopoglądy: tradycję chrześcijańską i humanizm ateistyczny: „W ramach pogrzebu na

koszt państwowy trumnę przeniesiono do Katedry, gdzie odbyła się religijna część całego obrzędu pogrzebowego". I kończy Wyka wzniośle. „Gdziekolwiek w naszej ojczyźnie była za swego życia, gdziekolwiek znajduje się obecnie, Maria Dąbrowska w tym kraju jest zawsze u siebie w domu".

Słynny ten pogrzeb nie ma już dziś tak silnej wymowy, jak w 1965 roku. Wtedy na wieść o testamencie pisarki wielu po prostu zdębiało. — Nawróciła się przed śmiercią? — zadawano sobie pytanie. Otóż *Dzienniki* świadczą raczej o czymś innym: Maria Dąbrowska mogła być zdecydowanie antyklerykalna, mogła krytycznie oceniać Kościół, zwłaszcza przed wojną, mogła wstrzymywać się od praktyk religijnych, ale nie była agnostykiem, jak to twierdzi w ustępie jej poświęconym Miłosz w swojej *The History of Polish Literature*. Słowo „Bóg" często pojawia się na stronicach *Dzienników* i to nie tylko w sensie emocjonalnego dodatku do wypowiedzi. Można by nawet przypuszczać, że gdyby nie wieloletni wolny związek ze Stanisławem Stempowskim, masonem, którego Dąbrowska nie mogła poślubić, jako że żył on w separacji ze swoją legalną żoną, zbliżyłaby się pisarka wcześniej do Kościoła. Ale to są oczywiście hipotezy. Faktem jest natomiast to, że z przyczyn głębszych nakazała, aby jej pogrzeb odbył się w obrządku katolickim, i to zdanie zawarła w dokumencie pisanym wcale nie na łożu śmierci. Otóż była to w jej mniemaniu jeszcze jedna więź z Polską. A niewątpliwie nie było jej obojętne, czy należy do tego narodu pozornie czy też całą sobą. I tu wypada choćby zasygnalizować jeden z głównych wątków *Dzienników*, a mianowicie

Polonocentryzm

Przede wszystkim wypada podkreślić, że pisarka ma nadzwyczaj typowe dla historii literatury polskiej pochodzenie ze zubożałej szlachty, silny związek z ziemią i ze wsią, a z drugiej strony — czarny cień Powstania Styczniowego, w którym brał udział jej ojciec. Jako najstarsza i najzdolniejsza z rodzeństwa zostaje wysłana na studia za granicę, do Szwajcarii i Belgii. Tam młoda Szumska poznaje swego przyszłego męża, Mariana Dąbrowskiego, działacza PPS. I etos pepeesowski jest w jej biografii równie silnie obecny, co idea ruchu spółdzielczego w myśl prac społecznych Edwarda Abramowskiego, jaki na kształtowaniu światopoglądu pisarki mocno zaważył. Nie tylko jego poglądy społeczne zresztą okazały się dla niej tak ważne. Dąbrowska zaczęła prowadzić dziennik zachęcona rozważaniami Abramowskiego na temat psychologii i jego imperatywem otwartości, odsłonięcia się. I stała się rzecz dziwna: to przecież prowadzenie

dziennika sprawiło, że Dąbrowska stała się pisarką. Dlatego wydanie tego dzieła jest tak ważne. I dlatego *Dzienników* nie można na dobrą sprawę określić w całości jako dziennika pisarza. To raczej dziennik stworzył pisarza, a nie odwrotnie. I to pisarza — społecznika. Dąbrowska jest bardzo czułym barometrem polskości. Z nieco naiwnym z początku entuzjazmem przystępuje do grona tych, którzy pragną administrować przyszłym niepodległym krajem. Młoda działaczka opisuje ze wzruszeniem spotkanie z Piłsudskim w Lublinie w 1916 roku. I, jak wielu innych Polaków o zbliżonych poglądach, z niepokojem odnotowuje coraz gwałtowniejsze konflikty w Dwudziestoleciu, staje się też krytycznym świadkiem posunięć Marszałka pod koniec jego życia i jest zdecydowanie wroga sanacji. Lewica przedwojenna z niekłamanym uznaniem przyjęła jej ostrą polemikę społeczną na temat reformy rolnej i radykalizowanie się jej poglądów. Jednocześnie pisarka w słynnym artykule „Doroczny wstyd" napiętnowała getto ławkowe. *Dzienniki* natomiast ukazują jej wysoce ambiwalentny stosunek do Żydów. Z jakąś dziwną dociekliwością i nie bez złośliwości Dąbrowska skrupulatnie odnotowuje, kto z jej otoczenia jest Żydem, a kto nie (często używając angielskiego wyrazu „Jew"). Tę formę powierzchownego osądu ludzi, na podstawie ich przynależności do Żydów lub nie, zachowała i po wojnie. Czasami przybiera to karykaturalne rozmiary: oto pisarka wspomina o koncercie muzyki symfonicznej pod batutą dyrygenta-Żyda, jak tego nie omieszkała zaznaczyć. Otóż ta potrzeba doszukiwania się Żydów, rozpoznawania Żydów, tak zaskakująca w ustach zwolenniczki Postępu i Równości, jest dla mnie jakąś typowo polską cechą, gdzie małość ciągle idzie w parze z heroizmem i wzniosłością. I tak oto wielka indywidualność twórcza, jaką bez wątpienia Dąbrowska była, okazuje się wyposażona w cechy typowego Polaka. Nie chciałabym tego szkicu zamieniać w mocno problematyczny opis cech polskości, ale nie można nie zauważyć u Dąbrowskiej pewnych przymiotów i wad, które razem dają, jak się wydaje, dość charakterystyczny światopogląd polski. Ta sprawa nie dotyczy bynajmniej okresu przedwojennego. I tak na przykład Dąbrowska, która pod koniec lat czterdziestych chyba najdotkliwiej, najprzenikliwiej opisała w *Dziennikach* tragizm rzeczywistości polskiej i bezwzględne przejmowanie władzy, władzy totalnej nad społeczeństwem, kilka lat później — i to kiedy! w 1953-1954 roku — przystępuje mimo wszystko do fałszywej gry z aparatem tejże władzy. Ach tak, ma mnóstwo argumentów na swoją obronę. Pragnie być publikowana, chce utrzymać pewne przywileje niezbędne do życia, nie może żyć bez kontaktu z czytelnikami. Więc nie tylko daje się zmusić do napisania kilku żałobnych zdań na wieść o śmierci Stalina, ale i sama przed sobą udaje, że wyszła z tego z nienadszarpniętym hono-

rem. Co więcej, przyjmuje zaproszenia na Belweder, bywa w Radzie Państwa. W dzienniku odnotowuje, że chce się przyjrzeć temu światu i jej opis tych nowych salonów bywa niekiedy miażdżący. Jednakże nie jest zupełnie odporna na łaski nowych panów; podczas pierwszego spotkania z Bierutem dostrzega „bardzo ładną, czystą w rysunku czaszkę" swego rozmówcy i wdaje się z nim w uwodzicielską pogawędkę. To wszystko można złożyć na karb próżności, rys jakże częsty u artystów, którzy ślicznie śpiewają lisowi, wypuszczając z dzioba ser. Ważniejsze są jednak stopniowe przemiany w światopoglądzie autorki *Dzienników,* zachodzące w owych latach. Dąbrowska nagle rozpaczliwie stara się uwierzyć, że trudności są tylko przejściowe i że wszystko zmierza do świetlanej przyszłości. Te fragmenty dziennika czyta się dziś z niechęcią, wręcz z zażenowaniem. Polacy od swych wielkich pisarzy oczekują nie tylko wielkich książek, ale i wzoru postępowania, niezawisłości sumienia wyrażającego się postawą niezłomną. I tego, co tu mówić, na ogół się nie doczekali, ale może sprawę należałoby odwrócić: to nie tyle i nie tylko pisarze a raczej intelektualiści i artyści w Polsce lat stalinowskich (i później) okazali się dużo podatniejsi na naciski, ba, dopomagali wręcz swoim autorytetem w umacnianiu się władzy. Raczej oni sami byli typowymi przedstawicielami społeczeństwa, *byli takimi samymi Polakami jak inni.* A zatem znajdowała się w tym gronie garstka umysłów niezawisłych i nieprzekupnych, w dużo liczniejszym otoczeniu ludzi stosujących na co dzień barwy ochronne i wzmacniających przyrodzoną człowiekowi dwulicowość, aż stała się ona filozofią praktyczną. No i wreszcie by skończyć z tą pospieszną uproszczoną stratyfikacją, istniała też spora grupa cyników i pewien odsetek zelotów o inkwizytorskich zdolnościach. Oto i odkrycie na użytek domowy z lektury *Dzienników:* ich autorka swoją postawą reprezentowała większość. Powinna być mądrzejsza, bo przecie była intelektualistką? Ależ rozumu jej nie brakowało. Niekiedy jednak nie dostawało jej przymiotów ducha. Już w 1936 roku, pisząc że Polska wchodzi w okres dyktatury wojskowej, która wnet sprzymierzy się z nacjonalizmem, twierdziła że sytuacja jest taka, że trzeba wybrać między dwiema postaciami zła: „komunizmem i militarystycznym nacjonalizmem, i starać się, żeby czarna reakcja, którą oba te kierunki niosą, uwsteczniając rozwój człowieka, była możliwie najmniej czarna". Tymczasem w latach pięćdziesiątych oczytana w pismach zachodnich i periodykach emigracyjnych Dąbrowska coraz bardziej w swoim dzienniku zaciera różnicę znaczeniową między socjalizmem i komunizmem. I coraz bardziej sama sobie stara się dowieść, że przedwojenny socjalizm ma coś wspólnego z socjalizmem Polski Ludowej... Już w mocno zaawansowanym wieku zasłużona pisarka przyjmuje na siebie obowiązek regularnego odwiedzania fabryki warszawskiej, by — jak tego oczekuje władza — napisać produkcyjniak. Tyle, że to co tam widzi, w żaden sposób nie daje się opisać w formie dziarskiej, konstruktywnej prozy dla przykładu i nauki.

Ale nie na tym tylko polega polonocentryzm Marii Dąbrowskiej. Choć jest literatką dobrze znającą języki obce, choć wspaniale przełożyła *Dziennik* Samuela Pepysa i ten dziennik oraz dzienniki braci Goncourtów stawia sobie za wzór niedościgły w swoim dzienniku, to jednak wydaje się, że klasyka polska i historia Polski były jej wiele bliższe. To wyraźne ciążenie ku polskości objawia się również w opisach podróży zawartych w *Dziennikach.* Otóż Dąbrowska jest dużo uważniejszą obserwatorką pejzażu polskiego niż wyglądu obcych miast, niech to będzie Florencja czy Paryż. Wyprawa na wieczór autorski na prowincji, opis chat i krajobrazu, wielce emocjonalny stosunek do ziemi rodzinnej w Kaliskiem, wycieczka nad Gopło, są dużo bardziej szczegółowe i plastyczne niż podróże do obcych krajów. Nawet w Jugosławii szuka pisarka głównie osad polskich. Jest oczywiście oczytana w literaturze światowej, ale nagle zdumiewa jej wysokie mniemanie o twórczości Kraszewskiego. Rosja, może wskutek zabiegów redaktorsko-cenzorskich, niemal w ogóle nie pojawia się jako temat w *Dziennikach.* O wybuchu rewolucji październikowej dowiadujemy się z jednego bodaj zdania. Wojna 1920-1921 jest ledwie wspomniana przez pisarkę, która pragnie w swoim dzienniku dać świadectwo historii, a nie psychologicznych głębi. Z kolei dość dramatyczny opis pobytu we Lwowie na przełomie 1939/1940 roku i ucieczki stamtąd do Generalnej Guberni wiosną przez zieloną granicę albo zaginął albo dla bezpieczeństwa pisarka ten ustęp — jakże ważny — biografii zniszczyła. Dziennik czasów wojny w ogóle rozczarowuje. Dąbrowska wyraźnie obawiała się rewizji, pisała rzadko i posługiwała się omówieniami lub szyframi, koncentrując się głównie na opisie codziennych trudności. I znów — zdumiewa w jej dzienniku skwitowanie opisu powstania w getcie warszawskim w jednym akapicie. Wspominając o śmierci swojej młodszej siostry wskutek gangreny w czasie Powstania Warszawskiego Dąbrowska pisze z rozpaczą, że to zmarła była odważnym, nieulękłym człowiekiem i że ona takich cech nie posiada. To wyznanie jest przejmujące i przypuszczalnie prawdziwe. Odwaga cywilna niekiedy nawiedza Dąbrowską, i tak na przykład autorka *Dzienników* odnotowuje jak złożyła swój podpis pod Listem Trzydziestu Czterech, gdy zgłosił się do niej Jan Józef Lipski. Nie ukrywa też lęku; obawia się, że będzie miała poważne kłopoty po ogłoszeniu podpisów w Radiu Wolna Europa (w tym „przeklętym radiu", jak to ujmuje) i liczy się nawet z możliwością aresztowania. Jej strach okazał się przesadny, ale w końcu należy docenić akty odwagi ludzi lękli-

wych, bo przychodzą im dużo ciężej niż ludziom z natury śmiałym.

Dąbrowska zdradza się w ogóle z dużą antypatią do emigracji i jej środków przekazu, może z wyłączeniem *Kultury*, którą czyta regularnie od początków jej istnienia. Emigracji londyńskiej nie trawi, uważając ją za ośrodek wstecznictwa. I swego sądu o roli emigracji nie zmienia aż do 1956 roku. Nie chcę wcale twierdzić, że jej opinia jest zupełnie mylna, ale są to zdania natury ogólnej, nie zawierające analizy, i trochę przypominają slogany oficjalne. Dąbrowska wychodzi z założenia, że o Polsce mogą się wypowiadać tylko ci, którzy na miejscu przeżyli wojnę. Gdybyśmy tak uważali, nie wolno by się nam było wypowiadać o Napoleonie czy Cezarze. Więc jest to argument niezbyt przekonywujący. I tu dochodzimy do drugiego nurtu czy wątku *Dzienników*, jaki pozwolę sobie zbiorczo nazwać

Złudzenia

Oczywiście, młoda kobieta, która wpisy do dziennika zaczęła w czasie pierwszej wojny światowej, nie jest tożsama z ponad siedemdziesięcioletnią głośną pisarką, podobno rozpatrywaną do Nagrody Nobla, pragnącą zostawić świadectwo „czasom oniemiałym". Dąbrowska stara się być uczciwa, i wielokrotnie w trakcie przepisywania *Dzienników* nie tyle na nowo redaguje niektóre spostrzeżenia (to czyni bodaj bardzo rzadko), co dopisuje swoje uwagi po latach na marginesie. I najczęściej te uwagi sprowadzają się do następującego zdania: Jakże się wtedy myliłam! Jakże się wtedy łudziłam! Dotyczy to zarówno oceny zjawisk politycznych jak i życia osobistego. To racja, że uczymy się do końca dni naszych i powyższe uwagi raczej budzą sympatię do pisarki niż lekceważenie. Ale z drugiej strony od intelektualisty oczekujemy przenikliwości, dojrzałości sądów. Otóż wyrażę się może niezbyt szarmancko o szacownym klasyku, gdy powiem, że w moim mniemaniu dość często Dąbrowska ulegała utopijnym złudzeniom, że miała zbyt duże zasoby idealizmu. Należała do tych, którzy Postęp traktowali z nabożną czcią. Może dlatego tak szybko zaczęła dostrzegać w powojennym polskim porządku pozytywne cechy, jakby na przekór temu, co mówiły jej oczy, książęta zmysłów, jak to ujął Zbigniew Herbert w „Potędze smaku"... Może też w ogóle potrzebowała programów pozytywnych, czego nie należy zbywać wzruszeniem ramion w naszych cynicznych czasach. Napisała w sierpniu 1935 roku: „Przewiduję, że nadchodząca wojna będzie w całym tego słowa znaczeniu wojną światową... [ale] po olbrzymim zamieszaniu i zniszczeniu dadzą tu początek nowej, z gruntu odmiennej, a kto wie czy nie rozsądniejszej cywilizacji". Stało się, jak wiadomo, nieco inaczej. Nie jest to jedyna z błędnych hipotez. Ale wydaje się, że myślenie Dąbrowskiej jest ukierunkowane dychotomicznym podziałem na dobro i zło. Gdy pisarka dała się namówić na wstępniak do prasy literackiej pod tytułem „W trzynastą rocznicę najazdu" i usłyszała z tej okazji parę gorzkich słów od przyjaciół, tłumaczy się przed samą sobą: „Wielu mnie potępia. Ale umarłabym bardzo prędko, gdybym odwróciła się od wszystkiego plecami. Nie potrafię żyć w absolutnej negacji. Kocham każdą rzeczywistość w tym, co mi się zdaje w niej dobre. Nienawidzę każdej w tym, co w niej złe". Ale nawet ta zręczna sentencja nie daje jej spokoju. Zdaniem jednego z przyjaciół, straciła tym artykułem „cały autorytet moralny". Dąbrowską to ogromnie irytuje i jej komentarz jest tym razem, delikatnie mówiąc, niemądry: „Nikt wybitny go [czyli autorytetu moralnego] w Polsce nie miał". I znów rozwija myśl o dualistycznym rozdziale świata na „najczarniejszą reakcję, która, jak się wydaje, jest istotą Polski, i Polskę w końcu zgubi", oraz na takich jak ona, którzy widzą jednak światełko Postępu. Te złudzenia są jakby skutkiem pewnej niedojrzałości intelektualnej, i piszę tę uwagę z niejakim zażenowaniem. Pierwsze dwa tomy *Dzienników*, obejmujące lata od początku pierwszej do zakończenia drugiej wojny światowej, zawierają zaledwie fragmenty świadczące o prawdziwie głębokiej przenikliwości autorki *Nocy i dni*. Owszem, jej uwagi o nadciągających czasach kataklizmu i nieuchronnych zmianach datujących się od pierwszej wojny światowej zasługują na zapamiętanie. Jednakże dopiero w trzecim tomie, po ochłonięciu z radości po zakończonej wojnie, Dąbrowska formułuje naprawdę ważne sądy o rzeczywistości. Jest wtedy człowiekiem dojrzałym i jako intelektualista i w życiu prywatnym. Chlubi się tym, że jej uniwersytety to są „partnerzy mojego życia". Pod ich wpływem, twierdzi Dąbrowska, powstały jej utwory. Uważa, że lepiej dobierała sobie partnerów życia niż Nałkowska. Ale dziwne, że wieloletni związek ze Stanisławem Stempowskim w jej opisie w *Dziennikach* jest w bardzo małym stopniu historią związków intelektualnych. Pod tym względem dużo większy wpływ, jak się wydaje, wywarł na pisarkę wieloletni kontakt osobisty i korespondencyjny z synem Stanisława, Jerzym Stempowskim. Również przyjaźń z Anną Kowalską nie ma tego wymiaru wtajemniczenia intelektualnego, a z czasem Dąbrowska odnotowuje, że „w tak zwanych sferach nazywano ją [moim] zły. duchem".

Dąbrowska zapisała też wiele złudzeń, a może pobożnych życzeń co do niektórych mężczyzn z jej otoczenia. Uważa na przykład, bez przekonywujących dowodów, że jej kolega jeszcze z czasów PPS-owskich, Juliusz Poniatowski, skrycie się w niej kochał. Sądzić można, że było akurat odwrotnie. Skwapliwie

przyjmuje komplementy pod adresem swojego wyglądu. A wedle naocznych świadków, urodziwą kobietą nie była. Ola Watowa która ją znała i kilkakrotnie spotkała po wojnie w Warszawie nie pozostawiła złudzeń: Dąbrowska wyglądała jak stara dziewczynka, miała silnego zeza i niezgrabne nogi. Ubierała się podobno bez gustu. Tymczasem pisarka odnotowuje w dzienniku, że w wieku lat sześćdziesięciu chwalono ją za młode, jędrne ciało i daje do zrozumienia (Drewnowski chociaż to przepuścił), że jej życie erotyczne nie skończyło się bynajmniej w wieku emerytalnym. I w tym miejscu dochodzimy do tematu, który nazwę umownie

Babskość

Dzienników Dąbrowskiej, dodając od razu, że widzę w tej cesze pewne zalety, a przynajmniej autentyzm. Pisarka lubi wbijać szpilki, bardzo uważnie obserwuje inne kobiety, a jej opis wizyty u prezydenta Tito z Anną Kowalską w czasie podróży po Jugosławii jest nieprzytomnie śmieszny. Kowalska przysiadła na torbie, która pod wpływem jej potężnej tuszy wciśnięta została w szczelinę w fotelu między oparciem a siedzeniem. Niezręczna sprawa: Kowalska zbiera się [do] wyjścia, a tu torby nie ma. Jej znalezienie nastręczyło wiele trudności dyplomatycznych, a wszystko to, dodaje Dąbrowska pod adresem przyjaciółki, z powodu stu kilogramów z okładem.

Bo *Dzienniki* są mieszaniną spraw wzniosłych i przyziemnych, opisem śmierci bliskich i gotowania zupy, zakupu czeczotowych mebelków i wydania *Nocy i dni,* wyjazdu na wieś i przebiegu zebrań w Związku Literatów, na przykład tego, na którym w 1950 roku hunwejbinka Kierczyńska groziła, że wyciągnie pisarzy z „okopów milczenia", albo tego, na którym Jerzy Andrzejewski zemdlał ze strachu wygłaszając pean na cześć Dąbrowskiej, bowiem nie wiedział, czy już ją można chwalić, czy jeszcze znajduje się ona po drugiej stronie barykady. Pisarkę interesują ludzie, ich sposób mówienia. Podsłuchuje swoje gosposie, by odnotować styl ich wyrażania się. Na odczytach i wieczorach autorskich „w terenie" porywa ją żywioł ludzki. Wreszcie z tych nielicznych ustępów, które w obecnej edycji zostały, można zorientować się, że była Maria Dąbrowska obdarzona dużym temperamentem i zmysłowość była jej silną cechą. Scena miłosna z mężem tuż przed jego śmiercią jest doskonałym opisem w polskiej literaturze, gdzie słownictwo erotyczne jest na ogół albo wulgarne albo anatomiczne. A romansów miała autorka *Nocy i dni* więcej, niż można było przypuszczać. Z *Dzienników* dowiadujemy się też, że była bezdzietna z powodu niepłodności, a nie z wyboru,

i że wcale nie miała tak „wyzwolonych" poglądów na wolne związki, jak można sobie było wyobrażać. Chciała być żoną Stempowskiego, ale przecież, gdy mu to oświadczyła na wieść o śmierci jego legalnej żony, Stempowski tej samej nocy sam zmarł.

Pozostaje jeszcze wiele wątków do omówienia w tej książcerzece, liczącej ponad dwa tysiące stron i ilustrowanej doskonale dobranymi fotografiami archiwalnymi. I tak oddzielny temat stanowiłby obraz środowiska literackiego w oczach Marii Dąbrowskiej, jej przyjaźni, animozji, frontów, gier i zabiegów, dopasowywania sobie drugiej twarzy, walki i (częściej) kompromisów z cenzurą, kontaktów z notablami, którzy trzęśli środowiskiem artystów i w ogóle całym społeczeństwem. Wspomnieć tu zatem wypada o wysokiej opinii, jaką Dąbrowska miała o pisarstwie Marka Hłaski, a przecież oboje reprezentowali tak całkowicie odmienne poglądy etyczne i estetyczne. Warta jest odnotowania jej chwiejna przyjaźń z Iwaszkiewiczem, sympatia, jaką darzyła Żukrowskiego (ale to było dawno temu), oceny Putramenta. Bardzo zabawny jest portret Miłosza w ujęciu Dąbrowskiej. Wydaje się zresztą, że pisarka była niemal głucha na poezję — jej domeną pozostawała proza i jeszcze raz proza. Ale przecież nie o plotki, choć czasem smakowite, chodzi tu przede wszystkim. Zakończę zatem tak:

Dzienniki Marii Dąbrowskiej, w dużo większym stopniu niż jej twórczość *stricte* literacka czy też fabularna, ukazują skomplikowaną naturę pisarki, ale zarazem — paradoksalnie — przedstawiają nam do pewnego stopnia typową postawę inteligenta polskiego, z jego niewątpliwymi zaletami i idiosynkrazjami. Wzniosłość ociera się o trywialność, powszedniość sąsiaduje z wielkimi zrywami. Autorka zapisała gdzieś, że istotna wartość Polski jest między wierszami. Można by to było powiedzieć również o obecnym wydaniu jej *Dzienników.* A na całość, cierpliwości, poczekamy tylko 16 lat. Zleci jak z bicza trzasł.

Renata GORCZYŃSKA

ZOJA JURIEWA

Nakładem wydawnictwa „Russian Language Journal" ukazała się księga pamiątkowa „Studies in Slavic Literatures and Culture" dedykowana profesor Zoi Juriewej z okazji jej przejścia na emeryturę. Zoja Juriewa urodziła się i wychowała w Polsce, gdzie uczęszczała do szkół rosyjskich w Brześciu i w Warszawie. Na Uniwersytecie Lwowskim była uczennicą polskiego filo-

zofa Romana Ingardena. Na skutek wydarzeń wojennych kontynuowała studia w Monachium i Stanach Zjednoczonych. Od 1959 roku wykładała na amerykańskich uniwersytetach, w tym dwadzieścia osiem lat na Uniwersytecie Nowojorskim.

Na polu pracy naukowej Zoja Juriewa wyróżniła się pracami z zakresu literatury rosyjskiej i polskiej. Jej monografia o twórczości Józefa Wittlina jest jedynym tak obszernym opracowaniem dorobku tego pisarza. Prof. Juriewa poświęcała uwagę związkom literatury polskiej i rosyjskiej. Między innymi przełożyła na język rosyjski i wydała tom poezji Kazimierza Wierzyńskiego, a także przetłumaczyła na język polski wiele utworów Mandelsztama i Pasternaka.

Wśród 27 prac naukowych, z których składa się księga pamiątkowa, dwie są poświęcone literackim i kulturalnym związkom polsko-rosyjskim. Są to: „The Polish Chapter in the History of Petersburg's Musical Life in the 19th Century" prof. Leona Błaszczyka oraz „L. N. Tolstoj and Edward Abramowski on Art: Two Opposite Views?" prof. Zbigniewa Folejewskiego. Są tam też prace dwóch polskich studentek prof. Juriewej, „Three Great Romans in Brjusov's Poetry" Anny Frajlich-Zając i „The Portrait of the Russian Romantic Heroine" Agnieszki Perlińskiej.

STANISŁAW VINCENZ 1888-1988: KONFERENCJA W LA COMBE

Stanisław Vincenz przybył do Francji w roku 1946 osiedlając się w Grenoble, a publikując przeważnie w *Kulturze*. W Instytucie Literackim w Paryżu ukazał się też w roku 1965 tom jego szkiców „Po stronie pamięci", jedyny ogłoszony za życia autora. Nie w Grenoble jednak ani w Paryżu, lecz w niewielkiej wiosce podgórskiej La Combe pod Grenoble, w której pisarz spędzał od roku 1950 aż po rok 1968 długie miesiące letnie, miała miejsce uroczystość upamiętnienia setnej rocznicy jego urodzin. Odbyło się to w formie niewielkiej konferencji międzynarodowej, urządzonej przez miejscową gminę z inicjatywy mera, przy współpracy polonisty z uniwersytetu w Grenoble, Claude'a Kastlera. Konferencja zgromadziła około trzydziestu uczestników, w tym szereg osób, które znały pisarza lub nawet uważają się za jego uczniów. Do nich należy też mer La Combe, Paul Perroud, fizyk nuklearny, który w słowie wstępnym wspominał swe długie rozmowy ze zmarłym pisarzem, oraz trzej następni mówcy: Jeanne Hersch z uniwersytetu w Genewie mówiła o Stanisławie Vincenzie jako człowieku i filozofie, Eliane Thiercelin z Conflans pod Paryżem jako o przyjacielu i wychowawcy, a wreszcie Peter Marbach z Thun (Szwajcaria) na podstawie listów i notatek z rozmów swego niedawno zmarłego brata Johna przedstawił Vincenza jako człowieka dialogu. Następnie Jędrzej Bukowski z uniwersytetu w Grenoble (CNRS) zajął się analizą językową pewnych aspektów „Na wysokiej połoninie". Szczególnie warto podkreślić gest przyjaźni, jakim była obecność młodego badacza węgierskiego z Budapesztu, Csaby Gy Kissa, który przybył specjalnie do Francji, aby wygłosić swój tekst poświęcony esejom węgierskim Vincenza, jako próbie wczucia się w „krajobraz" duchowy narodu, próbie równie aktualnej dziś jak w chwili ich powstania.

tor.

Ci, co odeszli

Maria Kurecka

10 stycznia 1989 roku zmarła w Berlinie Maria Kurecka-Wirpsza, tłumaczka, krytyk literacki, prozaik, poetka.

Urodziła się 20 lipca 1920 w Płocku. Córka Aleksandra Kureckiego, spedytora, i Janiny z Waśniewskich, nauczycielki, od sierpnia 1920 do września 1939 mieszkała z rodzicami w Gdańsku. Egzamin dojrzałości zdała w gimnazjum Sióstr Niepokalanek w Szymanowie pod Warszawą. Po wybuchu wojny studiowała na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Brała udział w Powstaniu Warszawskim jako sanitariuszka. W 1945 wyszła za mąż za Witolda Wirpszę. W roku 1947 debiutowała jako tłumaczka przekładem fragmentu „Dżumy" Camusa. W 1961 wraz z Witoldem Wirpszą uzyskała nagrodę ZAIKS-u za przekład „Doktora Faustusa" Tomasza Manna, a w 1967 nagrodę tłumaczy niemieckiej Akademie für Sprache und Dichtung w Darmstacie. Od 1954 była członkiem PEN-Clubu. Od 1970 mieszkała wraz z Witoldem Wirpszą w Berlinie. Na berlińskim FU (Freie Universität) ukończyła studia romanistyczne i bibliotekoznawcze.

Nie pora teraz na ocenę Jej rozległych i wszechstronnych dokonań twórczych. Ufam zresztą, że zrobią to niebawem ludzie bardziej kompetentni.

Poznałem osobiście Panią Marię niedawno, w 1983 roku, właśnie w Berlinie Zachodnim. Kontakt z domem Wirpszów, a po śmierci Pana Witolda w 1985 z Panią Marią, pozostawał jednym z bardziej ewidentnych wyznaczników przynależności do tej społeczności, którą można nazwać „polskim Berlinem".

Pani Maria była i mędrcem, i nauczycielem, i trochę matką a zarazem — w zależności od sytuacji i okoliczności — przemieniała się we wspaniałą koleżankę. Miała bowiem ten rzadki zaiste dar swobodnego, naturalnego przenikania w kontaktach osobistych barier wieku (dzieliła nas różnica pokolenia), wiedzy, doświadczenia. I posiadała, do końca, wielki dar młodzieńczego entuzjazmu. Ujawniało się to szczególnie, gdy przedstawialiśmy jej nasze, jakże często nierozważne i niedowarzone, plany i po-

mysły. Tak było przed laty z miesięcznikiem literackim *Archipelag*. Tak też było przed rokiem przy narodzinach kwartalnika berlińskiego *Słowo*. Pani Maria była wówczas już bardzo chora, słaba, szczupła i blada, lecz ożywiła się, zaraz była cała po mojej stronie. Cieszyła się jak dziecko, że oto powstaje nowe polskie czasopismo na emigracji. Dyskretnie dawała rady. I natychmiast mnie wsparła. Teraz wiem, jakim kosztem. Pisała wtedy swoje wspomnienia. Bardzo się spieszyła. Wiedziała, że czasu ma mało. Dziś wiemy, jak okropnie mało Jej tego czasu było dane. A ja miałem prośbę prozaiczną, zgoła niestosowną. Potrzebne mi było szybkie przełożenie na niemiecki streszczenia 1-go numeru *Słowa*. Poprosiłem o to Panią Marię. Przekład był gotowy błyskawicznie. Może kosztem kilku kart wspomnień?

Ostatnio mieszkaliśmy blisko siebie. Bywałem zatem dość częstym gościem w tym mieszkaniu zapełnionym tomami książek w starej berlińskiej kamienicy przy Alt Moabit. Zawsze skromne życie Wirpszów nie było wolne na obczyźnie od trosk zasadniczych. Pani Maria jeszcze w ostatnich miesiącach życia gnębiła się widmem konieczności przeprowadzki, bo dom przeznaczono do rozbiórki. Szarpała się więc w śmiertelnej chorobie uczestnictwem w zebraniach lokatorów, próbujących zmienić decyzję o wysiedleniu. Sytuacja była kafkowska, bo stuletni dom stoi w doskonałym stanie i stać może jeszcze następne sto lat. Wspominam o tym, aby skonstatować, że w takim stanie i sytuacji wykazała się jeszcze jednym nader rzadkim darem. Oto świadomość i doświadczenie zbliżającej się śmierci zdołała literacko przetworzyć. Zaowocowało bardzo pięknymi wierszami. Jeden z nich, „Zmierzch", przeczytałem już po Jej śmierci w styczniowo-lutowym numerze *Kultury*. Pani Maria łączy się tam tęskniącą pamięcią z Witoldem Wirpszą.

17 stycznia 1989 roku trumna z Jej ciałem spoczęła na zachodnioberlińskim cmentarzu Ruhleben w pobliżu grobu Witolda Wirpszy.

Pogrzeb Jej powinien być — biorąc pod uwagę dokonania dla polskiej kultury i dla zbliżenia polsko-niemieckiego — niezwykle uroczysty. Jeżeli prawdą jest, że każdy ma taki pogrzeb, na jaki sobie zasłużył — to cichy i skromny pogrzeb Marii Kureckiej to potwierdził. Nie znosiła wszelkich oficjalnych uroczystości. Najbardziej lubiła intymne, kameralne spotkania. Taki też miała pogrzeb.

Andrzej SZULCZYŃSKI

Berlin, 28 stycznia 1989 r.

Płk Tadeusz Boguszewski

Dnia 28 czerwca 1988 zmarł w Los Angeles, USA, po długiej chorobie, w wieku 82 lat płk Narodowych Sił Zbrojnych Tadeusz

Boguszewski (pseudo Wacław III, Bielecki). Przed wojną był oficerem służby stałej i przez dziesięć lat był w 4 Pułku Piechoty Legionów w Kielcach, w którym kontynuowane były tradycje 2-giej Brygady Legionów z okresu pierwszej wojny światowej. W czasie kampanii wrześniowej został 21 września 1939 ciężko ranny i po wyleczeniu zdołał uniknąć niewoli niemieckiej.

Pomimo, że Boguszewski nie należał przed wojną do Obozu Nar.-Rad. i uważał się za piłsudczyka, już wiosną 1941 wstąpił do Związku Jaszczurczego zainicjowanego przez ONR, gdzie został szefem Oddz. Op. K-dy Gł., będąc jedynym zawodowym oficerem w tej komendzie. Potem przez rok (wrzesień 1941-wrzesień 1942) był k-tem Okręgu Kraków ZJ. Kiedy ZJ połączył się z tą częścią NOW (Narodowa Organizacja Wojskowa), która nie podporządkowała się ZWZ, tworząc NSZ, Boguszewski znowu objął szefostwo Oddz. Op. w K-dzie Gł. Przez pewien czas, kiedy płk dypl. Kurcjusz był k-tem gł. NSZ, Boguszewski był z ramienia NSZ członkiem Komitetu Wykonawczego tajnej, nadrzędnej Organizacji Polskiej.

Boguszewski odrzucił sugestie przejścia do AK.

W czasie wybuchu powstania Boguszewski był w Warszawie najwyższym stopniem oficerem NSZ i wywarł zasadniczy wpływ na decyzję wzięcia udziału oddziałów stołecznych NSZ w powstaniu.

Po upadku powstania zdecydował się iść do niemieckiej niewoli. Od jesieni 1945 był na stażu w 2-gim Korpusie, ale pod koniec maja 1946 przybył do Niemiec i wstąpił do Oddziałów Wartowniczych przy 3 Armii Amerykańskiej. Był zwolennikiem osiedlania się demobilizowanych żołnierzy Oddz. Wart. nie we Francji, a w Stanach Zjednoczonych, dokąd udał się sam w październiku 1949. Osiedlił się w stanie Illinois, gdzie pracował w szpitalnym laboratorium.

We wrześniu 1957 uprzedni d-ca NSZ, płk Oziewicz, wyjeżdżając z Francji do kraju, upoważnił Boguszewskiego do reprezentowania NSZ, z zadaniem zweryfikowania żołnierzy NSZ przez władze RP, czego nie zdołał on osiągnąć. W 1961 funkcję tę przekazał Boguszewski ppłkowi NSZ Marcinkowskiemu, przebywającemu w Kanadzie. (*Nota bene* dopiero dekret Prezydenta RP na Wygnaniu z 1 stycznia 1988 wprowadził ograniczoną rehabilitację żołnierzy NSZ).

W latach 60-tych Boguszewski doprowadził wraz z innymi NSZ-towcami, do wydania trzech *Zeszytów do Historii NSZ* (Chicago, 1961-1969), czym przyczynił się poważnie do pozostawienia śladu po działalności środowiska NSZ.

Z. S. SIEMASZKO

3 lutego 1989.

Polemiki

Gra z szulerem

Tekst Jana Nowaka „Drogi do wolności" został nadany przez RWE. Znaczy to, że uznano go za ważny i warty propagowania, gdyż powinien mieć wpływ na postawę Polaków. Został też przedrukowany w gazetach polskich na emigracji, a wychodzące w Toronto *Echo Tygodnia* opatrzyło go nawet własnym wielkim tytułem „Czy strzelać do czerwonego?" (nr 321/1988). Pod tym tytułem redakcja zamieściła spore zdjęcie Józefa Piłsudskiego, który jak wiadomo w 1920 roku odpowiedział twierdząco na to pytanie. Piłsudskiemu nie przychodziło do głowy, aby rozmawiać „jak Polak z Polakiem" z towarzyszami Dzierżyńskim i Marchlewskim. Nie dostał też pokojowej nagrody Nobla, a jedynie buławę marszałkowską za zwycięstwo nad Sowietami. Aby jednak nie przyszły nam do głowy niestosowne myśli, redaktorzy wydrukowali też dwa zdjęcia komunistycznych czołgów. Stosunek sił dwa do jeden na naszą niekorzyść. Wniosek? Nie należy strzelać do czerwonego. W ten obrazowy sposób redakcja *Echa Tygodnia* poparła Nowaka.

Jan Nowak przypomniał w swoim tekście drogę do niepodległości przed 1918 rokiem. Istniały wówczas dwie orientacje, Dmowskiego i Piłsudskiego, wzajemnie się zwalczające i równie — zdaniem Nowaka — pomocne w dziele odzyskania niepodległości.

Dziś jest inaczej. Polacy w obawie przed klęską i wykrwawieniem się porzucili myśl o rebelii i rozważnie, unikając frontalnej walki z komunistami, osiągają dobre rezultaty „naciskając" na PZPR. Mamy więc obecnie tylko jedną słuszną drogę do wolności, chociaż „z natury rzeczy to bezkrwawe zwycięstwo nie mogło być pełne". Pomijając pytanie, czy zwycięstwa rzeczywiście były bezkrwawe (Poznań 1956 i grudzień 1970 temu przeczą) można się zgodzić, że nie było w Polsce wojny, jak np. w Afganistanie.

Niestety ten piękny obraz mącą Nowakowi „elementy radykalne". „Krystalizuje się nowa orientacja, która odrzuca walkę o poprawę sytuacji w ramach istniejącego systemu" — Nowak ma na myśli system komunistyczny. Wynika to — jego zdaniem — z drastycznie i szybko pogarszającej się sytuacji społecznej i gospodarczej, co niewątpliwie jest winą „systemu", ale także z marnych rezultatów „walki o poprawę w ramach systemu".

Zdaniem Nowaka ta sytuacja jest bardzo niebezpieczna, bowiem „radykałowie" umyślili sobie „obalenie rządu" — Nowak nie dodaje, że komunistycznego — wypędzenie Sowietów z Polski i ogłoszenie niepodległości. Jest to zamiar nierealny, nierozważny i co gorsza — ubolewa Nowak — zyskuje poparcie młodzieży.

Jan Nowak twierdzi, że odkrył zamiary „ekstremistów" w rozmowach z ich przedstawicielami, gdy gościł ich w USA. Mogę się tylko domyślać, o kogo chodzi. W Stanach Zjednoczonych byli ostatnio Gwiazda, Moczulski, Morawiecki i niżej podpisany. Trudno mi zgadywać, co Nowakowi powiedzieli inni, wiem jednak ponad wszelką wątpliwość, że Moczulski odrzuca walkę zbrojną i przekonuje do działań pokojowych w ramach „porządku prawnego PRL". Czyli jest zwolennikiem postawy Nowaka. Morawiecki wspomina tylko o możliwości samoobrony, gdyby komuniści zmienili zdanie i zaczęli Polaków mordować, a Gwiazda ogranicza swój radykalizm do akcji strajkowej dla przywrócenia „Solidarności". „Solidarności", która w Porozumieniach Sierpniowych uznała kierowniczą rolę PZPR — warto o tym pamiętać. Zostaję więc ja i program Polskiej Partii Niepodległościowej, o którym przez godzinę rozmawiałem z Nowakiem.

Nie zauważyłem, aby ta wymiana poglądów wywołała obawy mego rozmówcy. Co więcej, w wielu punktach zgadzał się ze mną. Przyznawał też, że w sprzyjających okolicznościach można będzie odebrać władzę komunistom. W ulotce o PPN czytamy: „Warunki realizacji celu. Utrata przez ZSSR zdolności do interwencji militarnej w Polsce — co powinno nastąpić wraz z rozwojem obecnej sytuacji wewnętrznej w Sowietach. Rozkład morale aparatu przymusu PRL (milicja i wojsko). Wybuch społeczny podobny do sierpnia 1980 roku, który będzie można przekształcić w działanie o charakterze politycznym". Mój rozmówca przyznał bez oporów, że to rozsądne i realistyczne stanowisko. Nie musiałem więc tłumaczyć, że PPN nie jest grupą szaleńców ogarniętych manią samobójczą.

W takim kontekście zarzuty chciejstwa i braku realizmu, postawione „radykałom" przez Nowaka, nie mają podstaw. Właściwie to „radykałowie" mają prawo zarzucać zwolennikom „dialogu" z komunistami brak realizmu. Czyż ostatnia afera „okrągłego stołu" nie jest dowodem chciejstwa i braku rozsądku naszych ugodowców?

Nie można też się zgodzić, że nazwa „niepodległościowcy" jest błędna, ponieważ „wszyscy chcą niepodległości". Istnieje przecież różnica między działaczem lub organizacją stawiającą sprawę niepodległości na pierwszym miejscu w swym programie i działaniu, a tymi, którzy powiadają, że niepodległość owszem

dobra rzecz, ale nierealna, może kiedyś, za sto albo dwieście lat ją odzyskamy. Nie tak dawno komuniści twierdzili, że SDKPiL walczyła o niepodległość Polski, bo dążyła do obalenia caratu, co było warunkiem odzyskania niepodległości.

Autor ma jednak rację, że podział na zwolenników i przeciwników „dialogu" z komunistami nie pokrywa się z podziałem na „lewicę" i „prawicę". Rzeczywiście istnieją lewica (PPS Lipskiego) i prawica („Polityka polska" Halla) gotowe na ugodę oraz lewica (WSN) i prawica (PPN) odrzucające ugodę. Dziwi mnie tylko, że tak dobrze zorientowany Autor nie dostrzega rzeczywistych podziałów w łonie polskich ugrupowań niezależnych. Jedne są lojalistyczne wobec reżymu i usiłują reformować PRL, inne całkowicie odrzucają komunizm. Podział ten dobrze zilustrował Witold Skidel w programie PPN „Powstań Polsko! Zarys myśli programowej nowej prawicy polskiej". Kontrowersyjne jest też przekonanie Nowaka, że wojsko zawsze będzie broniło komunistów. Ma to wynikać z dyscypliny wojskowej. Z historii wielu armii wiemy, że dyscyplina wygląda inaczej, kiedy armia odnosi zwycięstwa, a zgoła inaczej, kiedy ponosi klęski. Nikt nie oczekiwał w 1914 roku, że Polacy będą w stanie rozbrajać Niemców, co się stało w 1918 roku. Nie twierdzę, że LWP, ZOMO i SB są już w takim stanie, jak wojska niemieckie w czasie klęski Wilhelma II, ale rozkład moralny aparatu postępuje. Tajemnica jego odporności na nasze apele polega na tym, że nie ma żadnych apeli! Nie ma ciągle programu działań skierowanych do wojska i MO. Przedgrudniowa próba stworzenia związku zawodowego milicjantów spotkała się z mizernym poparciem „Solidarności". W imię wydumanej koncepcji tzw. czerwonej czapeczki, według której pozostawienie reżymowi wojska i milicji miało uchronić związek przed atakiem reżymu, zrezygnowano z buntowania aparatu przymusu. Ataku nie uniknięto, a to zachowanie dowiodło ludziom w mundurach, że „Solidarność" ich nie potrzebuje. Obrona uwięzionych b. funkcjonariuszy SB i MO dowodzi, że powoli zaczynamy wyciągać odpowiednie wnioski.

Ucieszyło mnie, że Autor artykułu i krytyk „radykałów" znalazł słowa szacunku a nawet podziwu dla swych przeciwników. Szacunek i wzajemne uznanie są nam potrzebne, bardziej zresztą na forum międzynarodowym aniżeli między nami samymi. Działacze polscy ciągle jeszcze usiłują pogrążyć swych politycznych oponentów, kiedy przedstawiają obcym sytuację w Polsce. W ten sposób szkodzą także sobie, bo — jedni drugich kompromitując — podważają sens polskich działań w ogóle.

Jan Nowak twierdzi, że polskie „elementy radykalne" chcą „grać w ruletkę losami narodu". Zarzut to nieprawdziwy. Graczem w tej ruletce nie są wcale ugrupowania niepodległościowe. Jest nim PZPR. Mimo braku walk i barykad w Polsce krew się leje. Naród polski ginie. Ludzie giną w wypadkach przy pracy w kopalniach, umierają przedwcześnie wskutek zatrucia przyrody, złej służby zdrowia i niedostatecznego odżywiania. Są to sprawy powszechnie znane, ale obrońcy „substancji narodowej" wciąż ich nie dostrzegają.

Nie uważam, by Polacy zdołali wygrać z komunistami zamieniając ruletkę na okrągły stół do pokera. W tej grze komuniści mają od dawna uznaną markę szulera. Ich partnerzy odpadną od gry, gdy stracą poparcie społeczne. To właśnie jest celem gry, jaką PZPR proponuje „konstruktywnej opozycji". Los Stanisława Mikołajczyka uległ zdaje się zapomnieniu, a powinien być przestrogą dla rozmówców generała Kiszczaka.

Możemy wygrać tylko wtedy, jeżeli uznamy komunistów za wroga i będziemy im ciągle utrudniali życie. Im większe będą ich kłopoty, tym większa gotowość do ustępstw. Im więcej nasi zwolennicy dialogu z Kiszczakiem im pomogą, tym mniej Polacy uzyskają ulg i swobód.

Romuald SZEREMIETIEW

23 stycznia 1989

FILMY VIDEO-KONTAKTU
BALLADA O STRAJKU
Stocznia Gdańska w maju 88
EMISARIUSZE
Misje wojenne kurierów AK
JACEK FEDOROWICZ
Felietony i żarty filmowe popularnego satyryka
GENERAŁ MACZEK I JEGO PANCERNI
Szlak bojowy I Dywizji Pancernej
oraz 19 innych tytułów
o rozmaitej tematyce:
historycznej, politycznej, społecznej, kulturalnej
do nabycia na zamówienie telefoniczne lub listowne
FILMY VIDEO-KONTAKTU
video kontakt
42, rue Raymond Marcheron
92170 Vanves, France
tel. (1) 46 45 87 16

Książki

Wznowienie sprawy Katynia

W Londynie ukazała się w Panda Press London książka Romualda Świątka pt. „The Katyń Forest". Została ona wydrukowana w drukarni Veritas Foundation Press, która jednak stanowczo uchyla się od wszelkiej współodpowiedzialności za jej treść.

Romuald Świątek zainteresował się sprawą katyńską w czasie swojego pobytu w łagrach sowieckich w latach 1950-1956. Mord katyński był częstym tematem rozmów i dyskusji więźniów.

Najpierw R. Świątek podaje krótki przegląd prasy niemieckiej, rosyjskiej, polskiej i angielskiej z wiosny 1943 roku, bezpośrednio po odkryciu przez Niemców grobów katyńskich. Następnie daje krótki opis zabudowań poklasztornych Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. Podaje również skład kadry oficerskiej, zaczynając od generałów, a kończąc na kadetach, oraz strukturę zawodową oficerów rezerwy, którzy stanowili 50 % omawianej grupy.

Główną treść książki stanowi omówienie sprawozdań komisji, które pracowały w Katyniu:

1) sprawozdanie Niemieckiego Biura Informacyjnego — 1943 rok,
2) sprawozdanie Międzynarodowej Komisji Lekarskiej — maj 1943 rok,
3) Sprawozdanie Komisji Specjalnej ZSSR — styczeń 1944 rok.

Przewodniczącym tej ostatniej komisji wyznaczony został członek Akademii Nauk ZSSR, dr medycyny Mikołaj Burdenko, a jej członkami byli pisarz Aleksy Tołstoj, metropolita Nikołaj, naczelny lekarz Armii Czerwonej generał E. J. Smirnow oraz czterech wysokich urzędników. Komisja powołała dodatkowo pięciu lekarzy jako ekspertów. Ciekawe, że do komisji, która miała się zająć sprawą mordu polskich oficerów, nie wyznaczono żadnego polskiego komunisty, chociaż w tym czasie istniała w Rosji

polska partia komunistyczna pod przewodnictwem Wandy Wasilewskiej.

Komisja, według z góry ustalonych założeń, nie miała badać k t o zabił więźniów katyńskich, ale jedynie j a k Niemcy zrealizowali ten mord. Stąd wyszło nieprawdopodobne pomieszanie pojęć, które stanowi cechę sprawozdania komisji, pracującej pod przewodnictwem dr. Mikołaja Burdenki. K t o mordu katyńskiego dokonał, zostało rozstrzygnięte na wyższych szczeblach. Zadaniem komisji było wyjaśnienie różnych drugorzędnych szczegółów.

Nieco światła na prace komisji dr. M. Burdenki rzuca list jego przyjaciela profesora B. Olszańskiego, opublikowany w czerwcu 1950 roku w miesięczniku *Socjalisticzeskij Wiestnik*, wydawanym przez rosyjskich mienszewików w Nowym Jorku. Według tego listu dr Mikołaj Burdenko, przewodniczący komisji sowieckiej, mówił swoim osobistym przyjaciołom w roku 1946, niedługo przed śmiercią, że przewodnictwo komisji objął na osobisty rozkaz Stalina i podpisał komunikat pod presją, dodając przy tym, że jest przekonany, iż „na terenie Rosji jest szereg podobnych Katyni". Według jego opinii ciała leżały w mogile około czterech lat, tzn. że mord został dokonany w 1940 roku. Kilka miesięcy po tej rozmowie dr M. Burdenko umarł. Profesor Olszański, który był delegowany do Wschodnich Niemiec, zdołał przedostać się na Zachód. Prof. B. Olszański zeznawał również przed Komisją Kongresu Stanów Zjednoczonych.

Książka R. Świątka, wydana w 1988 roku, pomija także wyniki szeregu obiektywnych studiów, przeprowadzonych po ogłoszeniu sprawozdania komisji sowieckiej, kierowanej przez dr. M. Burdenko.

Na pierwszym miejscu należy wymienić pięć tomów materiałów, ogłoszonych przez Specjalną Komisję do Zbadania Zbrodni Katyńskiej[1], powołaną we wrześniu 1951 roku przez Kongres Stanów Zjednoczonych. Po przestudiowaniu tych materiałów wszyscy członkowie komisji (4 demokratów i 3 republikanów) doszli jednogłośnie do wniosku, że mord został popełniony przez Rosjan. Sentencja ta była ogłoszona w grudniu 1952 roku.

Ten sam wniosek wynika ze zbioru materiałów dokumentacyjnych, wydanego w 1948 roku pod redakcją Prof. Zdzisława Stahla pt. „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów[2]".

Pierwszym większym indywidualnym opracowaniem sprawy katyńskiej jest książka Józefa Mackiewicza[3], wydana w Londy-

1. *USA House of Representatives. Select Committee on the Katyń forest massacre. The Katyń Forest Massacre. Hearing before the Select Committee to conduct an Investigation of the Facts, Evidence and Circumstances of the Katyń Forest Massacre. 82nd Congress, 1st — 2nd Session 1951 — 52. Washington, US Government printing Office, 1952 — 2362 pp.*

2. Wyd. Gryf, Londyn 1948, trzecie wydanie 1962 16 XVI, 300 str. Angielskie wydanie: *The Crime of Katyn. Facts and Documents*, Polish Cultural Foundation, London 1965, XV XVI 303 str.

3. Joseph Mackiewicz, *The Katyn Woods Murders*. Holis and Carter, 1951, 251 str.

nie w 1951 roku. Ma ona obok literackich walorów tę zaletę, że została napisana przez człowieka, który był na miejscu zbrodni w okresie ekshumacji zwłok jeńców kozielskich i miał możność bezpośredniej, nieskrępowanej rozmowy ze świadkami pośród miejscowej ludności.

Książka Mackiewicza ma charakter reportażu, nie daje przeglądu drukowanych źródeł i literatury przedmiotu. Ściśle naukowo-badawczy charakter ma natomiast książka J. Zawodnego [4], oparta na wszystkich dostępnych dokumentach oraz całej istniejącej wówczas literaturze przedmiotu.

W latach 70-tych duży rozgłos wywołała książka Louisa Fitz Gibbona pt. „Katyń, a crime without parallel [5]". Książka przedstawia przejrzyście całą sprawę katyńską i zawiera apel o powołanie Międzynarodowego Trybunału, który by wydał orzeczenie o tej szczególnie ohydnej zbrodni, pominiętej w wyrokach Trybunału Norymberskiego. Dokonana przez Fitz Gibbona krytyka orzeczenia sowieckiej komisji powołanej jesienią 1943 roku jest absolutnie druzgocąca. Książka Fitz Gibbona wywołała daleko sięgające reakcje w prasie i Parlamencie Brytyjskim. 17 czerwca 1971 roku w Izbie Lordów na wniosek Lorda Barnby odbyła się na ten temat debata, w której zabierało głos kilkunastu mówców. Żaden z nich nie poddał w wątpliwość winy rosyjskiej.

Tadeusz Wittlin napisał szereg szkiców literackich [6] na temat różnych wydarzeń związanych z tragedią katyńską.

Z dwóch obszernych opracowań, J. Czapskiego „Na nieludzkiej ziemi [7]" i mojego „W cieniu Katynia [8]", R. Świątek zacytował tylko informacje, że jeńcy w czasie swego pobytu w Kozielsku byli nienajgorzej traktowani, a pominął liczne fakty i przesłanki, wskazujące niezbicie, kto zbrodni dokonał.

Ze wszystkich powyższych studiów wynika wyraźnie wniosek, że za mordowanie oficerów polskich odpowiedzialny jest Związek Sowiecki. W tym wszystkim jednak nie ma dowodów, przemawiających za tym, że za te morderstwa odpowiedzialna jest Czerwona Armia, która tych jeńców wzięła do niewoli, lecz musiała potem przekazać w ręce NKWD, co opisałem w swoich pamiętnikach [9].

W okresie 1939-1940 Armia Czerwona, po serii czystek stalinowskich, które przerzedziły jej kadry, była bardzo osłabiona. Według materiałów podanych przez Leonarda Schapiro [10], znanego specjalisty i wykładowcy z zakresu sowietologii w London School of Economics, ofiarą stalinizmu padło łącznie 35.000 oficerów sowieckich. W tej liczbie znalazło się 90 % dowódców w stopniu generalskim, 80 % w stopniu pułkowników i około 30.000 w stopniach poniżej pułkowników.

4. J. K. Zawodny, *Death in the Forest. The story of the Katyn Forest Massacre*, University of Notre Dame Press, 1962, 16, 235 str. Wydanie MacMillana ukazało się w 1971.

5. Louis Fitz Gibbon, *Katyn a crime without parallel.* Tom Stacey Ltd., 1971, 285 str.

6. Thaddeus Wittlin, *Time stopped at 6.30.* The Bobbs Merrill Co., New York 1965, 317 str.

7. Józef Czapski, *Na nieludzkiej ziemi*, Instytut Literacki 1962.

8. Stanisław Swianiewicz, *W cieniu Katynia*, Instytut Literacki, Paryż 1986, str. 360.

9. Stanisław Swianiewicz. *W Cieniu Katynia, ibidem.*

Można postawić pytanie: czy nie było powiązań pomiędzy wybuchem terroru w stosunku do kadry oficerskiej Armii Czerwonej, współpracą polityczną ZSSR z III Rzeszą oraz morderstwem polskich oficerów? Współpraca polityczna między Sowietami a III Rzeszą znalazła wyraz w umowach zawartych przez Ribbentropa i Mołotowa w dniach 23 sierpnia i 28 września 1939 roku.

Stajemy więc wobec jednego z najważniejszych problemów jutra, tzn. problemu stosunków polsko-rosyjskich. Problem ten nie będzie rozwiązany, dopóki nie zostanie wyświetlona sprawa mordu katyńskiego. Spodziewamy się, że Gorbaczow wyznaczy komisję, której zadaniem będzie ustalenie nazwisk ludzi odpowiedzialnych za mord katyński. Mordu tego dokonało NKWD w roku 1940, a więc prawie pół wieku temu, w okresie kiedy stosunki hitleryzmu z Sowietami miały charakter szczególnie bliskiego sojuszu. Ludzie, którzy rozkazy morderstwa wydawali, prawdopodobnie już nie żyją. Jeżeli nawet są przy życiu, to karanie staruszków nie ma sensu, natomiast ustalenie ich nazwisk ma duże znaczenie dla historii.

Stanisław SWIANIEWICZ

10. Leonard Schapiro, *The Communist Party of the Soviet Union*, Vintage Books, 1960, 420 str.

Mniej światła!

Jean-François Revel (prawdziwe nazwisko: Ricard) jest sześćdziesięcioparoletnim publicystą francuskim o solidnym przygotowaniu filozoficznym i autorem dwudziestu pięciu książek, z których dwie *(Ni Marx ni Jesus,* 1970, oraz *La tentation totalitaire,* 1976) omawiałem w swoim czasie w *Kulturze.* Większość jego prac poświęcona jest sprawom politycznym, społecznym i ideologicznym dzisiejszego świata i naświetla je w sposób przypominający Raymonda Arona, tzn. ze stanowiska liberalizmu i zdrowego rozsądku. Prace Revela od ok. dwudziestu lat koncentrują się na analizie zjawisk, które od wewnątrz zagrażają społeczeń-

stwom zachodnim, a więc tendencji anarchistycznych czy wręcz totalitarnych.

Najnowsza książka Revela, pt. „Bezużyteczna wiedza"* również należy do tej serii tematycznej, ponieważ problemem, który autor w niej analizuje, ilustruje i stara się wyjaśnić jest pytanie: jak to się dzieje, że w świecie zachodnim, w którym dostęp do informacji jest łatwiejszy i bardziej powszechny niż kiedykolwiek przedtem w historii, mogą szerzyć się i wywierać wpływ idee i nastroje zakorzenione w ignoracji, dezinformacji i propagandzie ideologicznej — prawie w stu procentach lewicowej, dodajmy od razu?! Mówiąc prościej, Revel stara się dociec, dlaczego tak wielu zachodnich dziennikarzy, nauczycieli filozofów i w ogóle „intelektualistów" uprawia czy choćby biernie toleruje swoistą nowomowę i „nowomyśl", której jedynym kryterium orientacyjnym jest lewicowa ortodoksyjność (wszyscy ją znamy: Afryka Południowa, Chile i USA są *be*, Nikaragua, III Świat i „walka narodowo-wyzwoleńcza" są *cacy*, o Kubie, Afganistanie i nawet Iranie nie wypada wypowiadać się wyraźnie), a jedyną wytyczną poznawczą — troska o niesprzyjanie tzw. „faszyzmowi i imperializmowi", czyli w praktyce ostatnim na świecie demokracjom zachodnim.

Tytuł książki świadczy o pewnej desperacji autora (jeszcze bardziej desperacko nazwał Revel swą poprzednią książkę: „Jak giną demokracje", 1983) który zgromadził dziesiątki przykładów manipulacji, celowych przemilczeń czy wręcz bezczelnych kłamstw z prasy i innych publikacji zachodnich — i który równocześnie pokazuje, jak polemiki, sprostowania i nawet procesy sądowe są prawie bezradne wobec zalewu tej propagandowo-ideologicznej bryi słownej i myślowej.

Revel uważa sprawę za nader ważną, ponieważ jego zdaniem prawdziwa i pełna informacja jest samą esencją ustroju demokratycznego, podobnie jak „krwią" totalizmu jest kłamstwo. W wypadku informacji fałszywej czy choćby „zniuansowanej" zarówno wybory przestają być rzeczywistym wyrazem woli wyborców (skoro dezorientuje się ich co do celów, hierarchii priorytetów i rzeczywistych możliwości działania konkurujących ze sobą ugrupowań politycznych), jak i władze tracą rozeznanie w rzeczywistych nastrojach społeczeństwa i rzeczywistych potrzebach chwili. Na temat znaczenia prawdy w nauce czy szerzej kulturze rozwodzić się nie trzeba. Revel stwierdza krótko, że esencją cywilizacji zachodniej jest prawda i z chwilą gdy jest ona zagrożona, niebezpieczeństwo grozi całej naszej cywilizacji. Zagrożenie to upatruje autor „Bezużytecznej wiedzy" w ideologii, którą nazywa „socjalistyczną" lub też „lewicową", choć podkreśla równocześnie, że jej adherenci nie reprezentują właściwie żadnego jasno określonego programu ani propozycji społecznej. W istocie ideologia ta jest tylko negatywna i zawsze mierzy w instytucje

* J.-F. Revel, *La connaissance inutile*, Bernard Grasset, Paryż 1988, str. 403, ISBN 2-246-38581-4.

polityczne, nawyki kulturalne i mechanizmy gospodarcze demokratycznych państw Zachodu. Głównymi jej składnikami — czy też kierunkami natarcia — są następujące elementy doktrynalne przyjmowane jako pewniki, choć rzeczywistość im przeczy na każdym kroku: *(a)* kapitalizm jest niesprawnym/okrutnym/przestarzałym, etc. systemem gospodarczym, hodującym w swym łonie faszyzm/dyktaturę/imperializm, które to potwory raz po raz wysuwają swe odrażające łby; *(b)* rozwiązaniem wszystkich problemów świata jest socjalizm/rewolucja/„tożsamość kulturalna" (czyli demontaż cywilizacji zachodniej w III Świecie); *(c)* jedyną rzeczywistą groźbą dla Zachodu jest endemiczny faszyzm, który każdej chwili może rozkwitnąć pod wpływem zbrojeń (czy choćby odmowy jednostronnego rozbrojenia się), sojuszu z Ameryką, rasizmu (objawiającego się w restrykcjach imigracyjnych i wciąż za małej pomocy finansowej takim demokratom jak płk Mengistu czy prez. Daniel Ortega) i „elitaryzmu", czyli m.in. dbania o to, by szkoły uczyły poprawnej gramatyki i ortografii; *(d)* „wypaczenia" krajów mordujących/głodzących/gnębiących swych obywateli pod firmą takiego czy innego socjalizmu albo należą już całkowicie do przeszłości i nie ma o czym mówić, albo są jedynie drobnymi niedociągnięciami, które bledną w porównaniu ze zbrodniami krajów kapitalistycznych *(boat-people* z „wyzwolonego" Wietnamu? — a Palestyńczycy?!; inwazja Afganistanu? — a Afryka Południowa?!; Jaruzelski? — a Pinochet?!).

Ujęte w tę skondensowaną formę cechy zachodniej „postawy postępowej" brzmią karykaturalnie i przypuszczalnie niejeden czytelnik się żachnie, że to przesada. Że tak nie jest, choć wypunktowane powyżej stanowiska stanowią raczej rozmyte sugestie, a nie zwerbalizowany program, świadczą trzy przykłady wybrane z omawianej książki na chybił trafił.

Przykład nr 1 — zmarły przed kilku laty w Paryżu Piotr Rawicz opowiedział Revelowi następującą historię: w latach siedemdziesiątych napisał on dla pewnej gazety francuskiej omówienie szeregu książek traktujących o komunizmie i nazizmie, które zakończył zdaniem: „Tak czy owak, nazizm w porównaniu z komunizmem ma w mych oczach tę zaletę, że w 1945 przestał istnieć". Gdy omówienie się ukazało jego autor stwierdził, że końcowe zdanie zostało przez redakcję skreślone. Dlaczego? Dlatego, że nawet mówiąc źle o komunizmie *(nota bene* chętniej używało się wtedy słowa „stalinizm", sugerującego, iż to już rozdział zamknięty i przezwyciężony; przypuszczam, że gdyby nazizm przetrwał w formie lekko złagodzonej do dziś, robiono by równie staranne rozróżnienie między „hitleryzmem" a „narodowym socjalizmem"), osoby „postępowe" uważają za swój obowiązek podkreślać, że „groźba faszyzmu" nadal istnieje i jest w istocie naczelnym niebezpieczeństwem czyhającym na nasz świat.

Przykład nr 2 (świeższy): na 48-ym kongresie PEN-Clubów w Nowym Jorku w styczniu 1986 Günter Grass niezwykle gwałtownie zaatakował Saula Bellowa za to, iż ten w swym przemówieniu nie przedstawił Stanów Zjednoczonych jako państwa abso-

lutnie reakcyjnego i godnego potępienia. Na tymże kongresie ponad 60-ciu uczestników z oburzeniem zaprotestowało przeciwko zaproszeniu na jedną z sesji sekretarza stanu George'a Shultza, a gdy ten się zjawił, sporo uczestników demonstracyjnie wstało i opuściło salę. To samo zgromadzenie z szacunkiem i należnym aplauzem wysłuchało przemówienia p. M'Bow, ówczesnego sekretarza generalnego i prawie-grabarza UNESCO. Dlaczego? Dlatego, że każde dziecko wie, iż (demokratycznie wybrany) rząd USA jest *be*, ponieważ m.in. domaga się wyborów w Nikaragui, które mogłyby wypaść niekorzystnie dla (przez nikogo nie wybranych) sandynistów. Pan M'Bow natomiast zamienił UNESCO w przybudówkę wydziału propagandy KC KPZS, latami walczył o wprowadzenie tzw. nowego porządku informacyjnego czyli cenzury prasowej i w ogóle reprezentował godnie III Świat, m.in. sławiąc afrykańskiego tyrana Sékou Touré i wielkiego przywódcę uciśnionych ludów eks-kolonialnych — więc jest *cacy*.

Przykład nr 3 (jeszcze świeższy): w styczniu 1988 nikaraguański prezydent Ortega odbył propagandowo-kwestarską podróż po Europie, przyjmowany był wszędzie z entuzjazmem należnym prezydentom państw demokratycznych (por. np. podróże prez. Reagana!) i zawinął m.in. do Szwecji gdzie poskarżył się, że susza właśnie zniszczyła większość plonów w jego świetnie rządzonym państwie. Szwedzi zaraz ofiarowali 40 mln dolarów i nikt o nic nie pytał ani się nie dziwił; gdy Revel, stwierdziwszy w odpowiednich książkach i u odpowiednich fachowców, że susza w tym właśnie kraju jest równie częsta jak śnieg na Saharze zatelefonował do znajomego dziennikarza w Sztokholmie, zachęcając go, by się publicznie zdziwił, ten odpowiedział bez namysłu: „Jeszcze nie upadłem na głowę, żeby ściągać na siebie odium reakcjonisty!". Dlaczego? Dlatego, że każde dziecko wie, itd., itp.

Właśnie — jak to jest naprawdę z tymi „dziećmi"?! Przecież niby to mamy do czynienia z mózgowcami, elitą, ludźmi, którzy powinni światło wiedzy (czyli mniej patetycznie: dokładnej i wszechstronnej informacji) przedkładać nad półmrok wiary (czyli mniej patetycznie: ideologicznych komunałów)! Końcowa część książki Revela zajmuje się tym pytaniem, ale — moim przynajmniej zdaniem — nie daje wyczerpującej odpowiedzi. Zdaniem autora „Bezużytecznej wiedzy" przyczyną opisanego przezeń stanu rzeczy jest to, co nazywa w rozdz. 12-tym *échec de la culture*, a ściślej: wątpliwa jakość dużej części tworzących tę kulturę ludzi. *Libido sciendi* nie jest u nich tak powszechne, jak przypuszczał naiwnie Pascal; jest to raczej cecha rzadka. O wiele bardziej rozpowszechniona jest *libido dominandi* (por. bardzo charakterystyczną agresywność i wręcz chamstwo polemik „postępowych intelektualistów", a przynajmniej chęć bycia w czołówce tanim kosztem, a więc poprzez skwapliwe „włączanie się w nurt" każdej aktualnej mody ideologicznej. Tak jest niewątpliwie, ale nie wyjaśnia to wciąż jeszcze najważniejszej kwestii, mianowicie dlaczego prawie wszystkie tego rodzaju mody w XX wieku mają zabarwienie l e w i c o w e. Zastanawiam się nad tym pytaniem od dawna i przemyślałem je ponownie, czytając omawianą książkę.

Zgromadzony w niej materiał jasno pokazuje, że „modne" w omawianym tu sensie jest wszystko, co odbiega od rozwiązań i wyjaśnień racjonalnych, zdroworozsądkowych. Myślę, że w tych właśnie okolicach mieści się wspólny mianownik, pozwalający zakwalifikować tak pozornie różne sprawy, jak lansowanie utopijnych systemów gospodarczych („socjalizm"), sympatia dla skądinąd niepostępowych zjawisk w III Świecie (odrażające dyktatury afrykańskich kacyków, fundamentalizm muzułmański, rasizm w środowiskach „nie-białych" etc.) i *last but not least* proliferacja teorii i kierunków irracjonalnych, a co najmniej niesprawdzalnych (marksizm, freudyzm, strukturalizm, dekonstrukcjonizm, neo-heideggeryzm przechodzący w rodzaj bezwyznaniowej teologii itp.). Dlaczego *te właśnie* regiony pociągają wielu ludzi wyrosłych w opartej na logice i trzeźwości cywilizacji zachodniej, jest tylko pozornym paradoksem. Rzecz przypomina w istocie sytuację, w której zmuszeni jesteśmy brać udział w zawodach sportowych, a nasza słaba kondycja fizyczna (lub nasze lenistwo) usposabiają nas do nich niechętnie. Aby zachować twarz, należałoby albo zająć w obowiązującej konkurencji wysokie miejsce, albo też zakwestionować sens i znaczenie całego tego biegania i skakania. Drugie wyjście jest oczywiście łatwiejsze i pewniejsze, szczególnie dla osób ambitnych (a któż pośród „intelektualistów" nie jest ambitny?!). Procedura kwestionowania samej idei i zasad sportu daje przy tym niezmiernie szerokie możliwości dla fantazji i złotoustej retoryki: możemy np. zaproponować zupełnie nowe reguły gry, inną zasadę doboru sędziów (najlepiej spośród tych, którzy ostatni przyszli do mety), wskazać na inherentne wartości duchowe społeczeństw, w których sportu się nie uprawia lub też gdzie jest on zakazany, zastanowić się, czy sama zasada klasyfikowania zawodników według osiągniętych rezultatów jest moralna, zaproponować nowe konkurencje, zakwestionować „zasadność" zawodów z racji ich niezgodności z tekstami natchnionych mędrców sprzed 150 lat lub z V wieku przed Chrystusem itd. *All systems go* pod warunkiem, że negują one wartość/sens/etyczność/estetykę dotychczas przyjętych reguł gry.

Zdaję sobie sprawę, że tak ujęte wyjaśnienie motywacji psychologicznej tendencji ideologiczno-totalitarnych jest niesmaczne i wulgarne, ponieważ odwołuje się do tzw. niskich pobudek: zazdrości, tchórzostwa, chęci błyszczenia tanim kosztem i lenistwa. Czy są to uczucia (często podświadome i przybrane w różne „płaszczyki" — Irzykowski się kłania!), których nie doświadczamy nigdy sami i nie obserwujemy u innych — pozostawiam do uznania czytelników. Faktem jest jednak niezaprzeczalnym, że w półmroku wszystkie koty są szare i mają najlepsze szanse realizacji szczytnych ideałów równości i braterstwa, o czym przypomina szary kot —

M. BROŃSKI

Ojciec Bocheński o sobie i innych

Książka miejscami trudna, a jednak urocza*. Oto światowej sławy filozof-dominikanin w dziewięciu rozmowach z młodszym kolegą po fachu mówi o dziele swego życia, o filozofii, o swym powołaniu zakonnym i o swej wierze. O. Bocheński znany jest z tego, że do filozofii podchodzi z dużą dozą zdrowego rozsądku, mówi więc ze swadą i humorem, przy okazji rozstawiając po kątach wielu wielkich i pomniejszych mędrców. Ofiarą padają głównie twórcy wielkich systemów filozoficznych (nie wyłączając Kartezjusza i Kanta), bo — powiada autor — zadaniem naukowej filozofii nie jest tworzenie syntez, lecz analiza języka, którym ludzie myślą, a poprzez język analiza rzeczywistości, żeby wiedzieć dobrze i jasno. Reszta to światopoglądy, mniej lub bardziej osobiste postawy wobec świata i życia, rzeczy bardzo potrzebne, ale nie nauka. Narzędziem filozofii analitycznej jest logika w swej najbardziej zaawansowanej i abstrakcyjnej formie czyli logika matematyczna. Ostaje się z tej czystki Arystoteles jako twórca logiki i Tomasz z Akwinu jako ostatni wykwit wielkiej logiki scholastycznej (nie mówiąc już o Platonie, jako że według Whiteheada cała filozofia europejska to tylko seria dopisków do Platona). Po św. Tomaszu jest już właściwie tylko Leibniz, a potem długo długo nic aż po *Principia Mathematica* Russela i Whiteheada i rozkwit nowoczesnej logiki w dziełach Tarskiego, Quine'a czy Carnapa, wraz z logiką wielowartościową Łukasiewicza. Tak, międzywojenna Polska była w logice mocarstwem — poza Tarskim i Łukasiewiczem byli też Leśniewski, Kotarbiński, Ajdukiewicz i ks. Salamucha — i O. Bocheński dziwi się bardzo, że na KUL-u panuje O. Krąpiec i jego neo-tomizm. Św. Tomasz i tomizm to nie to samo.

Wszystkie religie, w tym i chrześcijaństwo, to nie filozofie a światopoglądy. O wyborze światopoglądu decydują motywy inne niż logiczno-poznawcze, raczej sądy wartościujące, w religii nade wszystko poczucie świętości. Zatem między nauką a światopoglądem, między logiką a wiarą — powiada O. Bocheński — nie ma logicznego przejścia. Niemniej w sferze religii O. Bocheński, ortodoksyjny katolik, jest równie bezceremonialny jak w swej filozofii. Na dobrą sprawę inne światopoglądy nie tyle zwalcza,

* *Między nauką a wiarą.* Z Józefem M. Bocheńskim rozmawia Jan Parys. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher (Suisse), 1988. Str. 306. Ojciec Józef Bocheński O.P. (ur. 1902) jest od wielu lat profesorem uniwersytetu we Fryburgu (Szwajcaria) i przewodniczącym *International Academy of the Philosophy of Science.* Jan Parys (ur. 1950) jest socjologiem, pracownikiem PAN. Ojciec Bocheński pragnął, by książka ukazała się w Polsce, ale redaktorzy zażądali szeregu skreśleń, zanim książka pójdzie do cenzury. O. Bocheński odrzucił to żądanie i książka została wydana w Szwajcarii po polsku i po francusku.

co ignoruje (z wyjątkiem marksizmu-leninizmu, którego jest wybitnym znawcą i który traktuje niezwykle poważnie; poza własnymi pracami na ten temat jest redaktorem *Studies of Soviet Thought).* Stosuje się to zwłaszcza do innych religii (ciekawe, że odkrył indyjską logikę, a jakoś nie widać zainteresowania hinduizmem), także do innych wyznań chrześcijańskich. „Innowierców", jak ich określa, O. Bocheński nie lubi i dialog ekumeniczny wyraźnie go nie interesuje. Przyznaje, że choć jest doktorem świętej teologii, to tymi sprawami nigdy się poważnie nie zajmował i nie zna się na nich. Jeśli w logice czy filozofii analitycznej jest fachowcem, to w dziedzinie religii nie jest fachowcem. W ogóle odnosi się wrażenie, że religijność tego zakonnika, jakkolwiek głęboka, jest raczej konwencjonalna i że dużą rolę odgrywają w niej względy wyznaniowej lojalności. Ojciec Bocheński wierzy w rzymsko-katolicki Kościół. Charakterystyczne jest, jak wyznaje w pewnej chwili swemu rozmówcy, że do seminarium duchownego wstąpił jeszcze jako młodociany agnostyk („miałem kiełbie we łbie"); zdało mu się bowiem, że poza komunizmem Kościół katolicki jest jedyną siłą społeczną, która jest w stanie czegoś dokonać, a zatem „postawił się do jego dyspozycji". Dopiero w seminarium pod wpływem mądrych i świątobliwych ludzi nauczył się wierzyć. Teraz po prostu wierzy i koniec. Zaskakujące może, ale ujmujące, bo szczere (jak wszystko w tej książce).

Taki obraz Ojca Bocheńskiego jako uczonego i chrześcijanina jest chyba w całości słuszny, a jednak w szczegółach niesprawiedliwy. Bo są w tej postawie liczne niuanse. Dla przykładu powiedzmy, że w czasie wojny był kapelanem wojskowym w 2-gim Korpusie i nieraz przychodziło mu sprawować swoje obowiązki duszpasterskie pod ogniem. Jego wiara jest czynna. Ojciec Bocheński nigdy nie zamknął się ani w religijnej, ani w filozoficznej wieży z kości słoniowej. Także zadaniem jego filozofii jest służyć pomocą w praktycznych problemach życia. Logiczna analiza problemu stanowi według niego niezbędny pierwszy krok na drodze do jego rozwiązania. Wśród jego prac jest wiele zastosowań filozofii analitycznej do konkretnych zagadnień. Jedną z nich jest studium o strukturze przedsiębiorstwa przemysłowego. Nie wystarczy gadać o przedsiębiorstwie kapitalistycznym czy socjalistycznym. Analiza przedsiębiorstwa prowadzi do wyróżnienia całego szeregu jego elementów składowych (kapitał, robotnicy, wynalazcy, konsumenci i inne) z przedsiębiorcą, wcale niekoniecznie kapitalistą, jako elementem integrującym. Jest określona liczba możliwych wzajemnych relacji między tymi elementami, w modelu O. Bocheńskiego dokładnie 64, liczba która w praktyce, w procesie już niekoniecznie ściśle logicznego wyboru (tu chyba dochodzą do głosu elementy światopoglądu) zostaje zredukowana do jednej lub kilku. Ojciec Bocheński sugeruje, że „Solidarność" w poszukiwaniu po-stalinowskiego modelu polskiej gospodarki powinna zacząć od tego rodzaju logicznej analizy sytuacji — i recenzent jest skłonny tej myśli przyklasnąć.

Ojciec Bocheński napisał także logikę religii *(The logic of religion*, 1964). Wynikałoby z tego, że jakiś pomost między logiką a wiarą jednak istnieje. Oczywiście w akcie woli, który stanowi o wierze, muszą grać rolę również logiczne przesłanki. Ale w omawianej książce znajdziemy na ten temat niewiele, a porównanie teologii do teorii fizycznej, z tym że tu rolę danych doświadczalnych grają dane Objawienia, nie jest bardzo przekonujące. Kłopot leży nie tylko w tym, że nie bardzo wiadomo, co uważać za dane Objawienia, nawet jeśli ograniczyć się do świętych tekstów (bo autor swoją analizę ogranicza do religii, które mają święte teksty: hinduizmu, buddyzmu, judaizmu, islamu i chrześcijaństwa). Trudność polega przede wszystkim na tym, że religia jest zjawiskiem bez porównania bardziej złożonym niż najbardziej złożona rzeczywistość fizyczna albo, ogólniej, jakikolwiek aspekt przedmiotowego świata. Z tego oczywiście uczony dominikanin doskonale zdaje sobie sprawę i wielokrotnie daje temu wyraz. Ale równocześnie jako uczony, filozof analityczny, O. Bocheński kładzie duży nacisk na utrzymanie zasadniczej dychotomii podmiot — przedmiot. Bo bez przedmiotowej rzeczywistości nie ma prawdziwej nauki i bez niej nawet podmiot, choćby tylko czysto poznawczy podmiot, już jest w kłopocie. Ojciec Bocheński wielokrotnie piorunuje na pomyleńców (jak „banda czterech", Feyerabend i towarzysze, którzy „psują młodzież"), którzy mieszają przedmiotową rzeczywistość z poznającym podmiotem. (Czy tylko Feyerabend & Ska? Czy nie należy do nich również Niels Bohr i cała „interpretacja kopenhaska" mechaniki kwantowej?). W którymś miejscu O. Bocheński mówi dowcipnie, że dla naukowej filozofii najlepiej by było, gdyby w ogóle nie było człowieka — i ma rację. Bo jak bez reszty uprzedmiotowić człowieka? A przecież wiedza ściśle przedmiotowa (obiektywna), wynalazek Greków, jest bezcennym dziedzictwem zachodniej cywilizacji, którego nie wolno nam zatracić. To leży u podstaw triumfów zachodniej nauki; inne cywilizacje nie dopracowały się tej postawy i dlatego zachodnia nauka jest zjawiskiem jedynym na całej przestrzeni ludzkiej historii. To też prawda. Ale czy nie odbiło się to ujemnie na zachodnim rozumieniu religii? Czy nie dlatego wiara jawi się nam często — przynajmniej w potocznym rozumieniu — jako system obiektywnych prawd, które należy akceptować bez dowodu, czyli jako pozbawiona logicznych podstaw wiedza — i tylko wiedza? Stąd nasz sławny „konflikt między nauką a wiarą". W tym klimacie teo-logia staje się dosłownie „nauką o Bogu", taką jak każda inna nauka. Kłopot z uprzedmiotowieniem człowieka to jedna rzecz. Ale jak uprzedmiotowić Boga? Z chwilą gdy teologia staje się nauką w tym sensie, przestaje mieć cokolwiek wspólnego z religią.

Książka zahacza o wiele trudnych, nierozwiązalnych chyba problemów. Cóż, taki już jest los filozofa, nawet analityka, naukowego filozofa. Ale niewielu jest chyba filozofów, którzy o tym wszystkim potrafią mówić tak jasno, zajmująco i bezpretensjonalnie jak Ojciec Bocheński. Jan Parys jest doskonałym partnerem. Przygotował się do tych rozmów tak gruntownie, że potrafi Bocheńskiego w sprawach własnej jego twórczości zaskoczyć. W ostatnim rozdziale mamy bardzo nieformalny, ale tym bardziej informatywny życiorys Ojca Bocheńskiego, też w formie rozmowy. Można by mieć pretensję, że książka nie zawiera formalnej bibliografii prac wielkiego filozofa, nie mówiąc już o indeksie. Książka jest w ogóle pozbawiona wszelkiego tzw. aparatu naukowego; nie ma w niej ani jednego wyjaśniającego przypisu. Ale ostatecznie to również stanowi o jej uroku. Książka dla filozofów, ale i dla praktyków i dla zainteresowanych laików jak niżej podpisany

Antoni POSPIESZALSKI

Polskie czasopismo literackie w Izraelu

Związek Autorów Piszących po Polsku w Izraelu opublikował pierwszy numer swojego pisma *Kontury*[1]. Dlaczego *Kontury?* Być może redakcja pisma chciała wyrazić w ten sposób nadzieję, iż to, co w pierwszym numerze zaledwie zostało zarysowane, z czasem nabierze autentycznego, literackiego kształtu. Sądząc z pierwszej jaskółki — na tle prozy i poezji pisanej w Izraelu po hebrajsku, przez pisarzy tam urodzonych, albo też pochodzących z innych stron — twórczość emigrantów polskich wypada bardzo słabo. Piszę to ze smutkiem, naprawdę wolałabym, żeby było inaczej. Kolejne emigracje z Polski po wojnie zaowocowały świetną literaturą, ale wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu gdzie indziej, nie w Izraelu: w Ameryce, we Francji, w Niemczech Zachodnich. W dodatku jest wśród nich znikoma, coraz mniejsza ilość pisarzy pochodzenia żydowskiego.

W nocie od redakcji czytamy, że Związek Autorów Piszących po Polsku w Izraelu powstał w roku 1986 i „postawił sobie za cel — między innymi — wydawanie tego rodzaju zbiorów". Z tej samej noty dowiadujemy się o zgubnych skutkach demokracji: „Każdy z członków Związku miał prawo do zamieszczenia swego tekstu w niniejszym zbiorze". Jak wynika z krótkich biografii, reprezentowanych tu jest parę pokoleń. Najstarsza, Łucja Gliksman, urodziła się w roku 1913. Najmłodsza, Anna Kadary, w roku 1950, a Eli Barbur, którego tekst otwiera pismo, w roku 1948. Różnice pomiędzy najmłodszymi — choć już też nie tak młodymi — a większością pozostałych autorów, są znaczne. Tych

1. *Kontury:* wybór prozy i poezji autorów piszących po polsku w Izraelu, Tel-Aviv 1988, str. 154.

dwoje to reprezentanci pokolenia wychowanego na innej literaturze, co zresztą nie jest żadną kwalifikacją artystyczną. Intuicja mówi mi, że Eli Barbur zdążył już zaprzepaścić swój talent, natomiast Anna Kadary, autorka zadziwiającego tekstu pt. *Samobójstwo pana Rossa*, ma wszelkie dane na to, aby stać się ciekawą pisarką. Jej polszczyzna jest nieskazitelna, bogata, współczesna ale nie wulgarna (przypadek Barbura). Być może winna tylko uwolnić się od nadmiaru surrealistyczno-scientyficznej fantazji, fascynacji surrealistycznymi pomysłami. Z kolei Eli Barbur zafascynowany jest Hłaską i amerykańskimi *beatnikami*. (Ci ostatni to także już brodaci klasycy). W tekście zatytułowanym *Imię twoje część świata* Barbur wykazuje się umiejętnością dynamicznego opisu — jego bohater jest ciągle w ruchu, „w drodze" — i typowym dla tego typu literatury brakiem jakiejkolwiek hierarchii. Rzeczywistość jest przeraźliwa, chaotyczna, pozbawiona jakiejkolwiek gradacji i niuansów. Wszystko w niej jest mniej lub bardziej parszywe i godne kontestacji: zarówno wojna jak i rzadkie chwile pokoju. Z tym wszystkim byłby to świetny literacki reportaż z izraelskiej codzienności, gdyby nie nonszalancja autora w stosunku do języka, który jest nie tyle potoczny, co wyjątkowo niechlujny. Desperacja, nonszalancki stosunek do życia i śmierci wyrażony został za pomocą śmietnika usypanego ze słów i składni tak niechlujnej, że przestaje to być metodą, a staje się niedołęstwem. Redaktorom pisma należy zwrócić uwagę, że nawet najdalej idący liberalizm nie zwalnia ich od obowiązku poprawy tekstu, lub bodaj próby namówienia autora do pracy nad tym, co pisze.

Przejdźmy do sprawy merytorycznej, czyli do tego, co dobre, a co złe, lub co najwyżej średnie. Ale najpierw jedna uwaga. Światowa literatura od dziesiątków lat wypełniona jest nazwiskami wybitnych pisarzy żydowskiego pochodzenia, z których niemało — żeby wymienić tylko braci Singerów — pochodziło z Polski. Mało który z nich był „u siebie"; jest to z reguły przywilej amerykańskich pisarzy żydowskiego pochodzenia. Niegdyś, przed Hitlerem, był to przywilej pisarzy niemieckich, a także, w znacznym stopniu, polskich. Wykorzenienie i ponowne zakorzenianie się zawsze było cechą literatury żydowskiej i jest nią po dziś dzień, także wśród pisarzy urodzonych w Izraelu (lub wcześniej w Palestynie) i piszących po hebrajsku. Dlatego też nie widzę najmniejszego powodu, aby w stosunku do autorów reprezentowanych w *Konturach* stosować taryfę ulgową. Prawda, że są to w większości ludzie, którzy w dojrzałym wieku zostali zmuszeni do opuszczenia Polski. Ale to samo dotyczy polskich pisarzy emigracyjnych, którzy nie są Żydami.

W *Konturach* znalazły się teksty dziesięciu prozaików, pięciu poetów i jednego historyka literatury. Jest nim Ryszard Loew, autor rzeczowego eseju pt. *Antoni Słonimski w literaturze hebrajskiej*, polemizującego z wypaczoną, bo źdźbko szowinistyczną recepcją twórczości Słonimskiego w Izraelu. Wśród tekstów literackich znalazłam dwa na autentycznie wysokim poziomie —

Idy Fink i Leo Lipskiego — i dwa średniej miary, za to bezpretensjonalne, sprawnie napisane, interesujące. Autorką jednego z nich jest Halina Birenbaum. Fragment jej prozy zatytułowany *Po wojnie* — historia młodego małżeństwa borykającego się z życiem w pierwszych latach po powstaniu państwa Izrael — stanowi zakończenie autobiograficznej powieści. Niestety jest to fragment zbyt krótki, aby można było z niego odnieść wrażenie całości. Drugi tekst to opowiadanie Natana Grossa pt. *Upiór*, makabryczna opowieść z okresu okupacji w Warszawie, historia zagłodzonej Żydówki, która ukrywa się z martwym dzieckiem w piwnicy tuż pod mieszkaniem znajomej polskiej rodziny i nocami kradnie ich chleb.

Naprawdę znakomita jest *Julia* Idy Fink, z podtytułem *Zapiski do życiorysu*. Urodzona w Zbarażu, Ida Fink przyjechała do Izraela w roku 1957. Jest autorką książki pt. *Skrawek czasu* (nagroda im. Anny Frank, Amsterdam 1985), która w roku 1987 ukazała się nakładem *Aneksu*. Jej proza przypomina najlepsze fragmenty powieści i opowiadań Nałkowskiej, być może również *Cudzoziemkę* Kuncewiczowej. Cechuje ją bogate obrazowanie, prosta a zarazem wyszukana polszczyzna, delikatna stylizacja podporządkowana opisowi tego, co zwykło się określać mianem ironii losu. Mam tu na myśli, że Ida Fink opisując pejzaże żydowskich tragedii stylizuje je na ironię losu. Julię oglądamy oczami narratorki od lata 1939, poprzez wojnę, potem życie na Ziemiach Odzyskanych i wyjazd do Izraela w roku 1967, aż po nagłą śmierć tuż po zakończeniu wojny sześciodniowej. Ida Fink opisuje przemiany Julii, jej metody przystosowania, a raczej doprowadzoną do perfekcji imitację przystosowania. Cytuję fragment początku:

„Pamiętam Julię z ostatnich dni sierpnia: płynie przez zakurzony rynek sterując szeroką kresą czarnego, słomkowego kapelusza, jeszcze szczupła, w piaskowej sukni, w piaskowych po łokcie rękawiczkach, szykowna, wielkomiejska. Chód ma lekki, zgrabną nogę.

— Zadziwiająca jest zdolność przystosowania u niektórych kobiet — mówi przyjaciel jej młodości Henio, który przyjechał w rodzinne strony aż z Paryża i podobnie jak Julia pozostał już w miasteczku. (...) Jest wczesne popołudnie, słońce praży. Nowe wcielenie Julii oddala się lekkim krokiem, w piaskowej sukni i w czerni słomkowych skrzydeł. Nikt oprócz najbliższych nie wie, że czerń i piasek nie przez nią zostały kupione, że nie ona decydowała o kroju i kolorze: są podarkiem bogatej krewnej. Nikt ani domyślać się tego nie może, gdyż Julia wygląda tak, jakby przez całe życie ubierała się w paryskie piaski i florentyńskie słomki.

W miarę jak się oddala, piaski zlewają się z kolorytem zakurzonego rynku i po chwili widać już tylko czarny obłoczek unoszący się nad jej kształtną głową.

Zabobonni ujrzeliby w tym zapowiedź".

Autorem drugiego utworu jest Leo Lipski, wybitny pisarz, od

lat powalony chorobą, autor opowiadań *Dzień i noc* i *Miasteczko*, publikowanych w *Kulturze* w roku 1960, i małej powieści pt. *Piotruś*, wydanej w tym samym roku przez *Instytut Literacki* i chyba wartej wznowienia. Krótki, gorzki, gwałtowny tekst, całkowicie nieczuły na tzw. „oszczędność środków wyrazu" nosi tytuł *Św. Paweł* i mówi o bólu życia: fizycznym i duchowym. Mówi także o drugiej wojnie światowej, o porażeniu niemożnością pisania i o nigdy nie gasnącej nadziei, iż dręczące obrazy uda się kiedyś przenieść na papier. Ale ta nadzieja zamiast przynieść *katharsis*, zdaje się tylko pogłębiać fizyczną i duchową niedolę:

„Chodzę po pokoju i udaję, że nie wiem, o co chodzi. Ale gdy widzę papier, dostaję mdłości i słyszę, że jest we mnie cicho. (...) Obrazy leżą we mnie zastygłe, wyschnięte jak rośliny w zielniku. Ogłupiały jestem od luminalu, bromu, chloralu. Trupy leżą na drodze, która mnie od nich dzieli, jak progi kolejowe. (...) Czekam, aż obrazy podniosą się przede mną jak węże przed zaklinaczem, obrazy owszonych i żywych, wciskających usta w wargi trupów, obejmujących ich udami, aż zmieszają się w wielkim składzie potu, łajna, strachu i otępienia, i odsłonią to, co było przedtem — iżby okazało się, że ja, który byłem przeznaczony ku śmierci, stałem się dla żywota; że zostałem zabity, aby stworzyć ze zdań i słów życie, które wyrośnie na nawozie, ze mnie i z tych, którzy zgnili.

I wydaje się to nagle najbardziej proste i wielokrotnie zawiłe, droga prymitywna, przewrotna i zwycięska".

Nie mam ochoty rozwodzić się na temat poezji w *Konturach:* jest w całości wtórna, post-tuwimowska lub post-różewiczowska. Żaden z poetów zaprezentowanych w piśmie nie znalazł właściwego języka na oddanie tych wszystkich doświadczeń i uczuć, które bez wątpienia kryją się w ich treści. Pozostały bardziej lub mniej sentymentalne obrazki i sztampowa retoryka, dziwacznie nieprzystająca do życia i wiedzy autorów.

Co dalej? W nocie od redakcji zapowiedziany został następny numer *Konturów*, w którym być może znajdą się przekłady z literatury hebrajskiej. Znakomity pomysł! Chętnie przeczytałabym wiersze Teda Carmi i Jehudy Amichai w dobrych polskich przekładach. I może jeszcze chętniej fragmenty prozy Kaniuka i Jeshohuy.

Co dalej? Być może — to już moja własna sugestia — tłumaczenia poetów piszących niegdyś po żydowsku, a pochodzących z Galicji i Kongresówki, tych których Jerzy Ficowski i Aleksander Ziemny nie zdążyli jeszcze przetłumaczyć. Byli wśród nich poeci pierwszej świetności. Większość wywędrowała do Ameryki przed pierwszą wojną światową. W latach 60-tych ich twórczość przeżyła ogromny renesans. Skąd ich znam? Ze znakomicie opracowanych antologii wydanych w Ameryce i w Anglii.

Na kolejne „co dalej?" brak mi wyobraźni.

Janina KATZ HEWETSON

Nadesłane nowości wydawnicze

BARTOSZEWSKI (Władysław). *Los Żydów Warszawy 1939-1943.* Wyd. II, str. 70 i 2 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1988).

GARLIŃSKI (Józef). *Niezapomniane lata.* Str. 146 i 2 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn 1987).

Kemedianci — rzecz o bojkocie. Praca zbiorowa. Str. 269 i 3 nlb. (Wyd. Spotkania, Paryż 1988).

TOMASZEWSKI (Adam). *Chleba naszego powszedniego.* Str. 255 i 1 nlb. (Wyd. nakładem Autora i czytelników, Toronto 1988).

ŚMIEJA (Florian, wybrał i przełożył). *Poezje arabsko-andaluzyjskie.* Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. Polish-Canadian Publishing Fund, Toronto 1988).

ŁUBIEŃSKI (Stefan). *Prolegomena do wiedzy zdobytej pracą ducha.* Str. 326 i 2 nlb. (Wyd. Lohengrin-Verlag, Rendsburg, RFA 1988).

ŻYCIŃSKI (Józef). *Teizm i filozofia analityczna.* Str. 261 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 650).

CHASKIELEWICZ (Stefan). *Ukrywałem się w Warszawie. Styczeń 1943 - styczeń 1945.* Str. 191 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 550).

Cierpienie ma tysiąc twarzy — Jan Paweł II i chorzy. Opr. Zdzisław RYN. Str. 390 i 2 nlb. i 22. (Wyd. Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną, Warszawa 1989).

PALIBIN (N. W.). *Zapiski sowietskowo adwokata. 20-tyje - 30-tyje gody.* Str. 201 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-Press jako 9-tą pozycję serii „*Nasze niedawnieje*" pod redakcją A. Sołżenicyna).

RYBAKOW (Władimir). *Afgancy.* Str. 139 i 5 nlb. (Wyd. Overseas Publications Interchange, Londyn 1988).

ETKIND (Efim). *Process Josifa Brodskowo.* Str. 171 i 5 fotografii. (Wyd. Overseas Publications Interchange, Londyn 1988)ł

MACKIEWICZ (Józef). *Katyń.* Przeł. z polskiego Siergiej Kryżyckij. Str. 345 i 5 nlb. (Wyd. „Zaria", London, Kanada 1988).

BACZKO (Bronisław). *Comment sortir de la Terreur. Thermidor et la Révolution.* Str. 353 i 7 nlb. (Wyd. Gallimard, Paryż 1989, cena F. 110).

GOMBROWICZ (Witold). *Contre les poètes.* Str. 166 i 10 nlb. (Wyd. Editions Complexe, 1988).

ZAHORSKI (Witold Jacek). *L'action du primat de Pologne August Hlond en 1940-1945.* Str. 102 i 56 aneksów. (Maszynopis, wyd. w Institut d'Etudes Politiques de Paris, 1988).

ROMANSKI (Tadeusz Edward). *Grammaire du polonais. Phonologie-morphologie-morphonologie.* Str. 160 i 14 nlb. (Wyd. Presses Universitaires de Vincennes, 1988, cena F. 135).

Déclaration universelle des droits de l'homme. Str. 48. (Wyd. *Libération* — Fixon — Folio (Gallimard) — Amnesty International, 1988).

MOND (Georges). *Pologne — chronique de science administrative.* (Nadbitka z *Annuaire européen d'administration publique*, str. 637-677, wyd. CNRS, Paryż 1988).

MYCIŃSKI (Jan). *Le prince Alexandre Drucki-Lubecki, un éminent homme d'Etat polonais.* Str. 4. (Wyd. Club Polonia-Nord, Lille 1988).

SADYKIEWICZ (Michael). *Organizing for Coalition Warfare. The Role of East European Warsaw Pact Forces in Soviet Military Planning.* Str. 134 i 4 nlb. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica, USA, 1988).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

9-11-88
Jerzy Pomianowski otrzymał nagrodę ZAIKS-u za przekłady z języka rosyjskiego. Przekłady te ukazywały się pod pseudonimem Michał Kaniowski. M.in. Jerzy Pomianowski tłumaczył dzieła Sacharowa, Michała Hellera, a przede wszystkm Aleksandra Sołżenicyna. Większość tych przekładów ukazała się w Instytucie Literackim w Paryżu.

29-11-88
Zmarł w Katowicach w wieku 81 lat Jerzy Kurcjusz, adwokat, obrońca polityczny i doradca „Solidarności". W czasie drugiej wojny światowej na placówce w Turcji kierował łącznością z Krajem i Rządem RP w Londynie. Był mężem zaufania prof. Kota.

10-12-88
W Warszawie odbyło się zebranie założycielskie Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Litwy. W zebraniu wzięło udział ponad 100 osób spośród uczonych, historyków, pedagogów itp. oraz liczna delegacja z Republiki Litewskiej z prof. Landsbergisem, przewodniczącym Rady Sejmu litewskiego i ruchu na rzecz przebudowy — *Sajudis*.

16-12-88
Bawił w Polsce, na zaproszenie polskiego Kościoła prawosławnego, Metropolita lwowski i tarnopolski Nikodem. W udzielanych wywiadach stwierdził, że nie ma żadnych stosunków między katolikami obrządku greckokatolickiego i prawosławnymi oraz żadnych kontaktów ekumenicznych. ■ Nagroda im. Andrzeja Kijowskiego za 1988 rok została przyznana Annie Bojarskiej za eseje literackie i historyczne.

18-12-88
Na zebraniu działaczy i doradców „Solidarności" oraz zaproszonych przez Lecha Wałęsę przedstawicieli nauki i kultury został wyłoniony Komitet Obywatelski, który ukonstytuował się, jak następuje: Przewodniczący Komitetu — Lech Wałęsa, Komisja Pluralizmu Związkowego — Tadeusz Mazowiecki, Komisja Reform Politycznych — Bronisław Geremek, Komisja Prawa i Wymiaru Sprawiedliwości — Adam Strzembosz, Komisja Warunków Bytowych, Pracy i Polityki Socjalnej — Jan Rosner, Komisja Polityki i Reformy Gospodarczej — Witold Trzeciakowski, Komisja Wsi i Rolnictwa — Andrzej Stelmachowski, Komisja Mieszkaniowa — Aleksander Paszyński, Komisja Zdrowia — Zofia Kuratowska, Komisja Nauki, Oświaty i Wychowania — Henryk Samsonowicz, Komisja Kultury i Komunikacji Społecznej — Andrzej Wajda, Komisja Samorządu Terytorialnego — Jerzy Regulski, Komisja Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych — Henryk Kozłowski, Komisja Stowarzyszeń i Organizacji Społecznych — Klemens Szaniawski, Komisja do Współpracy z Mniejszościami Narodowymi — Marek Edelman, Komisja do Spraw Młodzieży — Paweł Czartoryski. *Stały Sekretariat:* Sekretarz — Henryk Wujec (organizacja Sekretariatu i opracowanie projektu regulaminu).

21-12-88
Zmarł w Warszawie w wieku 65 lat Bohdan Czeszko, prozaik i publicysta.

1-1-89
Tygodnik Powszechny podaje ocenę Władysława Baki sytuacji ekonomicznej PRL: „Ponad dwukrotnie został przekroczony dopuszczalny poziom opłacania wzrostu wydajności pracy, ponad trzykrotnie — dopuszczalny wzrost emisji pieniądza. Zapasy towarów kształtują się na poziomie dwukrotnie niższym od poziomu niezbędnego do prawidłowego funkcjonowania sprzedaży detalicznej. Absurdalną wielkość osiągnął kurs walut obcych w stosunku do złotego... W obecnej wersji przewiduje się, że... przyrost emisji pieniądza bez pokrycia, czyli bezwartościowego papieru, miałby wynieść 1.200 mld złotych". ■ Doroczna nagroda publicystyczna im. Adolfa Bocheńskiego, ufundowana przez Mieczysława Pruszyńskiego, została przyznana Stefanowi Kisielewskiemu za całokształt twórczości i Markowi Goliszewskiemu za redagowanie miesięcznika *Konfrontacje*. Ponadto przyznano dwa wyróżnienia: Józefowi Kuśmierkowi za całokształt twórczości reportażowej oraz Wojciechowi Lizakowi za opracowania dotyczące aparatu represji w Polsce w latach 1945-1955. Nagrody wynoszą po 400 tys. zł., a wyróżnienia po 200 tys. zł.

8-1-89
Posiadacze paszportów konsularnych PRL zostali zwolnieni od obowiązku wymiany walut. ■ Powstało stowarzyszenie obywateli ZSSR zamieszkałych na stałe w PRL. ■ Związek Sowiecki wydał zakaz wywożenia z ZSSR telewizorów, lodówek, pralek, kawy oraz kawioru.

12-1-89
Zmarł w Warszawie w wieku 59 lat Zygmunt Hübner, znany reżyser, aktor i pisarz. ■ Został przedłużony termin składania wniosków o odszkodowanie za mienie pozostawione na Wschodzie, co obejmuje także spadkobierców.

13-1-89
Ukazało się zarządzenie Ministra Spraw Zagranicznych PRL o zwalnianiu z opłat wizowych i obowiązkowej wymiany dewiz kombatantów drugiej wojny światowej polskiego pochodzenia. Zarządzenie to ma na celu ułatwianie przyjazdów kombatantów do Polski w 50-tą rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej.

16-1-89
Na pomoc dla ofiar trzęsienia ziemi w Armenii w kościołach Archidiecezji Krakowskiej zebrano ok. 25 mln złotych. Ponadto został wysłany transport samochodowy z odzieżą, sprzętem gospodarskim, pomocami szkolnymi itp. wartości 9.793.000 złotych. Ks. Prałat Kazimierz Filipiak, wikariusz generalny Prymasa Polski dla wiernych obrządku ormiańskiego w Polsce, wystosował okolicznościowe orędzie. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 78 lat Jan Kielanowski, członek rzeczywisty PAN, doktor *honoris causa* wielu uniwersytetów zagranicznych, członek KOR-u i znany obrońca praw człowieka i wolności słowa.

18-1-89
Związek Literatów Polskich liczy obecnie około 800 członków. W początkach marca bież. roku odbędzie się zjazd delegatów, który wyłoni nowe władze ZLP. Skąd się wzięło tylu literatów w PRL?

20-1-89
Zmarł w Warszawie w wieku 78 lat Józef Cyrankiewicz. Był premierem rządu PRL od 1947 do 1952, a później — od 1954 do 1970 roku. Odegrał znaczną rolę w powstawaniu Polski Ludowej, doprowadzając do fuzji PPS i PPR. Jego rola w wydarzeniach poznańskich 1956 roku była znamienna

— groził robotnikom „obcinaniem rąk". Odsunięto go od władzy w 1970 roku w związku z rewoltą robotników na Wybrzeżu, krwawo stłumioną na polecenie Władysława Gomułki. ■ Zjednoczone Stronnictwo Ludowe w PRL wystąpiło z wnioskiem o przywrócenie obywatelstwa polskiego Stanisławowi Mikołajczykowi. ■ Reaktywowano Stowarzyszenie Sybiraków, którego prezesem został Ryszard Reiff. ■ *Tygodnik Powszechny* podaje, że w ub. roku ze statków rybackich zeszło i pozostało za granicą 220 członków załóg. ■ Andrzej Kuśniewicz został wybrany do Academie Goncourt. Nastąpiło to na skutek rozszerzenia w ostatnich latach składu tej akademii o 10 członków zagranicznych z kręgu wybitnych pisarzy z całego świata. Szereg książek A. Kuśniewicza, jak np. „Król Obojga Sycylii", „Stan nieważkości", „W drodze do Koryntu", „Lekcja martwego języka" zostały przełożone na język francuski. ■ W bieżącym roku PRL sprowadzi milion ton ropy z Iranu.

21-1-89
Ks. Prałat Stefan Niedzielak, proboszcz parafii Św. Karola Boromeusza w Warszawie (Powązki) został zamordowany przez dotąd niewykrytych sprawców. Ks. Niedzielak liczył 74 lata, był kapitanem Wojsk Polskich oraz kapelanem Armii Krajowej i WiN-u. Na Powązkach zorganizował sanktuarium Polaków poległych na Wschodzie. Był współinicjatorem stworzenia wspólnoty „Rodzina katyńska — Rodzina Polska". W ostatnich paru latach zajmował się organizowaniem pomocy Polakom wywiezionym do ZSSR.

26-1-89
Kontrowersyjna sprawa obecności SS Karmelitanek na terenie b. obozu w Oświęcimiu została rozwiązana przez kardynała Macharskiego w ten sposób, że SS Karmelitanki zostaną umieszczone we własnym klasztorze, gdy tylko zostanie wybudowany na wydzielonym terenie w obrębie miasta Oświęcim.

30-1-89
Ks. Stanisław Suchowolec, lat 31, proboszcz parafii w Białymstoku, został znaleziony martwy w swoim mieszkaniu. Zachodzi podejrzenie morderstwa. Ks. Suchowolec zajmował się duszpasterstwem robotniczym i był znany jako czynny działacz „Solidarności". Był uczniem i bliskim przyjacielem ks. Jerzego Popiełuszki.

5-2-89
Tygodnik Powszechny podaje: Po raz pierwszy państwa Układu Warszawskiego ujawniły oficjalnie stan liczbowy swoich sił zbrojnych. I tak okazuje się, że PRL posiada 347 tys. żołnierzy (bez wojsk MSW i WOP), 3.330 czołgów, 4.855 transporterów opancerzonych, 3.065 jednostek artyleryjskich i 480 samolotów bojowych. ■ NRD zmniejsza swoje wydatki zbrojeniowe o 10 %, likwiduje 600 czołgów (sześć pułków) i 50 samolotów bojowych (jeden pułk). Czechosłowacka Armia Ludowa pozbędzie się 850 czołgów, 165 transporterów opancerzonych i 51 samolotów bojowych. Wydatki zbrojeniowe CSRS zostaną zmniejszone o 15 %. Bułgaria zmniejsza wydatki zbrojeniowe o 12 % likwidując m.in. 200 czołgów, 200 armat, 20 samolotów bojowych i 5 okrętów. Przypomnijmy, że polski budżet wojskowy zmniejszony zostanie jedynie o 4 %.

ZACHÓD — EMIGRACJA

4-12-88
Zmarł w Ann Arbor, MI (USA) inż. Fabian C. Polcyn, wybitny działacz niepodległościowy i polonijny, członek Rady Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich. ■ Przyznano po raz pierwszy nagrodę imienia Brunona Schulza, ufundowaną przez amerykańską Fundację Studiów Polsko-Żydowskich przy współudziale amerykańskiego PEN-Clubu. Laureatem nagrody został Zbigniew Herbert. Na uroczystości wręczania nagrody, pod nieobecność laureata, jego wiersze czytali Susan Sontag i Czesław Miłosz.

12-12-88
Zmarł w Edmonton (Kanada) w wieku 89 lat mjr Andrzej Bohomolec, uczestnik wyprawy jachtu „Dal" przez Atlantyk, konsul generalny RP w Szanghaju, oficer łącznikowy przy Misji Wojskowej we Francji w 1940 roku, uczestnik walk w Libii i komandosów polskich we Włoszech.

29-12-88
Zmarła w Londynie w wieku 90 lat Zofia Arciszewska, wdowa po generale Adamie Arciszewskim, przed wojną artystka malarka i właścicielka słynnej kawiarni „Sztuka i Moda" (SIM). Po wojnie prowadziła ożywioną działalność w Londynie w ramach Polskiej Macierzy Szkolnej.

1-1-89
Zmarł w Paryżu w wieku 48 lat Michał Józefowicz, ceniony malarz o tendencjach surrealistycznych. Wielokrotnie wystawiał swoje prace w Galerie Lambert i w Galerie Romanet w Paryżu.

5-1-89
Zmarł w Rzymie w wieku 77 lat Witold Zahorski, żołnierz, publicysta i działacz społeczny. Był członkiem ZWZ w Wilnie, aresztowany przez władze sowieckie, następnie był w Drugim Korpusie, gdzie pełnił funkcje oficera prasowego i był redaktorem naczelnym pisma *Na szlaku Kresowej*. Po wojnie osiadł w Rzymie, gdzie był m.in. prezesem SPK i Związku Polskich Organizacji Niepodległościowych. Jako delegat Polskiego Komitetu Imigracyjnego opiekował się polskimi uchodźcami na terenie Włoch oraz cmentarzami wojskowymi Drugiego Korpusu. Był autorem przewodnika pt. „Polak we Włoszech", który doczekał się kilku wydań, jako niezbędne źródło informacyjne. Witold Zahorski był przyjacielem *Kultury* i jej przedstawicielem na Włochy.

6-1-89
W Księgarni Polskiej w Paryżu odbyło się spotkanie z Kazimierzem Braunem, reżyserem, profesorem teatrologii i pisarzem — teoretykiem teatru.

13-1-89
W Centre du Dialogue w Paryżu Michał Heller wygłosił odczyt na temat „Problemy narodowościowe w Związku Sowieckim".

14-1-89
Zmarł w Kopenhadze w wieku 88 lat redemptorysta O. Jan Tomasz Szymaszek. Przebywał w Danii od 1950 roku, w 1953 roku został pierwszym rektorem Polskiej Misji Katolickiej w Danii.

16-1-89
Dla zaakcentowania przyjaźni i współpracy z krajami sąsiadującymi z Polską. POLCUL Foundation przyznała sześć wyróżnień dla osób zaangażowanych w ruch kultury niezależnej. Z Ukrainy wyróżnienia otrzymali Wiaczesław Czornowił, pisarz i wydawca, oraz Jewhen Swerstiuk — pisarz; z Litwy — Viktoras Petkus, dziennikarz i obrońca praw człowieka; z Rosji — Lew Timofiejew, ekonomista i pisarz oraz Walerij Senderow, publicysta; wreszcie z Estonii — Ignar Fjuk, działacz kulturalny i społeczny.

17-1-89
Prezydent RP na Wygnaniu, Kazimierz Sabbat, powołał Główną Komisję Wyborczą do Rady Narodowej RP. Wybory odbędą się 30 kwietnia br.

25-1-89
Towarzystwo Historyczno-Literackie zorganizowało w Bibliotece Polskiej w Paryżu wieczór poezji Anny Kaplar.

31-1-89
Prof. Jerzy Wojciechowski z uniwersytetu w Ottawie wygłosił w Institut Catholique de Paris odczyt pt. „Idea 'Solidarności' — zasięg światowy". ■ Stany Zjednoczone zażądały od władz PRL „szybkiego i kompletnego" wyjaśnienia okoliczności śmierci księży Niedzielaka i Suchowolca.

2-2-89
W Klubie „Kontakt" w Paryżu miał miejsce wieczór autorski Macieja Niemca. Ponadto 16 lutego br. spotkanie autorskie z malarzem Andrzejem Bąkowskim, a wreszcie 23 lutego br. odbędzie się spotkanie z redaktorem Leopoldem Ungerem.

3-2-89
W Centre du Dialogue w Paryżu w ciągu lutego miały miejsce odczyty: ks. prof. Roman Dzwonkowski z KUL-u mówił na temat „Życie religijne Polaków w Związku Sowieckim", a 17 lutego Aleksander Smolar o „Perspektywach środkowo-wschodniej Europy". Ponadto 5 lutego została odprawiona msza św. za duszę Witolda Zahorskiego, zmarłego w Rzymie 5 stycznia br.

12-2-89
Polska Fundacja Kulturalna w Londynie obchodzi uroczyście 25-lecie pracy wydawniczej.

20-2-89
3 marca ks. prof. Janusz Pasierb wygłosi odczyt pt. „Bóg i Kościół poetów", a 17 marca prof. J. Kłoczowski będzie mówił o millenium chrześcijaństwa ruskiego. ■ Nagrody Fundacji Jurzykowskich w Nowym Jorku otrzymali: w dziedzinie medycyny — dr Stanisław Leszczyński (Polska), matematyki — Andrzej Ehrenfeucht (USA), fizyki — prof. Stanisław L. Woronowicz (Polska), filozofii — Jerzy Pelc (Polska), historii — prof. Jerzy Kłoczowski (Polska), literatury — Adam Zagajewski (Francja), teorii literatury — Janusz Sławiński (Polska), plastyki — Stanisław Rodziński (Polska), muzyki — Bohdan Pociej (Polska), działalności kulturalnej — Kazimierz Romanowicz, dyrektor księgarni Libella oraz galerii sztuki Galerie Lambert w Paryżu. Redakcja *Kultury* składa najlepsze życzenia z okazji tak zasłużonego wyróżnienia.

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Jarosław Iwaszkiewicz jako osoba publiczna popełniał czyny mniej lub bardziej naganne, a jego postawa odbijała się niestety również w jego twórczości. *Kultura* zawsze wykazywała daleko posunięty, zdrowy krytycyzm wobec osoby i dzieła. Przez piętnaście lat przechowałem w pamięci formułę M. Brońskiego: „Jarosław Iwaszkiewicz jest pisarzem i bezpartyjnym blokiem współpracy z rządem w jednej osobie i w obu dziedzinach uchodzi za współczesnego klasyka".

P. Stanisław Nowicki *(Kultura* Nr 1/496-2/497) dowodzi z uporem, że dzienniki Iwaszkiewicza nie zasługują w żadnym razie na druk i że powinny koniecznie być wydane. Gotów jestem uwierzyć w pierwszą z tych opinii, jako polonista tradycyjnie podzielam drugą.

Czy jednak ktoś, kto grzebie w cudzych papierach na biurku bez upoważnienia ma potem prawo wydawać oceny obyczajowe i moralne?

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku

Andrzej DOBOSZ

◆

Neapol, 26 stycznia 1989.

Szanowny Panie Redaktorze!

W grudniowym numerze *Kultury* ukazał się wywiad z dr. Stanisławem Gomułką. Przeczytałem go z zainteresowaniem, chciałbym doń jednak dodać kilka uzupełnień dotyczących Dyskusyjnego Klubu Politycznego na Uniwersytecie Warszawskim. Sprawa tego Klubu poruszana była w ubiegłym roku także w prasie krajowej i zawsze z dość istotnymi błędami, które czuję się w obowiązku sprostować, jako jego organizator w 1962 roku. Był to wyłącznie mój pomysł i inicjatywa, którą po prostu Komitet Uczelniany ZMS i partii zaakceptowały. Początkowo spotkania organizowałem w sali ZSP (tam między innymi odbyło się jeszcze spotkanie z prof. Oskarem Lange o rozbrojeniu). Później, wraz ze wzrostem ilości słuchaczy, uzyskałem zgodę rektora Turskiego na korzystanie z sal Auditorium Maximum. Wraz ze wzrostem jego znaczenia także KU ZMS, którego członkiem byłem, zaczął się nim bardziej interesować, choć zawsze Klub pozostawał imprezą dość autonomiczną.

Byłem wówczas jeszcze studentem, zajmowałem się również sprawami studentów-cudzoziemców, które coraz bardziej mnie absorbowały (i musiałem prowadzić również prace zarobkowe — korepetycje z matematyki!), poprosiłem więc Karola Modzelewskiego o pomoc. Przez pewien czas prowadziliśmy więc Klub wspólnie, a raczej zamiennie, gdyż po prostu on prowadził te zebrania, które przygotowywał, a ja te przygotowane przeze mnie. Organizator musiał wszystko sam załatwić, włącznie z rozwieszeniem plakatów o kolejnym spotkaniu na różnych wydziałach Uniwersytetu.

Tematy i osoby potencjalnych prelegentów uzgadnialiśmy oczywiście wspólnie. Stopniowo ograniczałem swą rolę do zwykłej obecności na zebraniu,

aż wreszcie przekazałem całkowicie Klub Karolowi, który zatem był jego organizatorem przy smutnym końcu. Brałem jednak udział w wielu oficjalnych i prywatnych rozmowach dotyczących dalszych losów Klubu, nawet po przekazaniu go Karolowi.

Klub zorganizowałem z *gentlemen agreement* z KU partii, że nie będziemy tam zapraszać osób z opozycji ani z kręgów katolickich. Było to niezadługo po rozwiązaniu Klubu Krzywego Koła, więc wielokrotnie musiałem zapewniać, że nie powtórzymy jego modelu. Dlatego też sprawa zaproszenia prof. Kołakowskiego nie mogła być nawet rozważana.

W spotkaniach z profesorami naszego uniwersytetu i znanymi dziennikarzami brało udział 200-300 osób. Dyskusje były bardzo żywe i pytania dotyczyły spraw kluczowych. Pamiętam na przykład spotkanie z prof. Baumanem, który próbował nas wtedy przekonywać, że w Polsce nie ma fenomenu „nowej klasy", a myśmy twierdzili, że jest. Innym razem w dyskusji o egalitaryzmie redaktor Rakowski zapędził się nawet tak daleko, że zaczął nam tłumaczyć, iż syn ministra powinien dla dobra społecznego sprawować funkcje kierownicze, gdyż przez wychowanie domowe jest do nich o wiele lepiej przygotowany niż syn chłopski. O ówczesnym stanie naszych umysłów świadczyć może długa nocna dyskusja, jaką mieliśmy z Karolem po jednym z zebrań. Obaj byliśmy zgodni, że istniejący system należy zmienić, różniliśmy się natomiast w opinii, jak do tego doprowadzić. On obstawał, że trzeba stworzyć nacisk na partię z zewnątrz, zorganizować klasę robotniczą, ja zaś sądziłem, że trzeba zmieniać system od wewnątrz, działając wewnątrz partii, wprowadzać do aparatu ludzi myślących po nowemu. Dziś sądzę, że historia przyznała rację obu nam naraz; trzeba było robić jedno i drugie.

Było to wówczas jedno z nielicznych miejsc w Warszawie, gdzie toczyły się dysputy polityczne. Brała w nich udział znaczna liczba osób o zainteresowaniach politycznych, z których wiele odegrało pewną rolę w dalszych wypadkach. To prawda, że wiele osób podjęło później działania typu opozycyjnego, często zakończone wyrokami skazującymi lub doświadczyło innych represji, ale bywali na zebraniach także zwolennicy „powrotu do zasad socjalizmu", co doprowadziło ich do walki z tak zwaną grupą komandosów i pozwoliło użyć ich zwolennikom „twardego kursu". Nie da się zatem określić Klubu jako „wylęgarni opozycjonistów": bywali tam różni ludzie.

Pierwsze chmury zaczęły się gromadzić nad Klubem właśnie w związku z jego rosnącą popularnością w Warszawie. O ile mnie pamięć nie myli, pierwszy zaczął bić na trwogę Komitet Uczelniany partii z Politechniki, który zaalarmował Komitet Warszawski. Politechnika była wtedy ostoją konserwy i ta nie mogła przeboleć, że „ich" studenci biorą udział w tak „wywrotowych" zebraniach. Pamiętam, że przychodzili tam także studenci z SGPiS i SGGW. Były także próby przenoszenia naszych dyskusji na wydziały UW. Pamiętam takie zebrania na wydziale geologii, matematyki i fizyki (organizowane właśnie przez Gomułkę), pedagogiki. Jeden z moich przyjaciół zaczął coś podobnego organizować we Wrocławiu.

Awantura polityczna wybuchła, gdy zaczął na nasze zebrania przychodzić Jacek Kuroń i tam przemawiać (a robił to świetnie!). Pamiętam, że w pewnym momencie, szukając rozwiązania kompromisowego, zaproponowano nam w KU partii zamknięcie zebrań tylko dla studentów UW, ze sprawdzaniem legitymacji przy wejściu, co było trudne do wykonania. Ostatecznie Klub zawieszono. Gwoli prawdy historycznej muszę stwierdzić, że osoby z ówczesnego KU zajmujące się sprawami młodzieżowymi okazywały w tych rozmowach wiele dobrej woli, próbowano nas bronić, jednak wyższe instancje partyjne były nieustępliwe. Późniejsze wydarzenia potwierdziły, że ich obawy nie były bezpodstawne.

Krzysztof GAWLIKOWSKI

◆

Lund, 4 stycznia 1989.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł Renaty Gorczyńskiej o pisarstwie Josepha Rotha (nr 12/1988 *Kultury*) nasuwa następujące refleksje:

Autorka utrzymuje, że Roth nie idealizował przeszłości Austrii, a przytoczona przez nią opinia J. Wittlina przypisuje temu autorowi nieprzejednaną wrogość wobec czasów przedwojennych. Zasadność tych ocen jest co najmniej wątpliwa. Cechowało bowiem Josepha Rotha niezmienne w ciągu całego życia przywiązanie do szeroko pojętych tradycji monarchii austriackiej, w której widział ostoję ładu europejskiego oraz godny naśladowania model pokojowego współżycia różnych narodów. Pod wpływem trawiącej go nostalgii za Austrią Habsburgów, za Wiedniem lat uniwersyteckich, a nawet za tak ośmieszoną przez Szwejka armią przystąpił, będąc już na emigracji w Paryżu, do związku austriackich legitymistów i został jego najbardziej eksponowanym propagandystą. Zapoznając ówczesne realia polityczne, agitował słowem i piórem za restauracją monarchii, a biorąc swe marzenia za rzeczywistość, dopatrywał się w osobie Ottona Habsburga cech predestynujących arcyksięcia do podjęcia skutecznej walki z hitleryzmem. Swym niepozbawionym egzaltacji kultem cesarza Franciszka Józefa, autor „Marszu Radetzky'ego" i „Krypty kapucynów" przyczynił się do podtrzymania mitu o Habsburgach, któremu w przeszłości hołdowało wielu pisarzy austriackich.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku

Henryk KESLER

◆

11 grudnia 1988.

Drogi Panie Redaktorze,

Replikę pana podpisanego jako *St. Toper* w numerze 11/494 *Kultury* można uznać za połajankę, jakich wiele w dziale listów i wówczas nie ma sensu na nią odpowiadać. Pozwoli Pan jednak, że potraktuję list i adwersarza poważnie. W liście do redakcji, który zdenerwował p. Topera, pisałem o *słabej orientacji polskiego intelektualisty w sprawach rosyjskich.* Jako przykład podałem błędy w polskim tłumaczeniu monografii Daniela Beauvois, *Polacy na Ukrainie.* Pan Toper gorąco broni tłumaczy, mnie napada, a przy okazji uważa, że moje oceny społecznego stanu wiedzy o Rosji są bezpodstawne. Mam w tej materii inne zdanie niż p. Toper.

Wiedza o Rosji, znajomość Rosji i jej problemów ma w Polsce wymiar praktyczny, ale wiedza ta nie jest w Polsce ceniona. Wiedzę tę winien posiąść przede wszystkim inteligent, intelektualista, ale jej nie posiada. Inteligent jest przeświadczony, że zna Rosję, Rosjan, Związek Sowiecki i że wiedzy tej starcza zarówno na użytek wewnętrzny jak i na eksport.

Czasem jest to prawdziwe — szereg wybitnych znawców wyżej wymienionych przedmiotów poznawało je w polskiej rzeczywistości. Ale w praktyce okazuje się, że rodacy nie zawsze potrafią dowieść swej kompetencji. Z niemiłego sąsiedztwa z rosyjsko-sowieckim niedźwiedziem i z doświadczenia narzuconego ustroju nie wynika bowiem automatycznie jakaś głębsza znajomość problematyki. Ani nawet znajomość faktów.

Nawet Melchior Wańkowicz — trudno powiedzieć, by w ogóle nie znał Rosji — wymieniając Serafima z Sarowa użył określenia *„jakiś"*, co brzmi, jak gdyby rosyjski publicysta napisał *jakiś Piotr Skarga.* A tak nawiasem, kto z czytelników wie, że taki Serafim istniał, kiedy to było i jaką odegrał rolę? Kisiel pytać zwykł: kto to, Koteczku? Ale zdaję sobie sprawę, że moje pytanie jest wręcz nieprzyzwoite.

Również nawiasem mówiąc, jak to jest z Kozielskiem i obozem polskich jeńców? Mieścił się w prawosławnym klasztorze, nazywał się ten klasztor *Optina pustyń*. Owszem, czytałem kiedyś nawet jakiś referat o klasztorze, napisany przez kogoś, kto władał językiem, przeczytał dwie książki, wydane w ZSSR na temat pustelni, zreferował. Tylko że nie zwrócił uwagi, nie wiedział, że ta *Optina* była w XIX wieku centrum prawosławnego odrodzenia religijnego, że wśród pielgrzymujących był Lew Tołstoj, że mieszkał tam Konstantin Leontiew, że Dostojewski umieścił tam akcję powieści. Oczywiście, nie ma przymusu pisania o Dostojewskim przy okazji Katynia, ale odnoszę wrażenie, że piszący napisaliby, gdyby wiedzieli. Ale skąd mieli wiedzieć, jeśli... itd.?

W polskim społeczeństwie, w narzekaniu nie jestem osamotniony, panuje statyczny i homogeniczny pogląd na Rosję i Rosjan, jakiś zredukowany Kucharzewski, gdzie wszystko i wszyscy jest wrzucone do wspólnego kotła i to na wsze czasy. Rosja jest niezmienna i nie ulegająca reformie. Kat i ofiara są tacy sami, mają identyczne poglądy i są jednakowo imperialistyczni. W rezultacie niemożność uporania się z nowymi zjawiskami, które zaskakują nas wcale nie mniej niż resztę świata.

Przechodząc do konkretu, do owego terminu тяглые люди, występującego w polskim tłumaczeniu *Polaków na Ukrainie* w nieszczęsnej postaci chłopów *ciągłych* i *nieciągłych*. Pan Toper namiętnie broni owej *ciągłości* i *półciągłości*. Na chwilę moja pewność została jakby nieco zachwiana. Przerzuciłem literaturę. Zarówno definicje z XIX wieku jak i współczesne zgadzają się. тягло było — w ogólnym ujęciu — podatkiem nakładanym na gminę wiejską, w potocznym ujęciu — podatkiem, obciążającym gospodarstwo chłopskie. Wbrew p. Toperowi nie było związane z posiadaniem bydła pociągowego, było wymierzane w zależności od rozmiarów gospodarstwa, obciążone powinnością były również gospodarstwa wcale nie posiadające zwierząt pociągowych. Tak chce *Brockhaus i Efron* przed niemal stu laty, tak tłumaczą historycy rosyjscy teraz. Nie wiem więc, skąd p. Toper czerpie swą wiedzę, byłoby mi przykro, gdybym toczył spór z wiatrakiem. Nie ma on też zupełnie racji, traktując оброк jako synonim tiagła — оброк jest oznaczeniem powinności z tytułu poddaństwa, spełnianej w naturaliach lub w pieniądzu, niekoniecznie pozostającej w zależności od gospodarstwa.

Nie napadałem na tłumaczy, przeciwnie, starałem się oddać im należne. Ze smutkiem zauważyłem, że p. Toper ma mniej merytoryczne zasady dyskutowania. W jego liście roi się od napastliwych przymiotników mających poniżyć czy „zniszczyć" adwersarza. Proszę Pana, w ten sposób już się w Polsce w kołach uniwersyteckich nie dyskutuje, nawet w ZSSR odchodzi się od tego „leninowskiego" stylu na rzecz bardziej rzeczowego! Czy chodzi o osłonięcie krzykiem gorszej wiedzy, czy o uniemożliwienie krytyki? Jeśli tak, to wyrządza wątpliwą przysługę tłumaczom „Polaków na Ukrainie".

Łączę wyrazy szczerego szacunku

Józef LEWANDOWSKI

◆

Gelsenkirchen, Niemcy, 8 stycznia 1989.

Szanowna Redakcjo! Szanowny Panie Giedroyc!

Przed dwoma dniami otrzymałem *Kulturę* nr 9 z 1988. Połknąłem ją w ciągu jednego dnia i jednej nocy. I zrozumiałem, dlaczego właśnie *Kultura* jest w PRL tak często opluwana, tak znienawidzona, a jednocześnie tak rzadko cytowana. Bo *Kultura* to prawda.

Z nazwą *Kultura*, z nazwiskiem Jerzy Giedroyc zetknąłem się (oczywiście poprzez legalną propagandę) we wczesnych latach siedemdziesiątych. Wyszydzana bardziej niż Wolna Europa, utkwiła mi w pamięci. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych, już po powstaniu KOR-u, stałem się namiętnym słuchaczem BBC (ach, te lekcje angielskiego). I *Kultura* bardziej kojarzyła mi się z pewnym tygodnikiem niż z Paryżem. Czasy „Solidarności" niewiele tu zmieniły. Stan wojenny to dla mnie okres rozpoczęcia pracy zawodowej, zmiana trybu życia, zmiana zainteresowań. Brak satysfakcji zawodowej, brak nadziei spowodował, że od roku przebywam w RFN. I nie jest to chyba koniec mojej emigracyjnej drogi...

Mając dość dużo czasu, kontaktuję się z różnymi organizacjami emigracyjnymi, czytam prasę emigracyjną. Niestety jest ona czarno-biała, prymitywna, prześciga się w epitetach, obrzucaniu komunistów błotem. Jedynie *Kultura* podejmuje trudne tematy, tematy, które są tabu nawet w kręgach opozycji: często dwuznaczna w polskim kryzysie rola Kościoła, finanse „Solidarności", alienacja solidarnościowej elity, nomenklatura, powierzchowność sowieckiej *pieriestrojki*. Doskonale napisane artykuły, trafiające do inteligentnego czytelnika. Czytając „Emigrantów" Dziewięckiej wiem, że to o mnie. Ja nie uciekłem z PRL z braku mieszkania czy pieniędzy. Miałem jedno i drugie. Ale nie wytrzymywałem już tego nacisku, tej szarości, beznadziei.

Takich wydawnictw władza w Warszawie musi się bać. Tylko prawda obraża. A Wy piszecie prawdę. I dlatego Was można się obawiać.

Łączę najlepsze życzenia dla całej Redakcji

Dariusz MIKOS

◆

Londyn, 21 stycznia 1989.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 1-2/1989 *Kultury* ukazał się wywiad z p. Marią Danilewicz Zielińską na temat „Wczoraj i dziś literatury emigracyjnej", przeprowadzony przez Floriana Śmieję.

Nie chcę się wypowiadać na temat całego wywiadu, bo wymagałoby to dużego studium, ograniczę się tylko do sprawy Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, którego jestem od lat wiceprezesem.

Pani Danilewicz Zielińska pokwitowała jego działalność jednym zdaniem: „Związek Pisarzy wegetował od czasu wyjazdu do USA dawnego animatora jego poczynań, Tymona Terleckiego".

Prof. Terlecki przestał być prezesem Związku w roku 1959, a więc trzydzieści lat temu. Później tylko na kilka miesięcy powrócił na tę funkcję w roku 1965, przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych. Po nim prezesami było pięć osób, z których cztery nie żyją. Każda z nich poświęciła wiele czasu sprawom Związku i miała swoje osiągnięcia.

Nie posiadam dawniejszych cyfr i szczegółów, dysponuję jednak nimi za ostatnie dwanaście lat prezesury dr. Józefa Garlińskiego.

Przede wszystkim w tym okresie rozpoczęto wydawanie *Pamiętnika Literackiego*, który jest *jedynym* stałym wydawnictwem na całym świecie prezentującym w sposób fachowy polskie osiągnięcia pisarskie i kulturalne poza krajem. Wydano już 13 tomów. Pani Danilewicz Zielińska wymienia szereg polskich pism na emigracji, które dotykają tych spraw, ale *Pamiętnik Literacki* pomija.

Obok niego Związek w tym okresie przyznał 24 nagrody za osiągnięcia pisarskie poza granicami kraju (także i p. Danilewicz Zielińskiej) i zorganizował 88 wieczorów literackich z udziałem najwybitniejszych polskich pisarzy, z Czesławem Miłoszem, Sławomirem Mrożkiem i Leszkiem Koła-

kowskim na czele. Byli wśród nich także pisarze z kraju: Władysław Bartoszewski, Jacek Bocheński, Stefan Kisielewski, Jan Józef Lipski, Adam Michnik, Andrzej Szczypiorski, Jacek Woźniakowski i inni. Swoje wieczory mieli także p. Danilewicz Zielińska i Florian Śmieja. Były także dwa wieczory w języku angielskim.

W ciągu tych 12 lat przyjęto do Związku 52 nowych członków, utrzymując Związek na poziomie, mimo ubytku naturalnego.

Z wyrazami szacunku

Ks. Jerzy MIREWICZ T.J.

◆

Warszawa, 9 listopada 1988.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z prawdziwą przykrością przeczytałem w nrze 10/1988 sformułowany przez Pana, a skierowany pod moim adresem zarzut, jakobym równocześnie złożył tekst w redakcji *Kultury* i *Libertas*. Otóż „O poszukiwaniu wyjść z sytuacji bez wyjścia" napisałem w czasie pobytu w Paryżu na zamówienie Piotra Jeglińskiego dla *Libertas* i po uzgodnieniach redakcyjnych wyłącznie Jemu pozostawiłem tekst, nie pozostawiając sobie (z powodu powrotu do kraju) nawet jednej kopii. W czasie moich wizyt u Pana Redaktora nie wspominałem Panu o pracy nad tekstem i oczywiście nie przekazywałem go do publikacji. Nie podejrzewam nawet, kto mógłby zdobyć jego kopię i wysłać w moim imieniu do Redakcji *Kultury*. Wiem, że tekst ukazał się już w *Libertas* (choć nie otrzymałem egzemplarzy autorskich), nie wiem natomiast, czy był publikowany w *Kulturze* — otrzymuję ją nieregularnie.

Praktykę napiętnowaną przez Pana Redaktora oceniam jednoznacznie negatywnie — mój przykład nie jest jednak adekwatny. Świadczy o jeszcze gorszym chyba zjawisku: dysponowaniu tekstem „autora z kraju" bez jego wiedzy i zgody, z pewnością również bez zgody wydawnictwa zamawiającego (tu: *Libertas*). Efektem czyjejś nieuczciwości jest dyskredytacja autora — uprzejmie proszę więc o publikację sprostowania. Redakcję *Libertas* proszę natomiast o wyjaśnienie, kto i jaką drogą zdobył tekst i przekazał go Panu Redaktorowi.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i niezmiennego podziwu dla dzieła Pana Redaktora

Jan ORLIŃSKI

Żadnych wyjaśnień do tej pory nie otrzymaliśmy. — *Red.*

◆

Nowy Jork, 23 stycznia 1989.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pozwalam sobie sprostować dwa błędy, jakie zakradły się do Pańskiego świetnie redagowanego miesięcznika. Pan Kazimierz Wierzbiański umierając miał nie 79, lecz 85 lat *(Kultura* nr 12/495, str. 156; tak podaje nowojorski *Nowy Dziennik* nr 4491 z 18 października 1988). Jan Śpiewak zmarł nie 25 lecz 26 października 1988, taka data występuje zarówno w nekrologu opublikowanym w *Przeglądzie Katolickim* nr 45 z 6 listopada 1988, str. 3 jak i w *Przeglądzie Wiadomości Agencyjnych* nr 36 z 4 listopada 1988, który dodaje, że był współpracownikiem tego niezależnego tygodnika warszawskiego.

Łączę życzenia najlepsze

Jerzy PRUS

Sztokholm, 6 lutego 1988.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zbyt sobie cenię łamy *Kultury* i opinię jej czytelników, by pozostawić bez odpowiedzi „Kronikę szwedzką" w nr. 1/2 z bież. roku, str. 214.

Muszę na wstępie wyjaśnić, że przed zapowiedzianym (8 kwietnia 1987) występem J. Urbana w Sztokholmie zarząd Oddziału Sztokholmskiego Kongresu Polaków w Szwecji na swym posiedzeniu 5 kwietnia 1987 uchwalił zastosowanie nowej ofensywnej taktyki wobec przedstawicieli reżymu: postanowiliśmy wysłać na to spotkanie kilka osób dla zadania Urbanowi „agresywnych pytań' (sformułowanie Urbana na konferencji prasowej w Warszawie) pod warunkiem nagrania całości spotkania na taśmę video (dla celów dokumentalnych i szkoleniowych).

Natomiast p. Z. Stankiewicz i p. Z. Stadfors w imieniu Rady Uchodźstwa Polskiego (RUP) wystąpili 13 kwietnia 1987 z oświadczeniem, gdzie m.in. oskarżają mnie i kolegów o „akt kolaboracji". Ten jawnie kłamliwy tekst rozkolportowano szeroko w polonijnych massmediach, m.in. w *Dzienniku i Tygodniu Polskim* w Londynie, gdzie odmówiono mi zamieszczenia mojego listu!

To „nadzwyczajne zebranie" zostało po raz 3-ci sfałszowane przez RUP, a jego przebieg to przykład SĄDU KAPTUROWEGO!! Dość powiedzieć, że tak Sąd Koleżeński jak i Komisja Rewizyjna nie zapoznały się nawet z głównym dowodem — taśmą video, wielokrotnie łamano statut Kongresu, nie dopuszczono delegatów Sztokholmskiego Oddziału i wbrew przyjętym w Szwecji zasadom nie powiadomiono nawet o tym „zebraniu" szwedzkiego Urzędu do spraw Imigracji (SIV).

Z poważaniem

Jan ŻUCHOWSKI

OŚWIADCZENIE

W ostatnim 1/496-2/497 numerze *Kultury* znalazłem następującą informację: „Jury międzynarodowe w Rzymie przyznało Kazimierzowi Brandysowi nagrodę literacką im. Ignazio Silone za cykl 'Miesiące' (10 mln. lirów). W skład jury wchodzili: Czesław Miłosz, François Bondy i Alberto Moravia".

Zdziwiłem się. O istnieniu takiej nagrody dowiedziałem się z tej notatki. Nikt do jury mnie nie zapraszał. *Nota bene* przyznając nagrodę Brandysowi musiałbym złożyć dowód zbyt daleko może posuniętej wspaniałomyślności, skoro odprawiał on niegdyś nade mną stalinowskie egzorcyzmy, wypełniając nimi opowiadanie pt. „Nim będzie zapomniany".

Dla porządku tedy i dla przywrócenia właściwych proporcji prostuję

Czesław MIŁOSZ

28 stycznia 1989

Stefan Rosé, Paryż, po raz 10-ty ..... F. 520,00
Edward E. Salamoński, St. Petersburg, FL (USA), po raz 9-ty — $ 20,00 ..... F. 126,00
Michaś Sienko, South River, N.J. (USA)(po raz 13-ty — $ 10,00 F. 63,00
Maria Strelcyn, Manchester (Wielka Brytania) — zamiast kwiatów na grób przyjaciela, Józefa Brojana, zmarłego w Warszawie 30 października 1988 roku ..... F. 100,00
Irena Strutyńska, Knutange-Nilvange (Francja), po raz 14-ty F. 100,00
Andrzej Tomaszewicz, Trondheim (Norwegia) ..... F. 200,00
Tadeusz Walendowski, Bethesda, MD (USA), po raz 5-ty — $ 60,00 ..... F. 378,00
Edda Werfel, Wiedeń — zamiast kwiatów na grób Idy Jurysiowej-Spira ..... F. 200,00
Lucie Wieczorek, Rueil Malmaison (Francja), po raz 7-my .. F. 150,00
Wacław Winnicki, Cincinnati, OH (USA), po raz 11-ty — $ 50,00 F. 315,00
Wróblewski, Pennigton, SA (Australia) — $ A. 10,00 ..... F. 50,60
O. T. Zalewski, Bagsvaerd (Dania) — dla uczczenia pamięci wieloletniego rektora Polskiej Misji Katolickiej w Danii, ks. Jana Szymaszka, zmarłego w styczniu 1989 roku .... F. 100,00
Zamiast kwiatów dla śp. dr. Gordona Burr-Millera, wielkiego przyjaciela Polaków — Kali Weynerowska — $ 20,00 .. F. 126,00
Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja), po raz 50-ty ..... F. 410,00
Anonimowo z Dorchester (USA), po raz 8-my — $ 22,00 .... F. 138,00
Bezimiennie z Baden (Szwajcaria), po raz 13-ty — Frs 100,00 F. 400,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz 26-ty ..... F. 140,00
Bezimiennie z Paryża — zamiast kwiatów na grób zmarłej 3 stycznia 1989 roku Idy Jurysiowej-Spira — niezapomnianego i szlachetnego człowieka ..... F. 300,00
Bezimiennie z Vancouver, BC (Kanada), po raz 23-ci — $ c. 42,00 F. 207,00

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ"

A.A., Nowy Jork — $ 20,00 ..... F. 126,00
A.P., Köping (Szwecja) — na rzecz Komisji do Spraw Interwencji i Praworządności — Krs 50,00 ..... F. 48,00
Bezimiennie z Albuquerque, NM (USA) — $ 10,00 ..... F. 63,00
Dla uczczenia zmarłych przyjaciół Zygmunta Kallenbacha i Kazimierza Wierzbiańskiego — C. S. Szulczewscy z Meranu .. F. 300,00
Aleksander Moskala, Farsta (Szwecja) — na małopolską chłopską „Solidarność", po raz 2-gi F.2.000,00
Priest from Youngstown, OH (USA) — $ 40,00 ..... F. 252,00
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Kanadzie (Polish Combatants Assn'), Koło nr 13, Winnipeg, MB (Kanada) — na cele zalegalizowania „Solidarności" w Polsce — $ c. 400,00 F.2.080,00
Adela Maria i Władysław Żeleńscy, Paryż oraz Anna Farman (USA), zamiast kwiatów na grób Mjr. Andrzeja Bohomolca, zmarłego 12 grudnia 1988 roku w Edmonton (Kanada) i tamże pochowanego F.1.000,00

WPŁATY NA „SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCĄ"

Ignacy Bugajski, Chicago, IL (USA) — $ 10,00 ..... F. 63,00
Bronisław Młot, Milwaukee, WI (USA) — $ 10,00 ..... F. 63,00
Małgorzata i Paweł Nassalscy, New York, NY — $ 30,00 .... F. 189,00
S. Owsianko (Szwajcaria)— zamiast kwiatów na grób śp. Ks. Prałata Niedzielaka — Frs 100,00 ..... F. 400,00
Ukraiński dom wydawniczy „Suczasnist'" — $ 100,00 ..... F. 630,00
W Redakcji *Listów do Polaków*, New Britain, CT (USA) złożyli: T. Dziekanowski i Bernard Pilecki z Newark, NJ po $ 25,00 oraz Bronisław Młot z Milwaukee, WI — $ 10,00 — razem: $ 60,00 ..... F. 378,00

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ"

B.B., Nowy Jork — na opozycję polityczną — $ 35,00 ..... F. 220,00
Robert Ferenc, Annweiler (RFN) ..... F. 68,10
Wiesława Gomulak, Brooklyn, NY (USA) — na walkę z komunizmem w Kraju — $ 78,00 ..... F. 491,00
Jacek Kluza, Solingen (RFN) — dla uczczenia pamięci Ojca, Kazimierza Kluzy, w drugą rocznicę Jego śmierci — DM 100,00 ..... F. 340,00
Z. M. Lewalski, Carson City, NV (USA) — na niezależną opozycję w Polsce — $ 22,00 ..... F. 138,00
Wiesław J. Roth, Paulsboro, NJ (USA) — $ 33,00 ..... F. 208,00
Anna Radko, Brooklyn, NY (USA) — na działalność podziemnej opozycji demokratycznej w Kraju — $ 50,00 ..... F. 315,00
Maria i Hans Jochem Schäfer, Offenbach (RFN) — dla więźniów politycznych w Polsce F.1.016,95
Dr Zygmunt Stankiewicz, Trangsund (Szwecja) — suma przekazana w październiku 1988 roku i przez pomyłkę nieogłoszona — przepraszamy (Red.). — Krs 250,00 ..... F. 237,50

◆

Dr Jan J. Golnick, Papillion, NB (USA):
— na Fundusz „Kultury", po raz 7-my — $ 22,00 .... F. 138,00
— na NSZZ „Solidarność" — $ 35,00 ..... F. 220,50

◆

Leon Grobelny, Dearborn, MI (USA):
— na Fundusz „Kultury", po raz 10-ty — $ 12,00 .... F. 75,50
— na pomoc dla walczących w Kraju „Żeby Polska była Polską" — $ 10,00 ..... F. 63,00

◆

Stanisław Komorski, Binningen (Szwajcaria):
— na Fundusz „Kultury" — Frs 50,00 ..... F. 200,00
— na „Solidarność Walczącą" — Frs 50,00 ..... F. 200,00

◆

N.N., Londyn — dla CDN, po raz 4-ty — £ 75.00 ..... F. 750,00

◆

Dr Władysław Czerucki, Orléans, przesyła sumę, wręczoną mu przez członków „Lion's Club-u" w Gourdon (Francja) po wygłoszonym przez niego odczycie pt. „Les relations franco-polonaises dans le domaine de la médecine à travers les siècles" z przeznaczeniem na pomoc dla dzieci w Polsce .. F.1.000,00

◆

Anonimowo ze Strasburga (Francja) — na Fundusz drukarski im Wł. Głowackiego ..... F. 120,00

◆

Greg Hyver, jr., Los Altos Hills (USA) — na Fundusz interwencyjny — $ 25,00 ..... F. 157,48

◆

A.M., Paryż — dla uczczenia pamięci Idy Spira, zmarłej 3 stycznia 1989 roku, zamiast kwiatów — na Fundusz S.O.S. Pomocy chorym w Polsce ..... F. 150,00

◆

Tad de Laurent, Bielefeld (RFN) — prostuje, że przy wpłacie na Fundusz „Kultury" we wrześniu 1988 sumy DM 30,00, odnotowanej w nrze 9/492, winna była być dodana wzmianka: „Zamiast kwiatów na grób śp. Józefa Łobodowskiego". Prosząc o sprostowanie dodaje na Fundusz „Kultury" — DM 10,00 ..... F. 34,00

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal : 1er trimestre 1989.

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 9542.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
		Ceny na rok 1988	
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA : « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
AUSTRALIA : Ksiegarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$A. 10,00	$A. 60,00	$A. 110,00
AUSTRIA : Ksiegarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, Tel. : 0222/93 87 222.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BELGIA : prosimy o przysylanie naleznosci za prenumerate do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA : prosimy o przesylanie czekow do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
DANIA : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « Kultury » i w ksiegarniach polskich w Paryzu	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
HOLANDIA : Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL : Ksiegarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D. M. Malinowski,** P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604)338-80-40; **Z. Micherdzinski,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **J. Korwin-Lopuszanski,** 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; **« Polish Voice Publishing » Co.,** 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; **Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiazkowiec »),** 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8 ..	$ can. 10,00	$ can. 50,00	$ can. 98,00
NIEMCY : Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (089) 611 36 57. **Ksiegarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60 ..	DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
NORWEGIA : Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51 20 55	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 45,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Irena Kretowicz,** 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; **Halina Kosciuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wojcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Ksiegarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Ksiegarnia « Nowego Dziennika »,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	$ US 7,50	$ US 40,00	$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
WLOCHY : Elzbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 480; półroczna — F. 250.
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 *(z Francji)*
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 *(z zagranicy)*.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 443 —

WITOLD DOWOYNA SYLWESTROWICZ

LISTY NIEWYSŁANE

Dziennik z okresu wojny: wrzesień 1939 - kwiecień 1945, napisany przez oficera lotnictwa, który brał udział w kampanii wrześniowej oraz w działaniach bojowych na terenie Francji i Anglii. Od wybuchu wojny do jej zakończenia prowadził *Dziennik* w formie nigdy nie wysłanych listów do żony.

Str. 160. Cena F. 70,00.

◆

TOM 444 — MAREK NOWAKOWSKI

KARNAWAŁ I POST

Nowy zbiór utworów Marka Nowakowskiego zawiera opowiadania: Karnawał i post; Elegia o umarłym świecie; Pan Julian Wołoszynowski; Folwark zwierzęcy Gogola; O „Wyroku na Franciszka Kłosa"; Pod gwiazdami; Żydowski hrabia; Historia pewnej przyjaźni; Imperatyw; Przestroga; „Jubileuszowa"; „Kamieniołomy"; Sierota Europy; Śmierć; Fabuła.

Str. 192. Cena F. 85,00.

◆

TOM 446 — ZYGMUNT HAUPT

SZPICA

Opowiadania, warianty, szkice

Materiały zebrane po śmierci Autora, które nigdy nie ukazały się w wydaniu książkowym. Wstęp Renaty Gorczyńskiej. Szkic biograficzny opracował syn Autora, Arthur Haupt.

Str. 280. Cena F. 120,00.

◆

TOM 447 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY SIÓDMY

zawiera opracowania: Piotr Skrzynecki: *Gdy umierał prezydent Raczkiewicz;* T. Wyrwa: *Prymas Hlond we Francji 1940-1941;* T. Górski: *Błogosławiony Jerzy Matulewicz, biskup wileński;* E. de Lafrené: *Syberyjski raport; Wywiad z Adamem Bieniem;* H. Tramsen: *Wrażenia z podróży do Katynia w 1943 roku; Ostatnia misja Hopkinsa w Moskwie* oraz bogate działy: POLEMIKI, RECENZJE, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240. Cena F. 80,00.

RICHARD S.A. - Paris - 46.06.88.26

Cena 45 F